

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 9/35

1950



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

MANIFEST KONGRESU WOLNOŚCI KULTURALNEJ ♦
♦ J. BURNHAM — Retoryka a pokój ♦ A. KOESTLER —
Fałszywy dylemat ♦ J. CZAPSKI — «Prawie niebo» ♦ STRATY
KULTURY POLSKIEJ ♦ ARKUSZE POETYCKIE ♦
R. WRAGA — Sprawy sowieckie ♦ W. A. ZBYSZEWSKI —
«Syberia chozowa» w Anglii ♦ SPRAWY KRAJOWE ♦
♦ KORESPONDENCJA Z NIEMIEC ♦ J. KRZECZKOWSKI —
Z marsz. Rydzem-Śmigłym w Rumunii ♦ KONGRES
WOLNOŚCI KULTURY ♦ KSIĄŻKI ♦
LISTY DO REDAKCJI

SPIS RZECZY

—	<i>Manifest Kongresu Wolności</i>	
	<i>Kulturalnej</i>	3
James Burnham:	<i>Retoryka a pokój</i>	5
Arthur Koestler:	<i>Falszywy dylemat</i>	16
Józef Czapski:	<i>«Prawie niebo»</i>	25
STRATY KULTURY POLSKIEJ		
Wiktor Sukiennicki:	<i>«Sztubak»</i>	31
ARKUSZE POETYCKIE		
Jerzy Pietrkiewicz:	<i>Piąty poemat</i>	43
Bogumił Andrzejewski:	<i>Podróż do krajów legendarnych</i>	50
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Ryszard Wraga:	<i>Sprawy sowieckie</i>	
	a) <i>Korea</i>	56
	b) <i>Stalin jako filolog</i>	63
	c) <i>o b. ważnej sprawie i nie- ważnej książce</i>	66
Juliusz Mieroszewski :	<i>List z wyspy</i>	75
SPRAWY I TROSKI		
W. A. Zbyszewski:	<i>«Syberia obozowa» w Anglii..</i>	82
SPRAWY KRAJOWE		
Z.-W.:	<i>Frontem do Niemiec</i>	92
Wacław Szyszkowski:	<i>Walka z kosmopolityzmem</i>	98
KORESPONDENCJA Z NIEMIEC		
Edouard Roditi:	<i>Czasopisma kulturalne w Niem- czech</i>	102
Fritz Baumgart:	<i>Wymowa współczesnej sztuki nie- mieckiej</i>	116
NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI		
Tadeusz Stawski:	<i>Wrześniowy kryzys powstania warszawskiego</i>	121
Jerzy Krzeczkowski:	<i>Z marsz. Rydzem-Śmigłym w Rumunii</i>	126
KONGRES WOLNOŚCI KULTURY		
—	<i>Kronika</i>	136
KSIĄŻKI		
Leon Furatyk:	<i>Technika drukarska a przemysł książkowy</i>	138
Józef Ursyn:	<i>O powszechności w cierpieniu...</i>	142
Julius Epstein:	<i>Dlaczego przegrano pokój?</i>	146
Stanisław Kościółkowski:	<i>Alma Mater Vilnensis</i>	149
—	<i>Nowości francuskie</i>	153
	<i>LISTY DO REDAKCJI</i>	154

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Wrzesień — Septembre 1950

*Numer poświęcony
Ks. Aug. Czartoryskiej*

Hôtel Lambert w Paryżu

INSTYTUT



LITERACKI

Od bieżącego numeru „Kultury” wprowadzamy nowe stałe działy, które przyczynią się niewątpliwie do uaktualnienia pisma. Są to:

SPRAWY SOWIECKIE,

KORESPONDENCJA Z NIEMIEC,

KRONIKA KONGRESU WOLNOŚCI KULTURY.

W numerze październikowym „Kultury” podamy rezultaty rozpisanej przez nas ankiety w sprawie najbardziej celowego wykorzystania funduszy Skarbu Narodowego, przeznaczonych na cele kulturalne.

Zawiadamiamy naszych czytelników, że kanadyjskim korespondentem „Kultury” jest p. Wacław IWANIUK. Adres p. Iwaniuka: 135 Geoffrey St. TORONTO, Ontario. Tel. Lakeside 4785.

(Dalszy ciąg Poloników niemieckich — których nie zamieściliśmy z braku miejsca — ukaże się w nrze październikowym.

IMPRIME EN FRANCE.

Imprimerie de la S.N.I.E., 32, rue de Ménilmontant — Paris (20)

Manifest Kongresu Wolności Kulturalnej

1) Uważamy za oczywiste, że wolność intelektualna należy do niezaprzeczalnych praw człowieka.

2) Wolność ta wyraża się przede wszystkim w prawie do formułowania i wygłaszania własnych opinii, a zwłaszcza opinii niezgodnych z opiniami władz. Człowiek staje się niewolnikiem, gdy traci prawo do mówienia „nie”.

3) Wolność i pokój są nierozdzielne. W każdym kraju, pod jakimikolwiek rządami, ogromna większość prostych ludzi boi się wojny i jest jej przeciwna. Niebezpieczeństwo wojny powstaje, gdy rządy, tłumiąc instytucje demokratycznego przedstawicielstwa, odbierają większości możliwość narzucenia rządowi swej woli pokoju.

Pokój może być utrzymany tylko jeżeli każdy rząd podda się dwójakiej kontroli i inspekcji swojej działalności:

a) przez naród, którym rządzi i

b) przez władzę ponad-narodową uosabiającą suwerenne prawa ludności tej ziemi.

4) Uważamy, że główną przyczyną niepewności panującej dziś w świecie tkwi w polityce rządów, które prawicą obłudnie o pokoju, wzbraniają się przyjąć te fundamentalne warunki. Doświadczenie dziejowe wskazuje, że wojny można przygotować i prowadzić w imię każdego hasła, nie wyłączając hasła pokoju. Kampanie na rzecz pokoju, nie poparte czynami, które zapewniałyby jego utrzymanie, mają taką samą wartość jak fałszywe monety puszczane w obieg dla nieuczciwych celów. Zdrowie intelektualne i bezpieczeństwo fizyczne nie zapadają na świecie dopóki nie zostanie zniesiony czarny rynek fałszywego pokoju.

5) Wolność oparta jest na tolerancji dla rozbieżnych poglądów. Zasada tolerancji wyklucza logicznie praktykę nietolerancji. Totalistyczne ideologie przeczące wolności intelektualnej nie mają prawa obywatelstwa w republice ducha.

6) Żadna filozofia polityczna czy teoria ekonomiczna nie może rościć sobie prawa do monopolu na wolność jako taką. Owszem, uważamy, że wartość takich teorii zależy od zakresu konkretnej wolności, jaką one dopuszczają w praktyce.

Uważamy również, że żadna rasa, żaden naród, żadna klasa czy religia nie mogą mieć monopolu na ideę wolności lub prawa odmawiania wolności innym grupom czy wyznaniom w imię jakichkolwiek ostatecznych ideałów czy wzniósłych celów. Uważamy, że zasługę dziejową każdego narodu, każdej klasy i każdego wyznania należy mierzyć

rozmiarami i jakością wolności, którą cieszą się ich członkowie czy wyznawcy.

7) W czasach wyjątkowych wolność jednostki ograniczana jest w rzeczywistym lub domniemanym interesie ogółu. Uważamy za rzecz niezbędną, by takie ograniczenia dotyczyły minimum ściśle określonych czynności; by potraktowane były jako chwilowe i ograniczone zabiegi o charakterze ofiary oraz by środki ograniczające wolność podlegały swobodnej krytyce i demokratycznej kontroli. Tylko w ten sposób możemy zapobiec przeistoczeniu się wyjątkowych zarządzeń, ograniczających wolność osobistą w stałą tyranję.

8) W państwach totalistycznych ograniczenia wolności nie są ani traktowane ani przedstawiane jako ofiary narzucane narodowi, lecz przeciwnie, przedstawiane są jako triumf postępu i jako osiągnięcia wyższej cywilizacji. Uważamy, że zarówno teoria jak i praktyka tych reżimów są niezgodne z elementarnymi prawami jednostki i fundamentalnymi aspiracjami ludzkości.

9) Uważamy, że niebezpieczeństwo tkwiące w tych systemach rządów jest tym większe, że teoria i praktyka tej tyranii pozostawia daleko za sobą wszystkie formy tyranii znane z historii. Z grubsza biorąc, w dawnych tyraniach wszystko było wolne co nie było wyraźnie zabronione prawem czy dekretem, podczas gdy w nowoczesnym państwie totalistycznym zakazane jest wszystko na co nie ma wyraźnych zezwoleń. Od obywatela państwa totalistycznego oczekuje się i zmusza się go nie tylko, by unikał przestępstw, ale by dostosował wszystkie swoje myśli i czynności do przepisów władzy. Klasyczny typ "tyranii negatywnej" zastąpiony został przez "tyranie pozytywną", która ściga i skazuje obywateli na zasadzie tak nieokreślonych i ogólnikowych oskarżeń jak to, że jest "wrogiem ludu" lub "elementem społecznie niepewnym".

10) Uważamy, że świat się nie uspokoi dopóki — pod względem wolności — posiadający będzie na "posiadających" i "pozbawionych". Obrona swobód istniejących i odzyskanie swobód utraconych, to dwie strony tej samej walki.

11) Uważamy, że teoria i praktyka państwa totalistycznego stanowią największe zagrożenie, jakim ludzkość zmuszona była stawiać czoła na całej przestrzeni cywilizowanych dziejów.

Uważamy, że obojętność lub neutralność w obliczu takiego zagrożenia równa się zdradzie najgłębszych wartości ludzkich i abdykacji wolnego umysłu.

Od naszej odpowiedzi na to zagrożenie będzie zależało, czy w ciągu najbliższych dziesięcioleci lub nawet pokoleń rodzaj ludzki pójdzie drogą społecznego termitu czy drogą wolnego człowieka.

12) Kierujemy tę odezwę do wszystkich, którzy są zdecydowani bronić swobód, jakimi się cieszą lub odzyskać te, które utracili.

Retoryka a pokój

O stylu epoki decyduje także jej retoryka moralna. Nabrzmiąte treścią słowa przyzwolenia, jak ulubione zestawienia barw, dźwięków i mas, wyrażają na swój najbardziej ludzki sposób kompleksy uczuć i przesądów. Nie wypowiadają ich one jednak wprost. Retoryka moralności nie jest moralnością. Twierdzenia i zaprzeczenia służą często raczej do zamaskowania niż do ujawniania struktury wartości, która stanowi moralną rzeczywistość.

Niechaj mi wolno będzie pominąć sprawy osobiste i rodzinne i skupić uwagę wyłącznie na retoryce moralnej życia publicznego.

Typowo "szlachetną" postać publiczną ubiegłych pięćdziesięciu lub stu lat nie trudno było rozpoznać. Stała ona przed narodem jako "postępowa" i "zwrócona ku przyszłości". Działacz tego typu jest zwolennikiem "reform", jeżeli nie wręcz "rewolucji", a w każdym razie "należy do lewicy". Nie potrzeba nawet dodawać, że opowiada się za "demokracją" i jest sam niezłomnym "demokratą" poddającym się suwerennej "woli ludu". Jest przeciwny "przesądom rasowym" i "przywilejom klasowym". Równocześnie jednak — i w jego retoryce nie będzie tu sprzeczności — sądzi on że cnota jest nieosiągalna dla "kapitalistów", "obszarników" i "arystokratów", mogą ją osiągnąć tylko "chłopi", "szary człowiek", "klasa pracująca" i "ludy kolonialne". "Postęp społeczny", "demokracja", "pokój" i cała reszta jego wzruszeń przebranych za abstrakcję "wiąże się ściśle" z walką klasy pracującej albo ludów kolonialnych o "dobrobyt i wyzwolenie".

Szczególnie powszechną i nigdy nie podawaną w wątpliwość cechą naszego wzoru szlachetności jest jednak jego wrogi stosunek do wojny: jest on absolutnie "przeciw wojnie" i całkowicie "za pokojem". Każdy jego czyn publiczny, od całowania niemowląt po konstruowanie bomby atomowej, służy w pierwszym rzędzie temu niezmiennemu i raz na zawsze uzgodnionemu celowi: "zachowaniu pokoju".

Poruszając się całkowicie na płaszczyźnie słów, ta retoryka doskonałości obywatelskiej ma tę zaletę, że nie podlega sprawdzeniu na płaszczyźnie faktów. Nikomu nie przyszłoby do głowy badać, czy "rewolucje ludowe" dają per saldo zysk czy

też stratę lub czy — jeżeli dają zysk — metody mniej brutalne nie dałyby tego samego wyniku. Szkoda zachodu na ustalanie czy z doświadczenia nie wynika czasem, że właśnie monarchia lub arystokracja mogłyby w pewnych warunkach być najlepszą formą rządów. Nasza retoryka poucza nas niedwuznacznie, że demokracja — tzn. każda forma rządów, która siebie samą nazywa "demokracją" — jest zawsze najlepsza.

Jeżeli klasa robotnicza stosuje restrykcje rasowe w związkach zawodowych lub niszczy maszyny, które mogłyby ulżyć doli człowieka, lub popiera dyktatorów, lub gwałci prawa ludzkie — cóż!, wtedy niewątpliwie klasa robotnicza została "uwiędziona" i wcale nie wyrażała swej "dziejowej misji", co jednak miałoby miejsce, gdyby tych samych uczynków dopuścili się "reakcyjni kapitaliści" lub "obszarnicy". W świetle naszej retoryki Europejczyk, którego masakrują bandyci kolonialni w podzwrotnikowej dżungli, powinien być zachwycony, a nawet czuć się zaszczycony, jeżeli tylko ci bandyci nie zaniedbali przepasać się moralnymi banderami, zdobnymi w rewolucyjne hasła nacjonalistyczne.

Co się zaś tyczy wojen prowadzonych przez doskonałych mężów stanu — a są oni bezustannie zmuszani do prowadzenia wojen, by karać dzieci Szatana, które wzbraniają się przyjąć ich błogostawione rady i podać się ich przywództwu — to jest rzeczą moralnie oczywistą, że prowadzone są one zawsze w obronie pokoju i skierowane przeciwko zakusom napastników.

Ktoby się odważył porównywać retorykę z rzeczywistością, zostałby niechybnie napiętnowany jako "wstecznik", "cynik" i "reakcjonista". "Na prawym skrzydle" znajdują się zawsze tylko moi przeciwnicy. Nikt w naszych czasach nie byłby takim idiotą, by stawać otwarcie po stronie Prawicy. Najbardziej zacietrzewiony konserwatysta dwudziestego wieku pali kadziło przed wolą ludu i ani mu się śni "cofać" wskazówki na zegarze dziejowym". Błuzniercze przypuszczenie, że klasa robotnicza nie jest lepsza od jakiegokolwiek innej klasy, że nie każda wojna jest gorsza od jakiegokolwiek pokoju, że zawsze będą istniały klasy społeczne, że wola ludu jest taką samą fikcją jak wola Boża królewskich pomazańców — takie błuznierstwa słyszy się dziś równie rzadko i odczuwa się je jako niemniej heretyckie niż czary.

Nie o to chodzi, że tylko reakcyjniści kwestionują pewniki przyjętej powszechnie retoryki politycznej. Bo w gruncie rzeczy nie ma już dziś reakcjonistów. Dziś każdy jest postępowcem, demokratą, socjałem i gorliwym obrońcą pokoju. Juan i Evita Perón są zarazem bożyszczami i czcicielami argentyńskiej klasy robotniczej. Hitler nie był niczym więcej, jak uosobioną wolą narodu niemieckiego. Trumanowski "Fair Deal" obiecuje każdemu coraz więcej wszystkiego. Attlee myśli o obaleniu przywilejów bogaczy choćby przy tym miał zniszczyć Anglię. Rządy Stalina już w samej definicji są rządami robotników chronionych przez najbardziej demokratyczną konstytucję świata; a

jeżeli jakiś obywatel sowiecki jest innego zdania, MWD (NKWD) udowodni mu, że jest w błędzie.

Historia mści się na nas za nieodpowiedzialność naszej mowy. Skłania ona tyranów, których nasyła nam na umartwienie nasze, by posłużyli się słowami naszej sentymentalnej i humanitarnej retoryki do swoich własnych celów i by zamykali nas w obozach pracy i w obozach śmierci przy wtórze pobożnych litanii Lewicy.

Bo czyż to nie głos pana na Katyniu i Kołymie przemawia do świata z Bukaresztu pod banderą z napisem "Za wieczny pokój, za demokrację ludową"? Czyż to nie władca trzystu dywizji organizuje ruch Stronników Pokoju?

Daliśmy się własnym słowom wciągnąć w pułapkę i zamknąć w lochu, słowom, które są przynętą Lewicy a dla nas okazały się trucizną. Komuniści spenetrowali nasz retoryczny arsenał i związali nas naszymi własnymi hasłami. Postępowiec z "niekomunistycznej Lewicy" cierpi na nieustanny kompleks winy wobec prawdziwego komunisty. Komunistą operujący tą samą retoryką ("podzielając te same ideały" jakby powiedziały lewicowe nałwniaki), lecz działając śmiało i stanowczo, wydaje się człowiekowi z niekomunistycznej Lewicy jego własnym sobowtorem, ale sobowtorem... z ikrą! Niesprawdzona retoryka osłabia cios wymierzony w komunistę, ale odsłania chudą pierś nie-komunisty.

Nie zaszkodziłoby nam, gdybyśmy zerwali te słowne pęta i potłamali te kraty ze słów. Odrzucając retoryczny dylemat moglibyśmy, z pewną korzyścią choćby dla jasności, przedrzeć się przez konwenans "Prawicy" i "Lewicy" i dotrzeć do ukrytej za nim rzeczywistości dziejowej. Nie wszyscy, którzy prawią nam o proletariacie, pokoju i demokracji okazaliby się wtedy godni naszej wyciągniętej dłoni. Nie myślę przeczyć, że przywódcy polityczni naszych czasów muszą być demagogami i że mistyczna retoryka Lewicy należy do niezbędnych narzędzi ich rzemiosła. Ale jeżeli tak jest, to tym świętszy ciąży na nas obowiązek, by odmawiać przyjmowania tego szychu za dobrą monetę. Właśnie dla tego, że jesteśmy za pokojem i demokracją, nie powinniśmy więcej zadowalać się frazesami o "pokoju" i "demokracji". Potrzebny nam dziś jest poeta polityki — ktoś, ktoby odrodził nasze wymierające słowa i napełnił ich wiotczące żyły świeżą krwią żywego doświadczenia.

Resztę tego artykułu pragnę poświęcić zbadaniu rzeczywistych okoliczności, w jakich odbywa się dziś agitacja na rzecz "pokoju". Agitacja ta przybiera różne formy, od czystego lub zmodyfikowanego pacyfizmu, poprzez wołanie o całkowite lub częściowe rozbrojenie, po ową postawę europejską, którą ostatnio zaczęto nazywać "neutralizmem".

Pacyfizm jako szeroko rozpowszechniony i społecznie znamienity punkt widzenia nie jest wcale rzeczą tak naturalną jak się to wydaje wielu pacyfistom. Od średniowiecza po bieżące stulecie hołdowały mu tylko izolowane jednostki i pomniejszych

sekty religijne. Dopiero w dwudziestym wieku nastroje pacyfistyczne, powołując nieraz do życia całe zorganizowane ruchy, od czasu do czasu opanowywały masy. Ulegały one jednak wielkim przemianom, a co jest najbardziej charakterystyczne — zanikały niemal zupełnie w czasie dwóch wielkich wojen tego stulecia.

Skutki współczesnego pacyfizmu — czy to w jego krańcowej formie wyrzeczenia się przemocy, czy też w bardziej umiarkowanej formie planów rozbrowienia, lig, paktów przeciw wojnie etc. — badane były przez szereg uczonych, a z łatwością dostrzec je może każdy kto wyłamał się spoza krat retorycznego więzienia. Głównym skutkiem socjalnym szerzących się w jakiejś grupie społecznej nastrojów pacyficznych (może to być klasa, naród itd.) jest osłabienie woli, a w pewnym stopniu i zdolności przetrwania danej grupy. Tak się rzecz ma na pewno w tym typem pacyfizmu, jakim się tu zajmujemy, przy czym jest rzeczą obojętną, skąd się on bierze lub jak się go filozoficznie uzasadnia. Każda grupa społeczna z natury rzeczy walczy o swe istnienie z innymi grupami, które usiłują zająć jej miejsce, zniszczyć ją lub wchłonąć. Pacyfizm jest objawem słabnącej wiary w siebie i zanikającej gotowości do posługiwania się tymi środkami, jakie są niezbędne dla utrzymania zdolności konkurencyjnej danej grupy. Tak więc w każdej grupie społecznej pacyfizm musi prowadzić do jej względnego osłabienia.

Ponieważ to jest głównym rezultatem społecznym wszelkiej agitacji pacyfistycznej, anty-wojennej i rozbrowieniowej, świadome siebie ruchy społeczne naszego wieku, a zwłaszcza komunizm, wnet zrozumiały, że pacyfizm mógłby być użyty z powodzeniem jako jedno z narzędzi konkurencyjnej walki grup o władzę. Jeżeli szerzące się w jakimś narodzie czy jakiejś klasie nastroje pacyficzne osłabiają ten naród czy klasę, to dla czegożby rywale tego narodu czy klasy nie mieli dopomóc do szerzenia się tych nastrojów? Dla poważnych strategów konkluzja ta jest nie mniej logiczna jak całe rozumowanie.

Komunizm co prawda przez pewien czas nie mógł się zdecydować na planowe wyzyskanie pacyfizmu jako broni — możemy ją tak słusznie nazwać — strategicznej. Komuniści musieli się tu nasuwać zastrzeżenia natury doktrynalnej. Pacyfizm uchodził za "złudzenie drobnomieszczańskie". Ruchy pacyfistyczne i kampanie rozbrowieniowe mogły odwrócić uwagę mas od jej istotnych zadań, tj. od walki klas. Wojny skończyły się dopiero gdy obalony zostanie kapitalizm światowy i gdy powstanie światowe społeczeństwo bezklasowe itd. itd. Tak więc pacyfizm był "odchylem oportunistycznym" i Lenin rzeczywiście tak go zwykle określał.

Lecz gdy komunizm, dzięki udanej rewolucji w imperium rosyjskim, znalazł się u władzy w wielkim państwie, potencjał pacyfistyczny musiał ulec przewartościowaniu. Postęp rewolucji światowej stał się obecnie jednoznaczny z obroną i rozszerzeniem sowieckiej władzy. Tak więc każda akcja, która obie-

cywała względne osłabienie rywali, oznaczała krok naprzód na drodze rewolucji. Szerzenie się w rywalizujących z Rosją państwach haseł, nastrojów i organizacji pacyficznych oznaczało więc ich osłabienie. A wobec tego główne dowództwo komunistyczne musiało wyciągnąć wniosek, że za granicami Związku Sowieckiego należy planowo szerzyć i popierać pacyfizm, choć nie jest on formalnie zgodny z komunistyczną doktryną. Była to, oczywiście, "strategia dialektyczna": z jednej strony, wewnątrz strefy sowieckiej, hasła i nastroje pacyfistyczne powinny być bezwzględnie tępiące — owszem, energie społeczne winny być kierowane przede wszystkim ku przygotowaniu wojennym — z drugiej strony, w dialektycznym kontraście, pacyfizm, rozbrowienie itd. powinny być jak najenergiczniej propagowane wewnątrz rywalizujących z Rosją, nie-komunistycznych państw.

Rezultatem tego strategicznego rozumowania była sieć pacyfistycznych i napoly pacyfistycznych kongresów, komitetów i organizacji, jaka w trzydziestych latach pokryła świat i z którą mieliśmy możliwość zapoznać się dokładniej. W Europie Zachodniej znaczna ich część, poczynawszy od tzw. Kongresu Amsterdam-Pleyel w r. 1932, była dziełem organizacyjnego geniuszu zdolnego agenta Kominternu, Willi Münzenberga.

Odtąd strategia komunistyczna w zakresie stosowania pacyfizmu pozostała bez zmian. Zmieniły się tylko nalepki. Stronnicy Pokoju i Zobowiązanie Sztokholmskie zastąpiły Przysięgę Oxfordzką, oraz Ligi w obronie Pokoju i Demokracji, Ligi Anty-Wojenne i Anty-Faszystowskie. Komuniści czynni na tym polu, nie ograniczając się oczywiście do organizacji, które sami stworzyli. Przenikają oni także — i to z niebylejakim powodzeniem — do istniejących już organizacji pacyfistycznych, które powstały bez ich udziału i poparcia, jak np. do anty-wojennych komitetów łóz masonskich i do ugrupowań przeciwników służby wojskowej. Osiągnięcie komunistyczne, jakim było umieszczenie Algiera Hissa, sowieckiego agenta, w sekretariacie pierwszego kongresu ONZ a następnie na czele Fundacji Pokojowej Carnegiego, jest świetnym przykładem sprawności komunistów w tej dziedzinie.

Ruch komunistyczny Stronników Pokoju był tak wyraźnie narzędziem sowieckiego imperializmu i z tak miedziannym czołem kpił sobie z prawdziwych uczuć pacyfistycznych, że okazał się raczej mało pociągający dla nie-komunistów. W wiecach Stronników Pokoju bierze udział nie wielu intelektualistów spoza Partii i spoza grona zatwardziałyich sympatyków komunizmu. Publiczność na tych wiecach składa się w lwiej części z ludzi, których zawsze można spędnąć na komunistyczny wiec czy komunistyczną manifestację. Nawet w uporczywie neutralnej Szwecji, niedawny sztokholmski Kongres Stronników Pokoju potępiony był publicznie przez wszystkie niemal odczłamy szwedzkiej opinii, poczynając od najbardziej konserwatywnych dzienników, a kończąc na związkach zawodowych.

Lecz chociaż Stronnicy Pokoju mają niejake trudności, gdy występują pod swoim własnym godłem, cieszą się oni nieco większym powodzeniem, gdy się podszywają pod cudze. I tak np., chociaż Kongres Sztokholmski był, jeżeli chodzi o Szwecję, nie udany, to kampania zbierania podpisów na petycji w sprawie "zakazu bomb atomowych", zainicjowana przez ten kongres, powiodła się zupełnie dobrze. Czyż nie jesteśmy wszyscy przeciwnikami bomby atomowej? Nawet gdybyśmy potępiali Stronników Pokoju jako takich, to czyż nie powinniśmy złożyć podpisu pod petycją, obojętne przez kogo przedłożoną, a domagającą się zakazu bomb atomowych? Wygląda to tak, jakby chodziło o petycję w sprawie zniesienia chorób lub głodu.

Niestety, sprawa nie jest taka prosta. Mamy tu przypadek, gdy zobowiązanie mówienia prawdy może stać się dosyć niewygodne. Niechaj mi wolno będzie mówić tylko za siebie. Jestem przeciwny Petycji Sztokholmskiej i w ogóle nie uznaję Stronników Pokoju. Mój negatywny stosunek do tej Petycji jak i do Stronników Pokoju tłumaczy się tym, że są one narzędziem sowieckiego imperializmu. Ich celem jest osłabienie świata niekomunistycznego, werbowanie członków dla partii komunistycznej, zamaskowanie sowieckich planów wojennych i odwrócenie uwagi od sowieckich zbrojeń, w których nie ostatnie miejsce zajmują bomby atomowe. Petycja ta nie wynika z prawdziwej troski o pokój, lecz jest etapem przygotowań do wojny Sowieców o panowanie nad światem, a nawet odcinkiem tej wojny.

Co więcej, aby nie być posądzonym o obłudę, muszę dodać, że wcale nie jestem przeciwnikiem bomb atomowych jako takich. Jestem przeciwny bombom, które magazynuje się obecnie lub będzie się magazynowało na Syberii lub Kaukazie, a które mają być użyte do zniszczenia Paryża, Londynu, Rzymu, Brukseli, Sztokholmu, Nowego Jorku, Chicago, Berlina, i całej w ogóle cywilizacji zachodniej. Nie mam jednak nic — przynajmniej dotychczas a w każdym razie dziś — przeciwko bombom wyrabianym w Los Alamos, Hanford i Oak Ridge, a strzeżonych gdzieś w Górach Skalistych lub na amerykańskiej pustyni.

Proszę mi wybaczyć, jeżeli z tradycyjną amerykańską otwartością powiem, że moim zdaniem Europejczycy podzielają mój pozytywny stosunek do tych ostatnich bomb. W ciągu pięciu lat bomby te ochraniały swobody Europy zachodniej i stanowiły jedyną ich obronę. Niechaj mi wolno będzie powtórzyć: jedyną obronę swobód zachodniej Europy. Jeśli zrezygnujemy z łatwizn retoryki, zobaczymy, że nie wystarczy być po prostu "przeciwnikiem broni", czy bronią tą będą noże, pistolety czy bomby atomowe. Musimy zapytać się, o czyją broń chodzi? Jak użyć i po co? Czy ma to być broń tyranów zmierzających do ujarznienia ludzi? Czy też broń ochraniająca, w mniejszym lub większym stopniu, wolność i godność istot ludzkich? Czyż nie jest rzeczą zastanawiającą, że nie puszczono w kurs po Związek Sowiecki petycji domagających się, by rząd sowiecki zni-

szczył swoje własne bomby i wytwórnie atomowe? Daremnie czekalibyśmy na kongres w Moskwie lub Stalingradzie, który by potępiał Kreml za "imperializm" i "podżeganie do wojny". Muszę powiedzieć, że zmienilibym swój stosunek do pacyfizmu, gdyby w strefie sowieckiej zaczęła się szerzyć agitacja pacyfistyczna, rozbrojeniowa i anty-wojenna, skierowana przeciwko rządowi sowieckiemu. Zanim to jednak nastąpi, nie przestanę wierzyć, że pacyfizm jest w naszych czasach złudzeniem lub oszustwem i nie zmienię przekonania, że obowiązkiem intelektualistów jest powtarzać to i odpowiednio postępować.

Podczas gdy zależność Stronników Pokoju od Kremla, a Petycji Sztokholmskiej od Stronników Pokoju jest widoczna — zależność od Kremla poglądu, który przybrał ostatnio nazwę "neutralizmu", jest mniej oczywista. Stanowisko "neutralistyczne", które rozwinęło się z tego, co jesienią 1947 r. zaczęto nazywać Trzecią Siłą, ma źródła i rzeczników niezależnych od komunizmu i przeciwnych komunizmowi. Nie ulega jednak wątpliwości, że neutralizm bardzo przypada komunistom do gustu. Stanowi on dla nich pożądaną broń pomocniczą, toteż starali się w ubiegłych miesiącach przyspieszać jego rozwój.

Dziwne są analogie tego nowego ruchu europejskiego, neutralizmu, z amerykańskim izolacjonizmem. Do błyskotliwych obrońców neutralizmu należy pewna ilość Europejczyków, którzy uważali amerykański izolacjonizm zawsze za jedną z najbardziej prymitywnych cech amerykańskiej kultury. Ale chociaż neutralizm europejski wykazuje w swej morfologii historycznej pewne analogie z izolacjonizmem, jest on jeszcze bardziej zbliżony do pewnej postawy amerykańskiej znajdującej w Stanach Zjednoczonych rzeczników wśród osób tego samego typu, z którego rekrutują się w Europie zwolennicy neutralizmu. Postawa ta jest bardzo rozpowszechniona w kołach, które same siebie określają jako "nie-komunistyczną Lewicę", a sporadycznie spotyka się ją u konserwatywnych ekscentryków.

Argumentacja neutralistyczna w swej formie europejskiej da się sprowadzić do następujących zasadniczych twierdzeń:

- 1) Dzisiejszy konflikt światowy jest walką między Stanami Zjednoczonymi a Rosją Sowiecką.
- 2) Materializm amerykański i totalizm rosyjski są równie obce rdzennej kulturze europejskiej i równie dla niej groźne.
- 3) Europa musi więc być neutralna w tym konflikcie, nie wiązać się z żadnym z rywali i pozostać niezależnym, spokojnym przybytkiem prawdziwych wartości kulturalnych.

Jak ten cel ma być osiągnięty, tego neutraliści nie mówią wyraźnie. Niektórzy sądzą, że przez rozbrojenie i bierną postawę; niektórzy, że przy pomocy siły i takiego dozbrojenia, które pozwoliłoby Europie stać się trzecim ośrodkiem siły mocarstwowej.

Pokrewne tej doktrynie poglądy amerykańskie mają nieco inną formę, ale taką samą treść:

1) Obecny konflikt światowy toczy się między nieprzejdymymi odłami Politbiura i Wallstreet.

2) Reakcja z Wallstreet i skrajne skrzydło totalizmu rosyjskiego są równie obce "prawdziwej demokracji".

3) Wobec tego my i "wszyscy ludzie dobrej woli" muszą stanowić Trzecią Siłę, nie wiązać się z żadną ze stron itd. (Jesteśmy "przeciwnikami dyktatury zarówno prawicowej jak i lewicowej" — tak brzmi modne hasło).

Ograniczę się do uwag nad europejską formą tej argumentacji.

Przypuśćmy na chwilę, że słuszna jest przesłanka, jakoby obecny konflikt był zmaganiem się Stanów Zjednoczonych i Rosji. Jeżeli tak jest, to jaki sens może tu mieć argumentacja neutralistyczna? Czy ktokolwiek o zdrowych zmysłach może przypuszczać, że któryś z przeciwników zrezygnuje z podporządkowania sobie potencjału europejskiego lub przestanie utrudniać swemu rywalowi korzystanie z niego tylko dla tego, że pewni publicyści "Frankfurter Zeitung", "Monde'u" i włoskich partii neo-socjalistycznych uważają takie postępowanie za barbarzyńskie? Neutralność Europy oznaczałaby nieuchronnie ujarzmienie i zniszczenie Europy. Taka Europa nie mogłaby się bronić i nie miałaby żadnego tytułu do pomocy, lojalności czy wdzięczności którejkolwiek ze stron.

Jakież jednak jest znaczenie tego zrównywania "amerykańskiego materializmu" i "sowieckiego totalizmu"? Niedostatki życia i kultury amerykańskiej odczuwam, jak sądzę, niemniej żywo niż większość Europejczyków i nigdy nie kryłem się w swych pismach z krytycznym stosunkiem do nich. Coca-Cola jest zapewne ohydny napój, ale nie wydaje mi się, by można ją było porównywać z Kołymą. Przyznaję, że amerykańskie opowiadki rysunkowe i programy radiowe są straszne, a przecież nie waham się przekładać ich nad NKWD. Murzyni amerykańscy słusznie domagają się od Waszyngtonu większej miary sprawiedliwości, ale przecież nie posyła się ich za te żądania do łagrów i nie przypuszczam, by pragnęli zamienić się z Czeczen-Inguszami lub krymskimi Tatarami. Plan Marshalla jest niewątpliwie intrygą amerykańskiego imperializmu. Imperializm, który przywozi do Europy zachodniej towary wartości piętnastu miliardów dolarów, wydaje się być jednak pod pewnymi względami bardziej pożądany niż wyzwolenie, które zabiera Europie wschodniej taką samą mniej więcej ilość towarów. Stany Zjednoczone, być może, nie zrobiły dla Puerto Rico i Filipin wszystkiego co powinny były zrobić. Czy jednak wyspy te powinny wobec tego domagać się, by je potraktowano jak Łotwę lub Litwę?

Ten zwyczaj przypuszczania nieprzytomnych i — bądźmy

szczerzy — często nieszczerzych ataków na wszystko co amerykańskie, gdy się siedzi bezpiecznie pod osłoną amerykańskiej potęgi, ma w sobie coś ironicznego. Czyż bowiem kultura i cywilizacja byłyby bezpieczniejsze, gdyby stało się zadość żądaniom neutralistów, tj. gdyby Amerykanie się wycofali i Europa pozostała bezbronna wobec skomasowanej potęgi sowieckiej?

I czymżeż jest ta Europa, którą mają na myśli neutraliści? Czy tkwiąc w neutralnym kąciku swoich marzeń godzą się oni zepchnąć Polskę, Czechosłowację, Węgry, Rumunię, Niemcy wschodnie, Bułgarię, Albanie, kraje bałtyckie, tak! i Ukrainę, i Białoruś i samą Rosję europejską, czy zgodzą się powiadam, zepchnąć wszystkie te kraje i ich mieszkańców bez mrużnięcia powiek w otchłań jednego z tych rywalizujących z sobą barbarzyństw? Czy żaden Polak, albo Czech, albo Bałt, albo Serb, albo Rumun, albo Węgier, albo wschodni Niemiec, albo Ukraińiec nie powinien mieć głosu w sprawach Europy i nie powinien mieć prawa wypowiedzenia swoich poglądów na temat dopuszczalności Trzeciej Siły, czy neutralności między amerykańskim materializmem a rosyjskim totalizmem? Jak też, pytam się, może wyglądać neutralna obrona europejskich wartości kulturalnych przed zgodnymi zakusami Waszyngtonu i Moskwy od strony Warszawy, Kijowa, Rygi, Bukaresztu, Pragi, Lipska, Budapesztu — lub na przykład Leningradu?

Zakładałem dotychczas, że neutralistyczna przesłanka, jakoby obecny konflikt był zmaganiem się Stanów Zjednoczonych i Rosji, jest słuszna. Ale przesłanka ta jest błędna lub, powiedzmy raczej, jest ona zniekształceniem częściowej prawdy. Rosja i Stany Zjednoczone są w tej chwili głównymi ośrodkami siły. To jest prawda częściowa. W obecnym konflikcie muszą one więc z konieczności odgrywać główną rolę. Nie wynika z tego jednak i też wcale tak nie jest, by zmagania toczyły się między Stanami Zjednoczonymi a Rosją, między Moskwą a Waszyngtonem.

Nie wynika to nawet z najbardziej powierzchownej analizy sytuacji. Wystarczy bowiem zapytać np., co jest bardziej bezpośrednio zagrożone przez imperialistyczną agresję sowiecką: Sajn czy San Francisco, New Delhi czy Seattle, Berlin czy Detroit, Paryż czy Chicago, Mediolan czy Filadelfia, Londyn czy Waszyngton, Sztokholm czy Boston? Jest to pytanie retoryczne. Stany Zjednoczone, oparte o zachodnią półkulę, mogłyby pozostać niezależne i wolne nawet, gdyby padła cała Eurazja. Lecz gdyby Stany Zjednoczone zostały obalone lub poważnie osłabione, całej reszcie Azji i Europy groziłby natychmiastowy i nieuchronny upadek. Przyszłość Europy jest więc znacznie bardziej narażona na szwank w obecnym konflikcie niż przyszłość Stanów Zjednoczonych.

Istota obecnego konfliktu nie jest żadną tajemnicą. Z jednej strony mamy ruch międzynarodowy, oparty w pierwszym rzędzie na Rosji, ale nie ograniczony wcale do Rosji, ruch, którego zdeklarowanym celem jest sprowadzenie ludzkości do stanu jednolitego totalistycznego niewolnictwa. Przeciwwstawia się mu dru-

gi ruch międzynarodowy, oparty materialnie przede wszystkim na Stanach Zjednoczonych, lecz o wiele mniej utożsamiający się ze swą główną bazą, ruch, który opiera się totalistycznemu załewowi. Istota i cele tego ruchu oporu są mniej jasne niż istota i cele jego przeciwnika, ale jego ukryta myśl przejawia się w jego negacjach. Ameryka związana jest dziś z przyszłością cywilizacji europejskiej i z nadziejami dawnych ludów kolonialnych Azji i Afryki na swobodny i bardziej ludzki rozwój nie przez kaprys czy świadomy wybór, ale przez dziejową konieczność. Gdyby komuniści osiągnęli swój cel, wolność — w każdej dziedzinie: w nauce, sztuce, wychowaniu i pracy równie dobrze jak w polityce — przestałaby istnieć. Oto dla czego walka z komunizmem nie jest rzeczą jednego narodu, jednej klasy czy jednej grupy. Jest ona wspólną walką wszystkich, którzy pragną zachować lub uzyskać wolność. Jeżeli my, którzy wierzymy w wolność, chcemy w ogóle działać, zmuszeni jesteśmy przez sytuację, w jakiej się znaleźliśmy, działać w przymierzu z sobą. Świat nasz został pod naciskiem tego stulecia tak ściśnięty, że na Trzecią Siłę między wolnością a niewolą nie ma miejsca.

Mówią nam, że wszyscy ludzie dziś pragną pokoju. Nie przeczę, a nawet przypuszczam, że tak jest. Ale my, intelektualisci z poczuciem odpowiedzialności, wciąż jeszcze mający możność mówienia prawdy, nie możemy na tym poprzestać. My musimy wskazać także na warunki pokoju, wśród których, niestety, pragnienie pokoju nie wielkie ma znaczenie. Musimy powiedzieć wyraźnie, że trzeba także zadecydować o tym, co to ma być pokój i pokój na co? Czy rzeczywiście pragniemy pokoju więzień, obozów koncentracyjnych i totalistycznego państwa policyjnego? To i c h pokój. Tylko czy byłby to rzeczywiście pokój, choćby za taką cenę? Gdy zastanowimy się nad historią ostatniego pokolenia, nabierzemy wątpliwości. Zupełnie tak samo jak oszustwem jest obiecywane przez totalitarną gospodarkę "zabezpieczenie" — bo jakżeż robotnik może być zabezpieczony, gdy się go pozbawia swobody bronięcia siebie i swego zajęcia? — tak samo "pokój", obiecywany przez totalizm, jest zwykłym fałszem. Czy można sobie wyobrazić pokój w społeczeństwie niewolników rządzonych terrorem? Odkąd świat światem, terror zawsze rozdzielił terror. Przeprowadzający czystkę zawsze z kolei ulegają czystce. Jeżeli heloci się nie buntują naprawdę, trzeba ich katoować, bo jest rzeczą jasną, że mogliby się buntować.

Dopóki potęga komunistyczna będzie zagrażała światu, prawdziwy pokój będzie niemożliwy, nie będzie nawet prawdopodobieństwa pokoju. Przez kontrofensywę moralną, psychologiczną i polityczną, przez stworzenie anty-komunistycznego ruchu oporu obejmującego cały świat, możemy rozsadzić potęgę komunistyczną bez uciekania się do owej ostateczności — która inaczej będzie nieunikniona — tj. do bomb atomowych. Taka kontrofensywa, popędzana zdecydowaną wolą ludzi wolnych, jest dziś jedyną drogą do pokoju. Nie da nam pokoju ani kapitulacja, ani pacyfikacja, ani neutralność, ani polityka powstrzymywania.

Doczekamy się pokoju w naszym pokoleniu*) tylko wtedy, gdy stworzymy światową strukturę polityczną, w ramach której będą rozwiązywane swobodnie problemy i spory, jakich wśród ludzi uniknąć się nie da. Ten warunek także wymaga eliminacji potęgi komunistycznej, bo tam gdzie ona decyduje, żaden problem nie jest rozwiązywany swobodnie, ale przemocą i przymusem. Nie zabezpieczymy pokoju przez pogodzenie się z Chinami komunistycznymi i uznanie ich, ani przez pogodzenie się z marksizmem na Azję południowo-wschodnią czy na Indie, ale zabezpieczymy pokój, gdy uwolnimy Azję i zapewnimy jej współpracę całego świata w jej rozwoju gospodarczym i społecznym. Wkroczenie potęgi komunistycznej na Bliski Wschód i do Afryki nie przyniosłoby tym częściom świata pokoju, lecz rozlew krwi i zniszczenie. Europa zachodnia nie znajdzie pokoju w złudzeniach neutralności, ale w widokach na wyzwolenie, na wyzwolenie całej Europy: zachodniej od gniołacej zmory masowych partii komunistycznych, wschodniej od komisarzy, armii czerwonej i NKWD. Europa rozdarta na dwoje, z połową poddaną bezpośrednio biczowi naganiacza, a reszta sparaliżowana przez wewnętrzny ruch wyrotowy, nigdy nie zazna pokoju. Pokój uzyskać może tylko Europa zjednoczona i wolna.

Na kłamstwa rzeczników niewoli, przebranych za Stronników Pokoju, powinniśmy odpowiedzieć, że jest tylko jedna droga do pokoju, o który warto się troszczyć i który jest jedynym możliwym pokojem: pokój? tak — p o k ó j p o p r z e z w o l n o ś ć.

James BURNHAM.

*) *Pace in our time* — Burnham używa tu zwrotu chamberlainowskiego — przyp. tłum.).

Fałszywy dylemat

Jakiś czas temu próbowałem nakłonić jednego z moich francuskich kolegów do wzięcia udziału w Kongresie Wolności Kultury. Wywiązał się z tego taki mniej więcej dialog. Mój znajomy, francuski pisarz wypytywać się zaczął ostrożnie czy Kongres ten będzie Kongresem lewicy czy prawicy. Odpowiedziałem mu na to, że Kongres ma na celu obronę wolności przed niewolą. Postawił mnie on wówczas pod zarzutem, że wykręcam się od udzielenia odpowiedzi na jego pytanie, na co z kolei wyjaśniłem, że na pytanie jego odpowiem dopiero wtedy, gdy powie mi uprzednio po czyjej stronie on stoi w sporze Jezuitów z Jansenistami. Mój znajomy z żalem przyznał mi się wtedy, że już od bardzo dawna nie pamięta co właściwie było przedmiotem tego sporu. Oświadczyłem mu więc wówczas, iż ja również w żaden sposób przypomnieć sobie nie mogę jakie jest właściwe znaczenie słów prawica i lewica.

Teza, którą chciałbym tutaj wysunąć streszcza się do tego, że antynomia prawica-lewica, kapitalizm-socjalizm utraciła dzisiaj w sposób istotny swe uzasadnienie i że tak długo jak Europa tkwić będzie w tym fałszywym przeciwstawieniu, które wszelkie jasne sprecyzowanie myśli utrudnia, znalezienie konstruktywnego rozwiązania dla współczesnych nam problemów jest niemożliwe.

Pojęcie "lewica polityczna" powstało jak wiemy w chwili, gdy po Rewolucji nastąpił podział na frakcje we francuskim Zgromadzeniu Narodowym. Pojęcie to rozszerzywszy się szybko na cały kontynent służyło do określenia tych ugrupowań Legislatyw, które zasiadały po lewej stronie prezydenta i które przeciwstawiały się tradycyjnym liberalno-demokratycznym tendencjom. W następnej fazie do wszystkich radykalnych czy krańcowych kierunków w łonie jakiegoś szkoły ideologicznej doczepiano to określenie w sensie przenośnym. Od tego czasu pojęcia tego zaczęto używać w coraz mniej sprecyzowanym i coraz bardziej metafizycznym sensie i im bardziej traciło ono na konkretnym znaczeniu tym silniejsza była jego emocjonalna siła atrakcyjna. I tak w przedwojennym Parlamencie francuskim istniało na przykład około półtuzina partij, z których każda do nazwy swej dorzucała słowo "lewica" (radykalna lewica, niezależna i radykalna lewica, republikańska i radykalna

lewica itd) i które bez wyjątku stanowiły konserwatywne, reakcyjne i w związku z tym antylewicowe ugrupowania. Jeszcze dzisiaj liberałowie i socjal-demokraci nazywają siebie "umiarkowaną lewicą", i gdyby tkwiło w nas przyzwyczajenie do poważnego traktowania słów, to fakt taki musiałby przebież oznaczać, że partie te różnią się w odcieniach tylko, a nie co do istoty, od swych sąsiadów z "krańcowej lewicy". A ci ostatni po dziś dzień ubierają się jeszcze w to zaszczytne określenie mimo, że prawie każdy punkt ich programu stoi w sprzeczności z zasadami, które pierwotnie związane były z nim historycznymi ogniwami.

Gdyby powyższe uwagi wywołać miały wrażenie, iż podyktowane są jedynie filologiczną pedanterią to poprosiłbym o przypomnienie sobie chociażby na chwilę władzy, jaką słowa posiadają nad duchem. Nauka o znaczeniach przeprowadza ostre rozróżnienie pomiędzy posługiwaniem się słowami jako pewnymi symbolami znaczeń, a posługiwaniem się słowami jako naładowanymi uczuciem formułami zaklęć. Jeżeli uprzytomnimy sobie drogę, którą przebyły słowa takie jak — lewica, pokój, wolność czy demokracja, słowa pozbawione jakiejkolwiek powszechnej i cennej wartości znaczeniowej, mimo, że zawierają tak potężny ładunek uczuciowy — to łatwo uzmysłowimy sobie panowanie pewnego prawa, które mówi, że w świecie politycznym słowa stają się tym potężniejsze im bardziej tracą na swym znaczeniu. Tak jak w radioaktywnym procesie masa przeistacza się w energię, tak samo okazuje się, że w psychologii politycznej substancja znaczeniowa słów na skutek szkodliwego nader działania przekształca się w energię promieniową. I w pewnych okolicznościach proces ten także przybrać musi formę gwałtownego wybuchu.

Krótko mówiąc pojęcie "lewicy" stało się dzisiaj szkodliwym anachronizmem, który prowadzi do fałszywego założenia, iż istnieje coś w rodzaju ciągłości widm pomiędzy umiarkowaną a krańcową lewicą, jakieś duchowe pokrewieństwo między postępowymi liberałami a wielbicielami tyranii i zastraszenia. Bierne zaś przyjęcie tej w błąd wprowadzającej terminologii uniemożliwia aktywne przeprowadzenie rozróżnienia między pozytywnym myśleniem, a komunistyczną destrukcją. Więcej nawet, tak potężna jest władza słów nad umysłami, że każdy z nas, który przyzwyczajony jest do traktowania siebie jako "człowieka lewicy" bezwiednie grawituje od pewnego mylnego słownego utożsamienia do realnego psychicznego odczucia solidarności. Resztki tego sąsiedzkiego uczucia wynikają z przeświadczenia posiadania tych samych historycznych początków i znajdowania się wobec tego po tej samej stronie barykady mimo krytyk, polemik czy walki. W ten sposób ofiara prześladowań czarownic oddaje się nieświadomie w ręce swych prześladowców. Powierza ona im swą broń i jednocześnie za-

myka siebie w uczuciowej pułapce, która osłabia wszelką jej obronę i każdy atak czyni niemożliwym. Dzisiaj — jak wszyscy widzimy — partie tak zwanej umiarkowanej lewicy zostały wszędzie pobite i wszędzie się cofają.

Europa żyje w atmosferze, w której słowa przestały być traktowane poważnie. Albo — by wprowadzić pewną zmianę do tego porównania — powiedzmy, że żyjemy w okresie inflacji słownej, która do mowy naszej wprowadziła czarny rynek i która sprawiła, że handluje się słowami na zasadzie kursu czarnorynkowego różniącego się zasadniczo od ich kursu oficjalnego. Stwierdzenie to jednak nie dotyczy tylko owego politowania godnego czarnego rynku, który obejmuje tego rodzaju określenia jak ludowa demokracja czy ofensywa pokojowa. Zmiany w znaczeniach i upadek znaczeń w zakresie naszej politycznej terminologii sięgają odległych bardziej czasów i droga, którą przebyło słowo "socjalizm" może służyć nam jako bogaty w naukę przykład.

Na pierwszy rzut oka alternatywa socjalizm-kapitalizm wydaje się o wiele bardziej konkretna i uzasadniona niż wprowadzające w błąd przeciwstawienie "prawicy - lewicy". Ale po bliższym przyjrzeniu się i ta pewność nasza ulegnie zachwianiu. Oficjalne kursy słowa "socjalizm" nie tylko różnią się w sposób zasadniczy po obu stronach Elby, lecz także ulegają również poważnym zmianom w poszczególnych krajach zachodu. Niemiecki narodowy socjalizm, rosyjski socjalizm sowiecki, angielski socjalizm krytykowany przez Marksa, francuski socjalizm, który uznaje on pod warunkiem dorzucenia szczypty soli, palestyński kapitalizm syndykalny i plan współpracy kapitału i pracy de Gaulle'a inspirowany teoriami Prudhomme'a — wszystko to czerpało czy czerpie swą namiętną siłę rozpędową z jednego i tego samego słowa-fetyszu mimo, że każdy z tych kierunków rozumiał to słowo zawsze nieco odrębnie. Gdybyśmy wyzwolili się z wszelkiej pedanterii słownej to prawdopodobnie udałoby się nam dojść do porozumienia w ustaleniu przybliżonej i elastycznej formuły ujmującej podstawowe aspiracje socjalizmu płynące z jego historycznej ewolucji. Jeżeli jednak zastosujemy elementarne kryteria do partii, które dzisiaj nazywają siebie socjalistycznymi to wówczas spostrzeżemy nie tylko to, że partie te zdradziły czy porzuciły cały szereg podstawowych socjalistycznych zasad, lecz także i to, że w wielu zasadniczych zagadnieniach ich przeciwnicy kapitalistyczni prowadzą dużo bardziej socjalistyczną politykę niż one same.

Weźmy jako przykład stosunki międzynarodowe. Jednym z istotnych założeń socjalistycznej idei od czasów buntu niewolników Spartacusa aż do utopii Tomasza Moore'a, od chrześcijańskich wspólnot aż do Marksa jest dążenie do mię-

dzynarodowego braterstwa. Socjalizm występował zawsze przeciwko szowinizmowi, nacjonalizmowi, imperializmowi a walczył o internacjonalizm, kosmopolityzm, o obalenie politycznych i ideologicznych barier między narodami. Ale dzisiaj w socjalistycznych republikach sowieckich kosmopolityzm jest słowem obraźliwym, a suwerenność narodowa urosła do fetyszu, w imieniu którego państwo sowieckie odrzuca jakąkolwiek efektywną międzynarodową kontrolę zbrojeń. Jednocześnie jednak na ostatnim paryskim kongresie francuskiej partii komunistycznej wywieszono ogromny transparent, na którym widniał napis: prawdziwym internacjonalistą jest ten, który gotów jest bez żadnych zastrzeżeń i bez żadnych warunków bronić Związku Sowieckiego. Tak wygląda rosyjskie ujęcie internacjonalizmu.

Wielka Brytania jest na zachodzie jedynym mocarstwem w którym rządzą socjaliści. W tym ciągle jeszcze dysponującym potężnymi wpływami kraju Labour Party doszła do władzy bezpośrednio po wojnie i to akurat w momencie, gdy jakiegokolwiek socjalistyczne jej dokształcania na to by zrozumieć, że Europa musi albo zjednoczyć się, albo zginie — było już niepotrzebne. Nigdy przedtem nie otworzyła się przed socjalizmem równie historyczna szansa jak to miało miejsce ze zwycięską Labour Party w zwycięskiej Anglii. W jaki sposób szansa ta została wykorzystana — wiemy wszyscy. Możemy zaoszczędzić sobie przypomnienia tych szczegółów. Labour Party przeciwstawiała się każdemu dążeniu, które doprowadzić mogło do zjednoczenia Europy. Niesocjalistyczne rządy Francji, Niemiec, Włoch są nastawione dzisiaj bardziej międzynarodowo niż socjalistyczna Anglia. Sytuacja jest prawie taka sama jak za czasów Stresemana - Brianda, kiedy to w podobny sposób Anglia doprowadziła do rozbitcia planu Brianda utworzenia Europy.

Wiemy oczywiście o tym, że położenie Anglii między Europą a Commonwealthem jest szczególnie trudne — i że zawsze znaleźć można przekonujące argumenty na to, by uchylić się od historycznych rozstrzygnięć. Ale rzucając się w oczy nauką pozostanie to, że brytyjski socjalizm nie zdołał pokonać brytyjskiego wyspiarstwa — wprost przeciwnie, wyspiarstwo to jeszcze wzmocnił. Ruch zmierzający do zjednoczenia Europy, który doprowadził do Strassburga, zawdzięczał to, że się tam znalazł, konserwatyście Churchillowi a nie socjaliście Attlee. A gdy ruch ten nabierał zaczął rozpędu Labour Party zakazała nawet swym członkom brania w nim udziału.

Powstaje też pytanie: jak wytłumaczyć fakt, że mimo, że angielscy konserwatyści w równej mierze, a może nawet więcej — troszczą się o przyszłość Commonwealthu i Imperium od angielskich socjalistów, ci ostatni o tyle bardziej stanowczo przeciwstawiają się zjednoczeniu europejskiego kontynentu. Odpowiedź na pytanie to znajdziemy w deklaracji narodowego komitetu wykonawczego Labour Party, która została opu-

blikowana przez komitet ten z okazji lansowania Planu Schumana. W tym oficjalnym dokumencie czytamy, że Labour Party odrzuca dlatego zasadę ponadnarodowego autorytetu, którego rozstrzygnięcia byłyby wiążące dla państw wchodzących w jego skład, bo w organizmie takim socjaliści mogliby być przegłosowani przez anty-socjalistów lub nie-socjalistów. Cytując dosłownie: "Żaden socjalistyczny rząd w Europie nie może podporządkować się autorytetowi organizmu, którego polityka uzależniona jest od antysocjalistycznej większości".

Istota tego wszystkiego zamyka się w niczym innym jak tylko w stwierdzeniu, iż stanowi to pewne łagodne brytyjskie ujęcie polityki "socjalizmu w jednym kraju". W skali światowej Rosja gotowa jest współpracować tylko z krajami komunistycznymi. W skali zachodnio-europejskiej rząd Labour Party gotów jest współpracować tylko z krajami socjalistycznymi. Odpowiednikiem rosyjskiego veto w Organizacji Narodów Zjednoczonych jest brytyjskie veto, skierowane przeciwko politycznemu i ekonomicznemu umiędzynarodowieniu Europy. Odpowiednikiem żelaznej kurtyny nad wschodnią Europą jest dyplomatyczna ściana mgły nad Kanałem Angielskim.

Jest oczywiście rzeczą najzupełniej zbyteczną podkreślanie tego, iż istnieje zasadnicza różnica pomiędzy strukturami tych dwu reżimów: brytyjską demokracją i rosyjskim totalitaryzmem. Porównanie nasze wypłynęło wyłącznie z jednego specyficznego problemu: zatrzymania się kosmopolitycznego rozpędu w ruchu socjalistycznym. Proces ten rozpoczął się więcej niż 25 lat temu, w roku 1914 i dzisiaj osiągnął stopień tak paradoksalny, iż doprowadza do tego, że kapitalistyczna Ameryka gotowa jest złożyć w ofierze swą suwerenność narodową, podczas gdy socjalistyczna Rosja możliwości tę wyklucza i że angielscy, niemieccy i francuscy konserwatyści prowadzą dużo bardziej międzynarodową politykę niż ich socjalistyczni przeciwnicy. Krótko mówiąc, socjalizm zatracił wszędzie swe prawa do występowania na współczesnej nam scenie jako reprezentant kosmopolitycznej tendencji. Z punktu widzenia integralności naszego rozerwanego świata alternatywa socjalizm - kapitalizm stała się całkowicie bezprzedmiotowa.

Czy posiada ona więcej znaczenia i wartości w dziedzinie polityki wewnętrznej? W zakresie politycznej i duchowej wolności żadna poważna różnica nie zarysowuje się pomiędzy socjalistyczną Anglią a kapitalistycznymi Stanami Zjednoczonymi. Jeżeli zaś mamy na myśli niewolę to dokonanie jakiegokolwiek wyboru pomiędzy socjalistyczną Rosją a faszystowską Hiszpanią będzie bardzo utrudnione. Widzimy więc ponownie jak prawdziwa linia podziału nigdzie się nie pokrywa z abstrakcyjnym rozgraniczeniem między prawicą a lewicą. Pozostaje jeszcze jedna dziedzina w której pozornie wskazana alternatywa posiada pewne znaczenie, jest to dziedzina struktury gospodarczej.

W teorii istnieje ostre rozróżnienie pomiędzy upaństwowieniem środków produkcji z jednej strony a prywatną własnością, zyskiem i wyzyskiem z drugiej. Lecz w praktyce rozwój ostatnich dziesięciu lat przyniósł koniec klasycznym formom pozycyjnej walki klas: zamienił ją w to co nazwać by można było wojną ruchomą. Głębsza analiza procesu tego rozsadziłaby ramy naszych rozważań i dlatego pozwolę sobie ograniczyć się tutaj tylko do utartych zwrotów i założeń.

Już Marks i Engels wiedzieli, że upaństwowienie nie stanowi wszystko leczącego środka. I w związku z tym pragnęlbym przypomnieć pewną uwagę Engelsa, w której mówi on, że gdyby upaństwowienie i socjalizm były rzeczywiście tym samym, to krawiec pułkowy powinienby być traktowany jako pierwsza socjalistyczna instytucja. W rzeczywistości rosyjscy robotnicy tylko w swoim przekonaniu są właścicielami fabryk i to w tej samej mierze co angielski marynarz jest właścicielem państwowego okrętu wojennego na którym służy. Możliwości kontroli ludu nad okrętami wojennymi, kolejami, fabrykami i kopalniami węgla, które w teorii stanowią ich własność są całkowicie uzależnione od politycznej struktury państwa. W Rosji, gdzie związki zawodowe przekształcone zostały przez państwo z instrumentów klasy pracującej w instrumenty wyzysku te same klasy, robotnicy mają dużo mniejszy wpływ na warunki pracy w fabrykach, które teoretycznie stanowią ich własność, od ich kolegów na Zachodzie, bez względu na to czy ci ostatni pracują w prywatnych czy państwowych zakładach. A dalej, rosyjscy dyrektorowie fabryk, kierownicy trustów, naczelni inżynierowie i "proletariacy milionerzy" (to ostatnie określenie wchodzi w skład oficjalnego słownika sowieckiego) stanowią klasę uprzywilejowaną zupełnie tak samo jak w krajach kapitalistycznych. Oczywiście, dochód ich określany jest jako płaca a nie jako zysk, ale i to rozróżnienie ma całkowicie charakter abstrakcyjny. Z drugiej strony właściciele przedsiębiorstw w krajach kapitalistycznych nie mają już możliwości przywłaszczania sobie nieograniczonych zysków jak również wyznaczania na własną rękę płac i swobodnego dysponowania robotnikami jak to miało miejsce we wcześniejszej fazie systemu kapitalistycznego. Chciałbym tutaj odesłać czytelników do przeprowadzonej przez James Burnhama bogatej w wyjaśnienia analizy zmian, zachodzących w treści pojęcia "prawa własności".

Mówiąc ogólnie, upaństwowienie środków produkcji dokonane bez przeprowadzenia jednoczesnych zmian w strukturze politycznej prowadzi nie do socjalizmu państwowego lecz do państwa kapitalizmu. Różnica między tymi dwoma reżimami nie leży w strukturze gospodarczej. Jest ona funkcją praw demokratycznej kontroli i politycznych wolności. Doświadczanie uczy nas, że sama tylko upaństwowiona gospodarka nie umożliwia nam wypowiedzenia się co do rodzaju danego reżimu. Znacjonalizowana gospodarka może równie dobrze słu-

żyć jako podbudowa dla totalitarnej autokracji, jak to ma miejsce w Rosji, jak i dla reżimu faszystowskiego.

Pytanie jaki stopień nacjonalizacji decyduje o tym, że dane państwo uznane może być jako kapitalistyczne czy socjalistyczne jest tak samo problematyczne. Angielscy socjaliści upaństwowili koleje, ale we Francji i Niemczech już od dawna koleje były państwowe. Całkowite upaństwowienie wszystkich środków produkcji i dystrybucji uznane zostało nawet w Rosji za nie do przeprowadzenia. W rzeczywistości alternatywa przed którą stoimy od bardzo dawna nie nazywa się już "upaństwowienie czy przemysł prywatny", istotny problem, który się przed nami zarysowuje polega na znalezieniu odpowiedniej równowagi pomiędzy własnością państwową, kontrolą państwową, kolektywnym planowaniem i inicjatywą prywatną. A ta delikatna równowaga ustalona może być tylko w drodze empirycznej, a nie abstrakcyjnej. Jest rzeczą więcej niż prawdopodobną, iż każde państwo wypracować sobie swą własną formułę rozstrzygnięć, gdyż cały szereg impoderabiliów uniemożliwia zrównanie. I tak więc na przykład kontrola państwowa nad rozdziałem produktów pierwszej potrzeby funkcjonowała w purytańskiej Anglii znakomicie i to bez względu na to czy u władzy byli konserwatyści czy socjaliści. Podczas gdy we Francji i Włoszech — krajach o ludności przede wszystkim łacińskiej i nastawionej indywidualistycznie — system racjonowania zawalił się żałośnie. Reasumując, widzimy, że i w dziedzinie gospodarczej nie mamy do czynienia z jakąś jedną jasną alternatywą, lecz raczej z pewnym rodzajem widma tęczego, którego forma i kolory uzależnione są od elementów nie znajdujących się w teoriach socjalistycznych.

Nie chciałbym by to co powiedziałem przed chwilą zostało zrozumiane jako obrona kapitalizmu czy też atak na socjalizm. To co pragnąłem naszkicować zmierzało do ukazania, iż przeciwstawienie, o którym mówiłem jest w trakcie starzenia się i tracenia na znaczeniu w tym samym stopniu co kiedyś spór pomiędzy Jezuitami i Jansenistami czy też między ludźmi o głowach okrągłych i spiczastych. I jednocześnie nie mam żadnego zamiaru utrzymywać, iż alternatywa ta i w przeszłości była także zawsze pozbawiona znaczenia. Powiedziałem tylko, iż staje się ona bezprzedmiotowa ponieważ jej sztywne ujęcie z XIX wieku zostało obalone na skutek tego, że w ramach jego nie znalazło się dostatecznie miejsca na objęcie rozwoju wypadków ostatniego dziesiętka lat i realnego konfliktu, który powstał.

Znajdziemy w dziejach ludzkości wiele przykładów konfliktów, które na początku wydawały się posiadać znaczenie centralne i które stopniowo na swym znaczeniu traciły w stosunku do nowych historycznych danych. Europę ogarnęła nie-

chęć dalszego prowadzenia wojen religijnych wtedy gdy budzić się zaczęła w krajach nowa narodowa świadomość. Konflikt między zwolennikami monarchii a zwolennikami republiki stał się staromodny i przestał budzić zainteresowanie z chwilą, gdy nowe elementy gospodarcze zaczęły opanowywać nasze nastawienia. Można by zacytować cały szereg podobnych przykładów. Wynika z powyższego, że każdy okres posiada swój specyficzny konflikt, który polaryzuje świat i jest dla niego czymś w rodzaju kompasu ideologicznego — aż do momentu gdy historia wzruszając ramionami przechodzi nad nim do porządku dziennego. A potem ogarnia nas zdziwienie na myśl, że mogliśmy tyle energii i podniecenia włożyć w tego rodzaju zagadnienie.

Istnieje poza tym jedno zjawisko o właściwościach cudu, które polega na tym, że owe ogromne konflikty ideologiczne nigdy prawie nie osiągają ostatecznych rozstrzygnięć i zwykle kończą się kompromisami. W całym szeregu wieków wyglądało na to, że świat cały stanie się mahometański albo chrześcijański, katolicki albo protestancki, republikański albo monarchistyczny, kapitalistyczny czy socjalistyczny. I za każdym razem walka kończyła się bez rozstrzygnięcia, gdyż walce tej towarzyszył proces, który nazwać by można było "obumieraniem problemu". Okazuje się też, iż zawsze owo obumieranie problemu było następstwem pewnego rodzaju zmiany w procesie uświadczenia ludzkości, któremu towarzyszyło ogólne przesunięcie wartości — od uświadczenia religijnego do narodowego, od uświadczenia narodowego do gospodarczego itd.

To i tak dalej, które z taką łatwością wypowiadałam stawia nas przed zagadnieniem, na które odpowiedzieć jeszcze nie potrafimy. Nie możemy bowiem przepowiedzieć ani charakteru następnej zmiany w świadomości mas, ani nowych wartości, które na jeszcze wyższym szczeblu będą powstawać. Możemy tylko na podstawie naszych poprzednich doświadczeń przewidzieć, iż zawołanie bojowe naszych czasów, czasów okresu homo economicus wydawać się będzie naszemu następcy równie bezpłodne i pozbawione sensu jak pytanie po której stronie należy rozbijać jajo, pytanie o które ludy lilipucie toczyły wojny.

Na zakończenie dwie uwagi:

1) Najpierw dodatek do naszego poprzedniego stwierdzenia, że konflikty czasów przeszłych kończyły się zwykle bez rozstrzygnięcia. Wydaje się, iż tak było rzeczywiście pod warunkiem jednak, że przeciwnicy w konflikcie dysponowali mniej więcej równymi siłami i utrzymywali siebie w równowadze. Europa pozostała chrześcijańska dlatego, że Arabowie nigdy aż do Paryża nie dotarli, i dlatego że Turcy zostali od murów Wiednia odepchnięci. Istnieją jednak inne, mniej zabawne, metody historii, zmierzające do rozstrzygnięcia konfliktów. Wnioski jakie należy z tego wyciągnąć mówią same za siebie.

2) Mimo, iż jest rzeczą niemożliwą ustalenie z góry jakie duchowe wartości i kulturalna atmosfera powstaną na skutek następnej zmiany, możemy jednak snuć na ten temat pewne domysły. Podczas gdy większość współczesnych nam osób zahypnotyzowana jest przedawnionym już problemem lewica czy prawica, kapitalizm czy socjalizm, historia weszła na nowe pozycje i postawiła nas przed nową alternatywą, która przecina wszelkie dotychczasowe granice. Istotę tego nowego konfliktu ująć można w jednym zdaniu: totalna tyrania czy względna wolność. Byłoby zbyt ryzykownym przewidywanie, że straszliwy nacisk jaki wywiera konflikt ten na całą ludność może stanowić wyzwanie jakieś dla losów ludzkości, jakąś biologiczną podniechęć, która wyzwoli nową zmianę w świadomości mas; i że zmiana ta zawierać będzie poznanie istoty wolności, poznanie które narodzi się ze strachu i cierpienia. Nie używam tutaj słowa wolność w znaczeniu konwencjonalnym. Od samych początków historii ludzie toczyli walki w imię wolności — ale zawsze wolność, o której myśleli miała charakter ograniczony, było to dążenie do zrzucenia tej czy innej formy ucisku, była to wolność jakby negatywna. Pozytywna i kosmiczna jakby idea wolności, którą teraźniejszy konflikt może wyłonić jest czymś co nie da się zdefiniować. A używam słowa tego jako pewnej formuły o cechach zakłęcia, a nie jako wskazówki rzeczy istniejącej. Gdyby przepowiednia nasza miała się sprawdzić, to naprawdę powiedzieć możemy, iż żyjemy w czasach rozstrzygających i że odpowiedź nasza na zagadnienie, które los przed nami postawił będzie nie bez znaczenia dla przyszłości naszego rodu.

Arthur KOESTLER.

NAJTANIEJ • NAJLEPIEJ • NAJSPRAWNIEJ

obsługuje swoich klientów

((LIBELLA))

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ

12, rue Saint-Louis en l'Île — Paris IV^e.

Katalogi bezpłatnie na żądanie

Ścieżki

«Prawie niebo»

Nie znam kraju w którym by kierowcy taksówek byli bardziej rozmowni i w lepszych humorach niż kierowcy w Stanach. Wszyscy zagadują, wszyscy pytają jak mi się podoba Ameryka i wszyscy tak Amerykę wychwalają że przybysz z Moskwy prawdopodobnie by sobie wyobrażał że każdy kierowca to suto płatny agent propagandy kapitalizmu.

“How do you like this country?” — zdanie sakramentalne niestannie powtarzane. Moje pierwsze wrażenia: Lewantyńczyk wiezie mnie ze stacji, pochodzi z Damaszku, matka urodzona w Aleksandrii, ledwo mówi po angielsku. Pokazuje mi zakrzywionym palcem potężny hotel Waldorf Astoria, mieszka tam Książę Wali, Elza Maxwell i inne tego rodzaju gwiazdy nad gwiazdami society nowojorskiej. Lewantyńczyk-szofer wskazuje ten gmach z taką dumą, jakby przynajmniej posiadał w nim własny apartament; inny szofer z Jamajki zaczyna również od wychwalania New Yorku. “U nas na Jamajce są bardzo bogaci i strasznie biedni, tu każdy co pracuje żyje sobie dobrze”.

Szofer “American born”, w drugim pokoleniu (jeden dziadek Holender, drugi dziadek Żyd z Warszawy), wyraża najwyższe zdziwienie, że po zobaczeniu New Yorku chce wracać do Europy. I mówi z akcentem niechybnej szczerości, więcej, entuzjazmu:

“It is the best place in the world!”

Kiedy już znudziły mnie stale te same zapytania, odwróciłem rolę.

“How do you like this country?” spytałem szofera (ojciec i matka Żydzi z Warszawy). Szofer aż się odwrócił, tak mu się moje zapytanie wydało głupawe i tylko odpowiedział:

“It is my country!”

Ale nie tylko dzieci krajów biednych; Szwajcar, autentyczny, spod Zürichu, mówił mi to samo, dowożąc mnie do Central Station w New Yorku, wśród zgietku huczących ze wszystkich stron “niecierpliwych” żółtych taksówek. Jest już w Ameryce 35 lat, ani myśli wracać do Szwajcarii.

"Nie wracam, po co mi wyjeżdżać? Tam strasznie nudno! Rok temu wyjechałem do Zürichu na dwa miesiące, ale tak się znudziłem, że po tygodniu wróciłem z powrotem".

"Tu jak człowiek pracuje nie brak mu niczego, życie wygodne, masz wszystko co chcesz" — mówi mi na zmianę Francuz, kończąc jak klasyczny Francuz z brodatej anegdotki o słoniu: "Et puis, si vous voulez, vous avez les plus belles filles! C'est si facile!"

Więc i z Francji, więc i ze szczęśliwej Szwajcarii werbują się ci entuzjaści.

Jest w tym także atrakcja wielkiej stolicy. Kiedyś, za młodu próbowałem się przegryzać przez Spenglera. Pamiętam, jak przez mgłę, przeciwstawienie cywilizacji wiejskich z racjonalistyczną, schyłkową cywilizacją wielkich miast. Spengler pisał o tej gwałtownej atrakcyjności stolic. Ludzie wolą ginąć z głodu, ale trwać na bruku tych miast, gdzie są igrzyska, gdzie się przewala tłum ludzki, gdzie jest tempo, tysiące światła, afisze i kina. ("Czy widział pan coś piękniejszego?" pyta mnie Polak, stary emigrant, pokazując mi szpetne kino z tysiącami lampek elektrycznych).

Jeżeli jeszcze miasto takie daje dostatek a nawet "les plus belles filles"!

Henry Miller pisze w swej pięknej książce o Grecji (wyjątkowo, zupełnie wolnej od seksualnych obsesji) jak odkrywa ten kraj bogów, poprzez lud wiejski, poprzez godność każdego chłopca greckiego, chłopca który z jedną kozą, ze skrawkiem winnicy, nigdzie się nie śpiesząc, żyje od pokoleń u stóp Olimpu, dostojnie, w najpiękniejszym kraju, opowiada z pasją, z rozdrażnieniem jak każdy Grek, który był w Ameryce, chce się z nim widzieć, by mu powiedzieć z dumą, że jest bardzo cywilizowany, bo pracował u Forda lub w rzeźniach Chicago. Jeden z nich skarży się Millerowi na barbarzyństwo swych współrodaków: "Posłałem z Chicago matkę prawdziwą blaszaną wannę, a matka trzyma w tym kartofle!" żali się cywilizowany Grek na nieucywilizowaną matkę, która mieszkając nad ciepłym turkusowym morzem gardzi wanną z Chicago!

A Miller nienawidzi tych wanien, tych fabryk i w każdym geście poważnym i dostojnym najbiedniejszego chłopca greckiego widzi istotę życia. Ameryka, jemu Amerykaninowi, wydaje się piekłem na ziemi.

Wracam do szoferów. Kiedy opowiadałem o moich z nimi rozmowach w Europie, mówiono mi nieraz, że to nie jest charakterystyczne; szoferzy taksówek to nie klasyczny proletariatus, to rzemiosło bardziej wolne. Ale byłem w rzeźniach w Chicago dwukrotnie, byłem w fabrykach Forda. Podobne reakcje, podobne zadowolenie i wrośnięcie w kraj nowy, podobną miłość Ameryki, spotykałem także tam. Raz jeden w rzeźni zwiedzałem wszystko jak się należy, drugi raz włożyliśmy się z Polakiem, młodym medykiem z Chicago, w biały lekarski kitlu, który wciąż udawał że idzie do jakiejś przychodni i na ten rachunek

obszedł ze mną gmachy i podwórza i ulice tego miasta-rzeźni. Byłem również w fabrykach Forda, mówiłem z paru inteligentnymi Polakami, którzy w tej fabryce już od roku pracują, zaczynając od najniższych szczebli. Wrażenia moje potwierdzali.

Wszędzie uderzała mnie postawa robotników, ich wygląd fizyczny, świetne ubrania i humor.

Chicago. Rzeźnia. Ogromna hala. Patrząc przez wielkie szyby trochę z góry: dziesiątki zabitych i uwieszonych na posuwających się wciąż "wieszakach" wielkich cielsk wołów i krów; niektóre o zgruchotanych czaszkach mają zamiast głowy jeden ogromny gruzeł krwi. W blado-zielonym świetle, na tle podłogi calutkiej zalanej gorącą purpurą krwi, potężni murzyni w blado-niebieskich kitlach i dziwnych srebrnych hełmach na głowie płatają martwe zwierzęta, zdzierają z nich skórę, obcinają nogi i głowy, wszystko bez pośpiechu. Potężne i wymyślne dźwigary podsuwają im zwierzę po zwierzęciu, "wieszaki" są wciąż w ruchu, bez zatrzymania, jak w filmie René Claire'a "A nous la liberté", lub u Chaplina "Dzisiejsze czasy".

W innej sali siedzą przy posuwających się również bez ustanku, długich jak niekończące się wstążki, płytach blaszanych inni robotnicy. Ci już rąbią, kroją i skrobią różne oddzielne członki zarzniętych zwierząt. Korzystam z przydługiego tłumaczenia przewodnika i szkicuję w notatniku jednego z murzynów, nagle słyszę śmiechy w całej sali, zwracają się do mnie robociarze ze wszystkich stron i robią mi znaki bym ich rysował. Cała sala jest wesoła.

Rozjeżdżając i łażąc po podwórzach tego miasta-rzeźni, gdzie powietrze jest przesiąknięte wnikliwym, trochę słodkim zapachem (krew?) zmieszonym z zapachem nawozu i siana, płynącym z ogromnych zagród gdzie czekają zwierzęta przeznaczone na rzeź, włączając się obok, czy ponad setkami szyn, którymi to było jest dowożone, chodząc przez oszklone mosty-korytarze, rzucone ponad szynami, zagrodami a nawet gmachami, patrzę wciąż na twarze robotników, urzędników, kobiet i mężczyzn ("Ajrysów", murzynów, mulatów, Polaków), robociarze wesoło się przekrzykują, spokojnie gadają ze sobą. Wszędzie to samo uczucie jakiegoś zżycia zbiorowego, jakby bez świadomości wyrażnych różnic klasowych (to nad czym ubolewa Ehrenburg gdy pisze o Ameryce). Wszędzie spotykam też tę samą gotowość do uśmiechu, świetne ubrania, wielkie skórzane fartuchy, wysokie aż po biodra gumowe buty.

Nie chcę wcale uogólniać, opisuję jedynie to co widziałem. Wiele w tym jest może także przez wszystkich przyjętej metody Coué, "wmawiam sobie i innym że wszystko jest O.K., więc będzie O.K.". Opowiadano mi o nagłych samobójstwach ludzi, którzy jeszcze kwadrans przed śmiercią tak samo radośnie uśmiechali się do wszystkich. Inaczej ci ludzie wyglądają być może, w okresach strajków; twarze mają wówczas wyrazy zacięte, prawdopodobnie też wrogie. Kiedy patrzę w oczy policji, która obcesowo żąda przepustek, w tym mieście-rzeźni, gdzie

nie widziałem, patrząc nawet z okien wysokich pięter, ani jednego drzewa w okolicy, wyobrażam sobie, że brutalność pojawia się tutaj błyskawicznie i nie rzadko. Nie widziałem jej jednak sam na własne oczy.

W Detroit byłem zaraz po zakończeniu strajku w jednej z największych w Stanach fabryk automobilowych; wiele stracił przy- niósł on tak fabryce jak również robotnikom i zakończył się niewyraźnym kompromisem.

Kilkakrotnie wymijałem tłum robotników wchodzących, czy wychodzących z tej fabryki, która teraz, by czas nadgonić, pracowała w wzmożonym tempie.

Meżczyźni w szarych spodniach, w sportowych kurtkach, lub w czystych kitlach, zawsze czyste, jakby wprost z pralni koszule, kobiety w bluzeczkach, nieraz jedwabnych, kostiumach — to robotnicy i robotnice. Twarze, cery, tusza — nie mogłem skonstatować, by ci ludzie wyglądali gorzej odżywieni jak ludzie z 5-th Avenue z New Yorku, a ubrani byli wszyscy lepiej niż przeciętny mieszkaniec burżuazyjnych kwartałów Paryża. Nie dziwię się, że drażnić to musiało Ehrenburga. Ci robotnicy niegłodni, dobrze ubrani i bez nienawiści do "burżujów", walczą miesiącami poprzez legalne strajki o podwyższenie płacy. "Niech się bogacą właściciele fabryk, bylebyśmy również na tym skorzystali" miał powiedzieć Ehrenburgowi amerykański robotnik.

"Pomimo wszystko czuję się tu dobrze" mówi pięćdziesięcioletni smutny i rozumny oficer polski, dawny wysoki urzędnik wojskowy z Gdańska, były D.P., dziś robotnik u Forda.

"Nikt na mnie jeszcze ani razu głosu nie podniósł, ani też na żadnego z moich kolegów. Trzy razy jako kierownik ruchu zrobiłem korbą nieodpowiednie posunięcie. Cała praca w ogromnej hali natychmiast stanęła, parę razy rozbiłem duże szyby samochodowe, nigdy nawet wymówki! Widzi pan, ta praca jest dla mnie trudna, trzeba w sobie wyrobić reakcje odruchowe, ja zanadto się staram. Moi koledzy, młodszy ode mnie, mają czas zjeść jabłko podczas pracy, wypalić papierosa — ja nie. Ale uderza mnie tutaj szacunek dla człowieka, no i rzadkie koleżeństwo, gotowość pomocy. Pracowałem przez parę miesięcy w ekipie, gdzie byłem jedynym białym wśród samych murzynów; ładowaliśmy części maszyn na auta, kierownik grupy był też murzynem, nie tylko że mnie nie krzywdził, ale gdy ciężar był większy, wyznaczał do tej roboty murzyną — to nie dla pana, to za ciężkie! — mówił. Nikt mnie nie krzywdził, nikt również nie zagląda mi do mego prywatnego życia, umiem to ocenić.

W wielu przygodnych rozmowach w Ameryce, tak łatwo nawiązywanych, bo ludzie rozmawiają chętnie, bez śladu podejrzliwości i uprzedzeń, zawsze pytałem o pochodzenie. Polacy, Żydzi, Niemcy, Holendrzy, Irlandczycy i nawet Japończycy, nigdzie tej całej krutki narodowościowej nie obserwowałem tak jak podczas mego parodniowego pobytu w Chicago.

Dwudzieste drugie piętro, bezkresny widok na tysiące domów

najróżniejszej wielkości, ani śladu drzew, a na każdym większym domu, wielkie, często wysokości paru pięter, czarne kotły-rezerwuary. Pierwsze wrażenie widoku z okna to nie domy, a tysiące tych kotłów, które z daleka wyglądają jak czarne garnki kuchenne. Rano przynoszą mi śniadanie do pokoju, wnosi je na tacy starszy człowiek, Polak. Pytam jak mu się powodzi? "O bardzo, bardzo dobrze!" — "Ma pan dzieci?" — "Dwóch synów, już żonatych, wnuki, dobre dzieci, kochają mnie, wczoraj cały dzień spędzili ze mną".

Na drugi dzień przynosi mi śniadanie niski, krępy Japończyk z wesołymi oczami jak paciorki, z Honolulu. Okazuje się kolega z 8-mej Armii. Bił się we Włoszech w amerykańskim pułku artylerii; mówi o tym z nieukrywana dumą. Potem znowu mam Hawajczyka, dalej Irlandczyka, wszyscy bez wyjątku chwają sobie tutaj życie, a przy tym nie wyczuwam w nich cienia służalczości, nie tylko śladu "padam do nóżek!", ale nawet zainteresowania napiwkami. (Pierwsze wrażenie powrotu do Paryża: hotel przy Gare St. Lazare, miła służąca opowiada mi jak ciężko pracuje i bez potrzeby krząta się po pokoju. Przyjechałem z Ameryki, jestem zapewne milionerem, może dam napiwek o 50 fr. większy?).

Ta służba hotelowa w Chicago jest nie tylko lepiej płatna, ale ma słusznie czy niesłusznie większe poczucie bezpieczeństwa, nie tylko dla siebie, ale dla swoich dzieci. To jest mentalność o której my w Europie tak zapomnieliśmy, że nas dziwi każde z nią zetknięcie.

Najwięcej uderzyła mnie jedna rozmowa w Chicago. Zachodzę do restauracji-baru. Jest, jak przeważna ilość tego typu instytucji, dla mnie przykra, bo prawie ciemna, oświetlona jedynie neonami. Czerwone neony odbijają się w niezliczonej ilości butelek i w łysinie grubego barmana. Podaje mi makaron sympatyczna, starsza kelnerka, blondynka, z długim, trochę kaczym nosem. Widząc że jestem Polakiem, jest dla mnie szczególnie usłużna, wprost przyjazna. Sama jest Polką, przybyła tu już wiele lat temu. Pytam się ją, jak zwykle, jak się jej powodzi? Odpowiada skwapliwie, że bardzo dobrze, i kończy już zaufanym półszepsem:

"Bo tutaj, proszę pana, to jest **prawie niebo!**"

Patrząc na czerwone neony, na setki butelek, na tłustego barmana i gorączkowy pośpiech z którym ta kelnerka i jej koleżanki obsługują tłustych gości. A więc tak ma wyglądać niebo.

"Jacques zawsze się oburza na zapał i szybkość z jakimi zjadam gotowaną kiełbasę, nie może zrozumieć, że mnie przez pięć lat śniła się taka kiełbasa!" pisze mi przyjaciel, który w Polsce przeżył lata niemieckiej okupacji i już od paru lat do Francji trafił.

Tej kobiecie, którą nędza przed laty wyrzuciła z Polski, tej kobiecie z baru z czerwonymi neonami, ile lat "śniła się taka kiełbasa?"

(d. c. n.)

Józef CZAPSKI.

„ORZEŁ BIAŁY”

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI

WYDAWCA: GRYF PUBLICATIONS LTD.

59/61, Hatton Garden — London E.C.1.

Tel. CHAncery 5094.

ADRES REDAKCJI: c/o R. PIESTRZYŃSKI,
32 Blenheim Gardens — London N.W.2.

*Przedstawicielstwa w Austrii, Belgii, Francji,
Holandii, Norwegii, Szwajcarii, Szwecji i we Włoszech
Nadto w Argentynie, Kanadzie, Libanie, Płd. Afryce
w Stanach Zjednoczonych.*

● Cena egzemplarza:

We FRANCJI 25 franków fr. * W BELGII 5 franków belg
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

● P r e n u m e r a t a :

We FRANCJI miesięcznie 100 fr. fr.; kwartalnie 300 fr. fr.
W BELGII miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/
rocznie 45/.

● Prenumeratę przyjmują:

WE FRANCJI: *Libella*, 12, rue St. Louis en l'Île, Paris IV
nr. konta pocztowego Paris cc 565.150.

W BELGII: *J. Roskiewicz*, 44, Rue Vinçotte — Bruxelles
nr. konta pocztowego 3172.28.

W ARGENTYNIE: *Skladnica Książki Polskiej*, Av. Leandro
N. Alem. 641, Buenos Aires.

OGŁOSZENIA: (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)

przyjmują przedstawicielstwa „Orła Białego”,
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma

CARLTON BERRY LTD.,
Grand Buildings, Trafalgar Sq., LONDON W.C.2.

Straty Kultury Polskiej

«Sztubak»

Kazimierza Leczyckiego poznałem w 1919 roku w Wilnie. Świeżo otwarty Uniwersytet Stefana Batoro ściągnął tam wówczas całą dorastającą i dorosłą uczącą się młodzież z rozległych obszarów ziem północno-wschodnich. Studenci, przeważnie w mundurach, bądź to na oficjalnych „urlopach akademickich”, bądź „dojeżdżający” na wykłady z niezbyt odległego frontu, i ogromna ilość uroczych koleżanek pilnie garnęli się do starych murów Wszechnicy na improwizowane w pierwszym roku z ogromnym przejęciem przez nieliczne grono profesorów, studia. Na „prawie” wykłady i ćwiczenia odbywały się w początkowym okresie w godzinach popołudniowych. Od godz. 9 rano do 3 popołudniu niedawni wojacy, a obecnie świeżo upieczeni adepci prawa, odbywali „ćwiczenia praktyczne” w charakterze urzędników nowej rodzimej administracji. Umieszczone w Wilnie władze centralne — Komisariat Generalny Zarządu Cywilnego Ziem Wschodnich, — wojewódzkie i powiatowe dostarczały praktycznie nieograniczonych możliwości zarobkowania dla „prawników”.

Zaznaczyć zresztą należy, że ówcześni studenci różnili się nie tylko ubiorem od następnych pokoleń wychowanków Wszechnicy Batorowej. Znaczną ich część stanowili ludzie, których dojrzałość stwierdzało nie tylko oficjalne świadectwo maturalne. Zawierucha lat 1914-1919 przerwała lub opóźniła studia całego szeregu roczników, toteż w roku 1919 studenci w wieku lat 25 - 30 i wyżej nie stanowili bynajmniej rzadkości. My, młodszy, z dopiero co uzyskanymi oficjalnymi dowodami naszej umysłowej dojrzałości, nie tyle z zazdrością, co z dumą patrzyliśmy na „obwisłe wąsiska” kolegów z ław uniwersyteckich, którzy już nie z jednego pieca chleb jedli, a często nawet przez lat parę wycierali ławy tego lub innego uniwersytetu rosyjskiego. Ze względu na stopniowe uruchomienie kolejnych lat studiów na

Uniwersytecie Wileńskim, w roku 1919 wszyscy po społu pilnie uczęszczaliśmy na wykłady pierwszego roku.

Ówczesny naczelnik wydziału prasowego Komisariatu Generalnego ZCZW — Czesław Jankowski — wysoko ceniał dobrze znanego mu już od lat kilku, 25-cio letniego Kazimierza Leczyckiego. Toteż gdy tylko zjawił się on w Wilnie został, jako znany polski dziennikarz, zaangażowany przez p. Czesława do pracy w powierzonym mu wydziale Komisariatu Generalnego. Tam też, w gmachu późniejszego kasyna garnizonowego, na rogu Wileńskiej i późniejszej Mickiewicza, ujrzałem po raz pierwszy Leczyckiego. Mały niepozorny brunecik, w niesłychanie zaniedbanym ubraniu c y w i l n y m, imponował mi on wówczas ogromnie. Stawiałem dopiero pierwsze kroki na polu pracy publicznej, Leczycki zaś znał wszystkich i wszystkim był znany. Najbardziej wysocy dygnitarze Zarządu Cywilnego prowadzili z nim długie dyskusje na najbardziej zasadnicze tematy polityczno-społeczne, on zaś pisał artykuły — nie małe wzmianki kronikarskie i to nie do gazet wileńskich, lecz do samej *Gazety Warszawskiej*.

Gazeta Warszawska stanowiła wówczas poważny organ prasowy późniejszego Stronnictwa Narodowego i niepodpisane prze ważne artykuły wstępne umieszczali w niej Dmowski, Kozicki, Hłasko i inni znani w całej Polsce działacze polityczni. Początkowo z niedowierzaniem przyjąłem wersję, iż w *Gazecie Warszawskiej* pisuje również mój kolega z Uniwersytetu Wileńskiego. Przez pierwsze dni obserwowałem z ciekawością jak Leczycki, w chwilach wolnych od rozmów i czytania prasy, rozpoczynał jakieś dziwne machinacje z przeczytanymi numerami gazet, starannie odrywał ich zadrukowane strony, długie zaś wąskie białe marginesy pokrywał jakimiś na pozór absolutnie nieczytelnymi gryzmołami. (Charakter pisma Leczyckiego był zawsze czymś pośrednim pomiędzy pismem 5-cioletniego chłopca, a śladami kury na papierze). Po zapisaniu 6 - 7 kartek następowało odczytywanie artykułu, bądź to głośnie wobec kogoś z bliższych znajomych, bądź ciche przy jednoczesnym obgryzaniu obsadki, maczanej na zmianę, raz w kałamarnu, raz w sta le dyżurującej na stole szklance wystygłej, niesłodzonej herbaty. Po przeczytaniu zasmarowane skrawki papieru były ładowane do jakiejś, równie nieprawdopodobnie wyglądającej koperty, starannie adresowanej przez autora: *Gazeta Warszawska w Warszawie* i ekspediowanej na pocztę.

Gdy w parę dni potem czytałem na czołowym miejscu *Gazety Warszawskiej* znane mi już uprzednio zdania, miałem bezpośredni dowód, nie tylko tego, że kolega Leczycki istotnie jest współpracownikiem poważnego czasopisma warszawskiego, lecz także i tego, iż nie ma granic cierpliwości zecerów i ich zdolności odcyfrowywania najbardziej zawiłych gryzmołów.

Równie jak w urzędzie imponował mi Leczycki na Uniwersytecie, zabierając śmiało głos na ćwiczeniach i seminariach i,

łącznie z paru innymi starszymi kolegami, dosłownie królując na wiecach i zebraniach akademickich. Podczas gdy my, młodzi i nieznani, musieliśmy z dużym wysiłkiem zdobywać sobie jakieś miejsce w społeczności akademickiej, kolega Kazik zawsze był z dużą rewerencją konsultowany, wysłuchiwany i wreszcie oklaskiwany przez patrzące weń, jak w tęczę, koleżanki.

Urodzony w 1894 r. na dalekich Kresach Rzplitej, w powiecie borysowskim nad Berezyną, Leczycki studia gimnazjalne odbył w Mińsku, gdzie równie w ciągu szeregu lat brał wybitny udział w pracach organizacji młodzieży narodowej. Rewolucja rosyjska spowodowała rozszerzenie działalności społecznej Leczyckiego na koła rzemieślniczo-włościańskie i nadała jej szerszy zasięg geograficzny, szczególnie gdy okupacja niemiecka przyczyniła się do zwiększenia tempa pracy organizacyjno-społecznej w ramach szeroko rozwiniętej na Wschodzie POW, która tam ogarnęła całą młodzież polską, niezależnie od jej takich lub innych poglądów na sprawy polityki wewnętrznej. W rezultacie tej swej działalności w roku 1919 Leczycki był znany nie tylko wśród młodzieży i ówczesnych działaczy społecznych na Wschodzie, którzy następnie w wielu wypadkach osiągnęli bardzo wysokie godności w Polsce Niepodległej, lecz również i wśród szerokich rzesz "szarych" obywateli na rozległych obszarach ziem północno-wschodnich. Bezpośrednio mogłem przekonać się o tym w roku 1920.

Przykry wypadek w dzieciństwie — zmażdżenie prawej stopy przez ciężkie koło bryczki — uniemożliwił Leczyckiemu wstąpienie do szeregów w r. 1919. Katastrofa 1920 r. zlikwidowała na pewien okres wszelkiego rodzaju komisje lekarskie i Leczycki, po społu z innymi studentami USB znalazł się w szeregach. W kilku potyczkach pod Wilnem oddział, w którym był szeregowiec Leczycki, został rozbity, w związku z czym spotkałem go bez przydziału któregoś lipcowego dnia w Grodnie. Po opuszczeniu i tego miasta przeleźliśmy z nim upalny dzień w prowizorycznych okopach na zachodnim górzystym brzegu Niemna, osłaniając ogniem przepływające się przez rzekę wpław oddziały naszej kawalerii. Wieczorem, stosownie do otrzymanych rozkazów, dowódca oddziału zwinął linię i zarządził wycofywanie się w kierunku na Kuźnicę. Po paru godzinach marszu po ciemku na przełaj, chora noga spowodowała, iż Leczycki zaczął wyraźnie zostawać w tyle. Zdecydowałem go nie opuszczać i niedługo zostaliśmy sami w nocy, w polu. Oczywiście, straciliśmy kierunek i musieliśmy czekać do rana. Po wschodzie słońca kontynuowaliśmy nasz samotny marsz. Gdyśmy przechodzili przez jakąś na wpół opustoszałą wieś, Leczycki został raptem zagadnięty przez któregoś z miejscowych mieszkańców, który go znał z jakiegoś zjazdu. W rezultacie zostaliśmy nakarmieni, zaopatrzeni w żywność i przestrzeżeni, że wszystkie oddziały polskie przemaszewowały tędy wczoraj, a obecnie są pogłoski o

pojawiających się patrolach kozackich. Zdecydowawszy się odmówić bardzo serdecznym propozycjom ukrycia i przechowania nas na miejscu, ruszyliśmy w dalszą drogę do odległej o kilkanaście kilometrów Kuźnicy.

Okolica była zupełnie pusta. Trochę porzuconego sprzętu, padłe konie i połamane wozy znaczyły drogę odwrotu wojska. Od czasu do czasu pojawiali się podobni do nas rozbitkowie, niekiedy zupełnie nadzy po przebyciu wpływ Niemna i spieszący co sił w kierunku zachodnim. Chora noga Leczyckiego uniemożliwiała nam szybsze tempo marszu i groziła poważnie niebezpieczeństwem zagarnięcia przez kozaków. Z opresji wyratował jakiś ułan, który, mijając nas konno, przyjrzał się Leczyckiemu, po czym zawrócił i zagadnął mego towarzysza: "Panie, ja Pana znam. Pan jest z Wilna. Pan jest bardzo uczony człowiek, ja często Pana spotykałem na Świętojerskim (ówczesna nazwa ulicy Mickiewicza w Wilnie) i zawsze z książkami i masą gazet w kieszeniach płaszcza. Siadaj Pan ze mną na konia". W ten sposób, dzięki popularności Leczyckiego, resztę drogi odbyliśmy przy wydatnej pomocy nóg końskich, co nam umożliwiło złapanie na stacji w Kuźnicy ostatniego transportu kolejowego.

W obozie zbornym w Rembertowie los rozdzielił mnie z Leczyckim, spotkaliśmy się ponownie w Wilnie na początku 1921 r. O swej karierze wojskowej opowiadał bardzo niechętnie, nieszczęsna noga spowodowała skierowanie go na jakieś etapy czy do kancelarii, gdzie nie było przeżyć godnych innych kolegów, mniej lub więcej wymownie opowiadających o swych przygodach bojowo-frontowych.

W ogóle wspaniała się zapowiadająca "gwiazda" Leczyckiego stopniowo gasła w ciągu następnych lat. Zmieniona sytuacja wojenna umożliwiła nam kontynuowanie chwilowo przerwanych w 1920 r. studiów. W toku nich — szczególnie w pierwszych latach — Leczycki odznaczał się przejawami zgoła niezwykłej inteligencji, w miarę jednak jak studia te przybierały coraz bardziej charakter ściśle prawniczy, okazało się, iż Leczycki nie ma ani zamiłowania ani specjalnych zdolności do jurydycznych dyscyplin.

Podczas gdy większość kolegów w okresie przedegzaminacyjnym porządnie przysiadła nad kodeksami, Leczycki, twierdząc, iż do każdej normy prawnej można dojść na drodze logicznego rozumowania, zajmował się zagadnieniami natury bardzo ogólnej. Toteż przy egzaminach dyplomowych egzaminatorzy znaleźli się w dość trudnej sytuacji. Stosunkowo nieliczne grono studentów w pierwszych latach USB umożliwiała ciążu profesorskiemu szczegółowe orientowanie się w warunkach indywidualnych każdego kandydata. Leczycki był znany i ceniony przez profesorów i kolegów, lecz zarówno jedni jak i drudzy zgodnie przyznawali, iż nie ma on pojęcia o pozytywnych przepisach prawnych. Wieść gminna, niosła, że komisja egza-

minacyjna ostatecznie zdecydowała przyznać Leczyckiemu dyplom ukończenia Wydziału Prawa i Nauk Społecznych USB, zobowiązując go jednocześnie, by dyplomu tego nie wykorzystał dla robienia kariery życiowej w jakimś praktycznym zawodzie prawniczym. Jeśli Leczycki istotnie podobne zobowiązanie dżentelmeńskie zaciągnął, dotrzymał go w całej pełni do końca życia. Po ukończeniu uniwersytetu nie poszedł na aplikację do sądu, nie wszedł również, jak większość inteligencji polskiej, do urzędniczej służby w administracji. W ogóle ukończenie uniwersytetu odbyło się raczej ujemnie na jego warunkach życiowych. Podczas gdy inni koledzy mniej lub więcej szybko kroczyli po drodze kariery życiowej i stopniowo "porastali w pierze", dla Leczyckiego ukończenie uniwersytetu oznaczało utracenie prawa do stołówki akademickiej oraz do szczupłych, lecz pewnych stypendiów. Aczkolwiek pod koniec studiów prawniczych doszedł on do wniosku, iż popełnił raczej błąd życiowy wstępując na Wydział prawny, a nie humanistyczny, poczucie obywatelskie oraz świadomość znacznych kosztów, ponoszonych przez społeczeństwo na kształcenie każdego poszczególnego studenta, a być może i wiek już dość zaawansowany, nie pozwoliły Leczyckiemu na przedłużenie studiów poza normalne cztery lata. Utrzymując w dalszym ciągu ścisły kontakt z poszczególnymi profesorami i uczęszczając na luźne wykłady, nie zapisał się po skończeniu Wydziału Prawnego na Humanistykę.

Jeszcze w czasie studiów uniwersyteckich Leczycki występował często z bardzo interesującymi koncepcjami, wywołującymi ożywioną dyskusję i powszechne zainteresowanie. Dwie z takich koncepcji — przy finansowej pomocy bodaj profesora ekonomii USB i późniejszego Ministra Skarbu Władysława Zawadzkiego — znalazły wyraz w wydanych w latach 1921 - 23 broszurach: *Armia Pracy* i *Trzecia Polska*.

W pierwszej z nich, krytycznie ustosunkowując się do wykorzystywania czasu i energii młodego pokolenia, powoływanego do służby wojskowej i szkolnego w koszarach, Leczycki rzucał myśl zbliżenia armii do szerokich mas społeczeństwa i jego realnych potrzeb codziennych przez skierowywanie wojskowo zorganizowanych oddziałów młodzieży do zakrojonych na wielką skalę robót publicznych w dziedzinie odbudowy kraju i wielkich inwestycji. Tkwiła już tam, jeśli dobrze pamiętam, myśl, iż nowoczesna armia winna być kierowana przez inżynierów, a żołnierze szkoleni nie tylko w mustrze formalnej i władaniu karabinem, lecz przede wszystkim kształceni w sztuce technicznej. Nie mało też miejsca w wydanej w okresie inflacji broszurze zajmowały aktualne wówczas zagadnienia ekonomii społecznej i finansowania wielkich, przekształcających Polskę inwestycji. Tak popularne w Polsce w wiele lat później hufce junackie miały w ten sposób w Leczyckim swego prekursora.

Zagadnienia idealnego ustroju politycznego i społecznego przyszłej, kierowanej przez nowe pokolenie — zasadniczo różniące się od "urodzonych w niewoli i okutych w powiciu" — *Trzeciej Polski*, stanowiło temat drugiej broszury wileńskiego studenta.

Wychowany przez Młodzież Narodową w równym stopniu jak przez POW w kresowej twardej szkole walki o prawa Polkości, zalewanej przez przemożną falę ruszczyzny, w początkowym okresie jego działalności carskiej w następnym zaś czerwonobolszewickiej, Leczycki nie miał zrozumienia dla walk politycznych wewnątrz społeczeństwa polskiego. Gubernialny Mińsk — stolica, w porównaniu do zapadłej Berezyny — nie zdołał mu unaoznić realnego faktu konfliktów klasowo-społecznych. W walce narodowo-niepodległościowej konflikty te zacierają się i polski szlachcic, rzemieślnik, chłop i robotnik wspólnie z nim, lub na jego oczach walczyli po społu naprzód z żandarmem i gubernatorem, następnie zaś z komisarzem rosyjskim.

Toteż rozdzierające społeczeństwo polskie w Niepodległym Państwie walki polityczne i społeczne Leczycki tłumaczył, jako smutne dziedzictwo okresu niewoli. Podział na partie i stronnictwa wydawał mu się sztuczny, dużo mniej istotny od podziału na pokolenia. Pokolenie polskie, które większą część życia spędziło w bezpośredniej lub pośredniej służbie zaborcom, było jego zdaniem, nieuleczalnie zarażone jadem niewoli. Pokolenie nasze, urodzone w niewoli, lecz pracujące już w Niepodległym Państwie, rokowało pewne tylko nadzieje. Dopiero pokolenie następne urodzone w wolnej Polsce i znające niewolę tylko z nudnych opowiadań, powołane było do wytworzenia jednolitego zwartego społeczeństwa, przeciwstawiającego się stanowczo wszelkim rozkładowym i wrogim prądom i realizującego idealny ustrój polityczny i społeczny *Trzeciej Polski*.

Tę naiwną filozofię młodzieżowo-mesjanistyczną głosił Leczycki jako młody student i w zasadzie pozostał jej wierny do końca życia. Na okładkach pierwszych swych broszur studenckich umieścił długi spis przyszłych swych prac, podając przy każdej rok jej wydania, do 194... któregoś włącznie. Miały one w formie literackiej, filozoficznej i polityczno-społecznej rozwijać i uzasadniać zręby "ideologii", założonej w *Armii Pracy* i w *Trzeciej Polsce*. Koleżeńskie perswazje, tłumaczące mu naiwność i pretensjonalność takiego ogłoszenia, były dlań niezrozumiałe. W przyszłości czynnik planowania będzie odgrywał decydującą rolę, twierdził, i każda jednostka twórcza będzie musiała ustalać plan swych prac. Dla publiczności dużo bardziej ciekawe jest jakie prace dany autor zamierza napisać, od tych które już napisał.

Przy tego rodzaju nastawieniu ogólnym Leczycki nie czuł się dobrze w atmosferze Niepodległej Polski, szczególnie gdy, nie mogąc zrozumieć zacieklej walki endecji z Belwederem, w

którymś ze swych artykułów wystąpił z koncepcją wznoszenia gmachu nowej Polski z "endeckich ścian pod belwederem dachem", za co, z pewnym nawet huczkim, został wykluczony ze Str. Narodowego, czy też wówczas jeszcze Związku Ludowo-Narodowego. W poszukiwaniu warunków zbliżonych przynajmniej do tych, które w latach 1914 - 1919 tak mu odpowiadały przy jego pracy w Mińsku, Leczycki opuszcza Polskę i znaczną część swego życia poświęca pracy społecznej wśród Polonii zagranicznej.

Lata 1925 - 1927 spędza, jako nauczyciel szkoły polskiej i opiekun niedawno przesiedlonych z Westfalii górników polskich, w małej alzackiej mieścinie Pont à Mousson. Gdy w czasie odwiedzin jego w Paryżu wyrażałem zdziwienie, jak może wytrzymać w tak zapadłej dziurze, zaczął w niezmiernie gorących słowach chwalić nastroj robotników polskich na uchodźstwie i wytwarzaną w ich społeczeństwie atmosferę. W atmosferze tej, poza pracą społeczną, poświęca wiele czasu studiom i pracy literackiej. Ciągłe jednak tkwi sercem i wspomnieniami w coraz bardziej oddalającej się przeszłości.

Wydane po powrocie do Polski, bardzo nierówne w formie i treści, nowele — jeden ze zbiorów ich nosił tytuł *Brat z tamtej strony* — obracają się dokoła tematów "kresowych" — walki o prawa Narodu i niepodległość Państwa, dramatów związanych z linią graniczną Traktatu Ryskiego itp. Podobnie największe dzieło Leczyckiego, wydana w 1930 - 31 r. przez Gebethnera i Wolffa powieść *Państwo* stanowi właściwie ujęte w formę literacką wspomnienia autora z okresu jego pracy w Mińsku.

Praca organizacji młodzieżowych, dyskusje i rojenia o przyszłym idealnym ustroju, akcja przeciwko rosyjskim bolszewikom, zagrażającym zniszczeniem wszystkiego co polskie, oto w najogólniejszym zarysie fabuła tej powieści, której tytuł, w intencji autora, miał symbolizować źródło i genezę Państwa.

Po powrocie do Polski z Francji Leczycki jakiś czas pracuje jako nauczyciel języka i literatury polskiej w szkołach średnich w Wilnie. Entuzjazmuje się tym zajęciem, podobnie zresztą, jak wszystkim, co robił w życiu. Opowiada różne cuda o nadzwyczajnych talentach, jakie ponoć rosną w młodym pokoleniu. Uczniowie jego i uczenice są również nim zachwyceni. Innego natomiast zdania jest Kuratorium Szkolne o nauczycielu, który z zasady nikomu nie stawia "dwójek" i nie zwraca najmniejszej uwagi na błędy ortograficzne w wypracowaniach. Kurator i wizytatorzy się godzą, iż lekcje Leczyckiego są inteligentne i interesujące, że młodzież go lubi, twierdzą jednak, że zadaniem nauczyciela w szkole średniej nie jest wykrywanie i pielęgnowanie talentów literacko-artystycznych, lecz nauczanie ogółu swych uczniów prawidłowego mówienia i pisania po polsku, czego Leczycki przy pomocy swej metody bynajmniej nie osiąga.

Nie mogąc pracować wśród młodzieży Leczycki ponownie wy-

jeżdża zagranicę. Czas jakiś spędza na Łotwie, gdzie w Dzwinsk (Dynaburgu) redaguje polską gazetę pod tytułem *Dzwon* i pracuje społecznie wśród inflanckiej Polonii.

Po paru latach wyjeżdża na podobne stanowisko do Ameryki Południowej, gdzie redaguje jedną z gazet polskich w Argentynie. Nie wiem czy wśród robotników polskich we Francji, rolników inflanckich i emigrantów zamorskich w Argentynie zdobył Leczycki zdobyć sobie podobny mir i popularność, jaką w latach 1916 - 20 uzyskał na polskich ziemiach północno-wschodnich. Wydaje mi się jednak, iż nigdzie nie zdołał znaleźć analogicznych warunków pracy i atmosfery, jaka panowała w przedmowych latach zeszłej wojny w Mińsku i jego bliższych i dalszych okolicach. A ta właśnie, jedyna w swoim rodzaju, atmosfera stanowiła niezbędną pożywkę dla pełnego rozwoju talentu i zdolności Leczyckiego. W innej atmosferze i warunkach wydawał się on zanadto mało życiowy, co więcej może nawet naiwny i śmieszny.

Po powrocie, gdzieś w połowie lat trzydziestych, do Polski Leczycki widzi realizację jednej ze swych "idei" — "endeckich ścian pod belwederskim dachem". Przekomarzających się z nim kolegów przekonuje — bez właściwego sobie entuzjazmu — iż mogą z tego wyjść wielkie rzeczy. Sam jednak w BBWR ani w Ozonie nie bierze czynnego udziału, aczkolwiek, ciągle parając się dziennikarstwem i widząc w nim główne — poza dyskontem weksli — źródło swych dochodów życiowych, pisuje do *Gazety Polskiej*, *Kuriera Wileńskiego* i innych, przeważnie subsydiowanych, wydawnictw. Unika jednak tematów politycznych, poruszając w swych artykułach przeważnie zagadnienia kulturalne i ogólnospołeczne. W tym okresie jego życia pochłania go nowa dziedzina twórczości — teatr.

Jako autor dramatyczny Leczycki zdobywa sobie również pewien rozgłos i uznanie, nie mniejsze bodaj niż jako publicysta i literat. W pewnym nawet momencie stoi u progu czegoś, co można by nazwać sławą. Poświęcona zagadnieniom młodzieży uczącej się w szkołach polskich sztuka jego pt. *Sztuba* obeszła wszystkie sceny polskie i trafiła do poszczególnych teatrów zagranicznych. Oklaskiwany na premierach autor mógł przypuszczać, iż znalazł wreszcie drogę do poruszenia i zdobycia uznania "tłumów". Pomimo iż inne jego sztuki (na tematy obyczajowe) nie miały tak dużego jak *Sztuba* powodzenia i stosunkowo szybko zeszły z afisza Teatru Polskiego w Wilnie i jego filii w Druskiénikach, Leczycki wierzył, iż w dziedzinie dramatu uda mu się stworzyć rzeczy naprawdę trwałe i wartościowe. Wiare tę podtrzymywały miały opinie dyrektorów teatrów i krytyków teatralnych z którymi utrzymywał ożywione stosunki.

Napisany przez Leczyckiego w latach 1938 - 9 dramat, poświęcony zagadnieniom rasizmu i stosunkom polsko-żydowskim, miał być przez fachowe czynniki oceniony bardzo dodatnio i na jesieni 1939 r. miał być wystawiony przez Teatr Narodowy

w Warszawie. Niestety nie dane było autorowi doczekać się tej premiery.

Tantiemy autorskie z przedstawień *Sztuby* stanowiły bardzo poważną pozycję w nad wyraz niestałych i nieokreślonych dochodach Leczyckiego. W dużym stopniu pozbawiony zmysłu zaradności życiowej, człowiek ten żył stale w stanie granicznym z nędzą. Pożyczki od kolegów oraz bliższych i. dalszych znajomych, zaciągane na poczet przyszłych honorariów i tantiem umożliwiały mu jakoś wegetację.

Nad wyraz skromnie umeblowany pokój przy ulicy Portowej w Wilnie, ponury latem a bardzo słabo opalony w zimie, służył mu właściwie tylko jako schronisko na noc. Dzień cały spędzał Leczycki na mieście, przesiadując przeważnie po kawiarniach. Popularni w Wilnie Sztralowie i Rudnicki odgrywali w pewnym sensie rolę miejscowych mecenasów kultury i sztuki. Literaci, dziennikarze, aktorzy i inni artyści korzystali w ich cukierniach, w godzinach mniejszego ruchu, ze specjalnieniżonych cen. Okoliczność ta pozwalała Leczyickiemu za kilkanaście groszy ("literacka" cena pół czarnej) mieć na ładnych kilka godzin dziennie względnie ciepły i jasny kąt do pracy. Dlaczego wołał on pracować w kawiarniach, a nie w stosunkowo licznych w Wilnie i dobrze zaopatrzonych bibliotekach i czytelniach publicznych, pozostanie jego tajemnicą. Faktem jest jednak, iż zarówno *Sztuba* jak i większość innych prac i artykułów Leczyckiego powstały na kawiarnianym "marmurowym" stoliku u tzw. Sztrala "pocztowego" czy też "profesorskiego". Tam, w najdalszej sali, przy bocznym stoliku, przesiadywał całymi godzinami, przeszkadzając często samą swą obecnością umówionym "na randki" flirtującym parom. Niedługo jednak przyzwyczajono się doń i nie zwracano uwagi, na zasadach całkowitej jego wzajemności. Zimne pół czarnej na stoliku i Leczycki, pokrywający gryzmołami kartki pogniecionego i wytłuszczonego papieru i niezwracający najmniejszej uwagi na otoczenie, stały się niezbędnymi niejako akcesoriami "profesorskiego" Sztrala.

Niezwykłe warunki pracy w kawiarni nie wpływały ujemnie na jej wydajność. Dążąc do wykonania i przekroczenia nakreślonego w latach akademickich planu swej twórczości, Leczycki pisał bardzo dużo. Większość co prawda jego utworów pozostawała w rękopisach wobec trudności, jakie miał stale ze znalezieniem wydawców. Być może, iż ta właśnie okoliczność popchnęła go na drogę twórczości scenicznej. W tej zresztą, zupełnie nowej dla siebie, dziedzinie okazał się również niezwykle płodny. W 1940 r. mówił mi — okazując jako dowody rzeczowe odnośnie rękopisy — o siedemnaście sztukach mniej lub więcej zakończonych i gotowych do wystawiania utworach scenicznych.

Od jesieni 1939 r. okupacje bolszewicka, litewska i znów bolszewicka pozbawiły większość społeczeństwa polskiego w Wilnie możliwości jakichkolwiek zarobków. Urwały się też całkowicie

nader niestałe i niewysokie dochody Leczyckiego. Bardziej "po-
rośli w pierze" wilnianie wyprzedawali się ze swego dobytku.
W pewnym okresie w Wilnie nie było przy większych ulicach
domu bez sklepu komisowego, w którym nowi władcy miasta ze
Wschodu czy Północo-zachodu za grosze zaopatrywali się we
wszystkie niezbędne im w miejscu nowego pobytu przedmioty.
Leczycki nie miał co sprzedawać, a co gorsze jego znajomi i
przyjaciele przestali mieć z czego mu pożyczać. Coraz bardziej
mizerny i przezroczysty i w coraz gorsze ubrany łachmany, in-
teligencki lumpenproletariusz Leczycki zdołał jakoś przetrwać
przeszło półtora roku okupacyjnych warunków przy minimalnej
docierającej do Wilna pomocy z Zachodu i Ameryki. Pozostał
jednak wierny sobie i pomimo pokus nie poszedł, jak niektórzy
— nieliczni — literaci i dziennikarze wileńscy na współpracę z
okupacyjnymi gadzinówkami.

Przez kilka natomiast miesięcy, za czasów okupacji litewskiej,
gdy głód mu szczególnie doskwierał, Leczycki, łącznie z wielu
studentami zamkniętego przez Litwinów w grudniu 1939 r. Uni-
wersytetu Stefana Batorego oraz z innymi pozbawionymi pracy
inteligentami wileńskimi, — zajmował się uliczną sprzedażą ga-
zet. Wtedy jednak istniały jeszcze pewne przynajmniej pozory
"wolności prasy" i Leczycki na swym posterunku gazetarskim
w okolicach mostu Zwierzynieckiego sprzedawał dużo więcej
egzemplarzy "*Kuriera Wileńskiego*" niż bardziej w stosunku do
okupanta uległej i ustępliwej *Gazety Codziennej*. Likwidacja
obu tych czasopism po "wcieleniu" Wilna do ZSSR pozbawiła
go rychło i tego źródła groszowych dochodów.

Gdy spotkałem go któregoś dnia, na wiosnę 1941 r., był w
świetnym humorze i twierdził, że los mu się uśmiechnął. Za pro-
tekcją jednego z dawnych znajomych udało mu się dostać po-
sadę ... stróża nocnego jakichś składów na dalekim przedmie-
ściu Wilna. "Bardzo dobre zajęcie" — twierdził z przekonaniem.
"Wiesz, że zawsze późno kładłem się spać i lubilem spacerować
po nocach, a teraz mi za to będą płacić".

Z dalszej rozmowy dowiedziałem się, że ma za swą "pracę"
otrzymywać po 8 czy też 10 rubli za noc, że najbardziej go sen
morzy nad ranem, ale że go zwalcza recytując głośno klasy-
ków, bo boi się zdręmnąć, gdyż grozi to utraceniem "posady".
"Najważniejsze, że mam stały zarobek, będę miał co jeść i bę-
dę mógł całymi dniami pisać" — mówił mi przy pożegnaniu
nieuleczalny entuzjasta, spiesząc się na odległy o ładnych kilka
kilometrów posterunek za Wilie.

Przy następnych spotkaniach wyrażał się mniej entuzjastycz-
nie o samej pracy, która okazała się dość męcząca, pomimo sto-
sunkowo krótkich nocy letnich. Zbliżające się lato było jednak
źródłem nadziei Leczyckiego na pewne wygody i ułatwienia ży-
ciowe. "Latem mniej się chce jeść" — mówił przekonująco.
"Łatwiej też z ubraniem i mieszkaniem". Niestety, zły los za-
wiódł pokładane przez Leczyckiego w lecie 1941 r. nadzieje.

Po ponownym wkroczeniu latem 1940 r. wojsk sowieckich do
Wilna mieszkańcy tego miasta ciągle oczekiwali, iż nastąpią
tam analogiczne do dokonanych na pozostałych ziemiach pol-
skich deportacje. W związku z tym bardziej przezorne osoby
czyniły zawczasu przygotowania, zaopatrując się w miarę moż-
liwości w odpowiednią odzież, zakupując igły, haczyki do łowie-
nia ryb itp. przedmioty, które przy małej objętości stanowić
miały wielki majątek na bezludziach Wschodu. W ciągu roku
niejednokrotnie kursowały po Wilnie plotki o zamierzonych rze-
komo na wielką skalę deportacjach. Plotki to jednak szczęśli-
wie się nie sprawdzały.

W początkach czerwca 1941 r. rozeszły się po Wilnie pogłoski
o szykowanych na dworcach kolejowych w znacznej ilości wa-
gonach towarowych, które tam zaopatrywano w specjalne kraty
na okienkach, oraz wycinano jakieś podejrzanym otwory w pod-
łogach wagonów. Przedenerwowane plotkami i pogłoskami Wil-
no tym razem zachowało jakiś dziwny spokój. Tyle razy mó-
wiono o przygotowaniach do deportacji i zawsze rację mieli
optymiści, a nie zaś przepowiadający różne okropności pesymi-
ści. Tym razem jednak stało się inaczej.

Pierwsze wiadomości o katastrofie przyniósł z rana, w piątek
13 czerwca 1941 r., razem z poranną pocztą listonosz. "Sądny
dzień zaczął się" — oświadczył — podając pocztę. I na pytania
wyjaśnił, że po drodze przez Kałwaryjską widział dziesiątki, jeśli
nie setki, wojskowych półciężarówek, na które ładowano nie-
szczęśliwe rodziny. "Nie było po drodze większego domu, przy
którym nie stałaby taka ciężarówka" — dodał na pożegnanie.

Ta ostatnia uwaga wydała się wyraźną przesadą i podważyła
zaufanie do prawdziwości całości informacji. W naszych okoli-
cach ciężarówek nie było i, udając się na 8-ą rano do fabryki,
gdzie pracowałem od kilku miesięcy, nie byłem pewny czy przy-
niesiona przez listonosza wiadomość nie jest wyszana z palca
plotką. Niestety, część przybyłych na fabrykę kolegów potwier-
dziła tę wiadomość zaznaczając, że biorą tysiącami. Nie długo
goście zawitali i do naszej dzielnicy.

Już w fabryce wymieniano nazwiska szeregu zabranych osób
i rodzin. Po powrocie zaś z pracy do domu służąca nasza zako-
munikowała z oburzeniem. "Czy Pan wie, że te "czerci" zabrali
p. Leczyckiego. Co on biedaczek im zrobił. Zabrali tak jak stał,
bo żadnych rzeczy u niego nie okazało się. Toż on biedniejszy
od najbardziej, i takim spokojem nie dają".

Leczycki mieszkał o parę domów od nas, jednakże wytworzo-
na wówczas w Wilnie atmosfera — wsi murzyńskiej, w czasie
najazdu wyprawy handlarzy niewolników — nie sprzyjała inter-
resowaniu się takimi sprawami i zasięganiu źródłowych infor-
macji na miejscu. Wiadome było, że w wielu mieszkaniach, gdzie
nie znaleziono kogoś z poszukiwanych, pozostawiono zasadzki,
interesujące się wszystkimi kto do danego domu zachodził bez
wyraźnej i łatwej do sprawdzenia konieczności.

Niestety, okazało się, iż wiadomości naszej służącej były ściśle i prawdziwe. Inni znajomi widzieli Leczyckiego na ciężarówce razem z profesorstwem Stanisławostwem Kościątkowskimi.

Prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie, profesor historii Uniwersytetu Stefana Batorego, Stanisław Kościątkowski, był osobą bardzo szeroko w Wilnie znaną i niezmiernie szanowaną. Nigdy nie zajmując się polityką był pochłonięty sprawami nauki oraz swymi uczniami, którzy go po prostu ubóstwiali. W okresie zesłanej wojny prof. Kościątkowski kierował całokształtem pracy szkolnej w Wilnie w niezmiernie trudnych warunkach okupacyjnych, zdobywając sobie od tego czasu serca kilkudziesięciu roczników młodzieży wileńskiej. Wywieziony w czerwcu 1941 r. z Wilna prof. Kościątkowski spędził około 8-miu miesięcy w poprawczym obozie pracy na północnym Uralu. Ze względu na sędziwy wiek profesora nie pędzono go do lasu, lecz jako inwalidę zatrudniono w "fabryce" ... sznurów konopnych.

Od zwolnionego w początkach 1942 r. prof. Kościątkowskiego Ambasada R.P. w ZSSR uzyskała informacje, iż wywieziony z nim razem z Wilna Kazimierz Leczycki w dniu 3. VII. 1941 r. został wysadzony na stacji Ural w Swierdłowskiej obłasci łącznie z grupą aresztowanych Estończyków. "Bardzo mi szkoda było p. Leczyckiego" — mówił prof. Kościątkowski. "Był on w transporcie b. słaby. Nie miał żadnych rzeczy ani żywności. Dopóki byliśmy razem opiekowaliśmy się nim jakoś, ale jak on tam da sobie radę, sam pomiędzy obcymi".

W rezultacie kilkakrotnych energicznych zapytań Ambasady R. P. w dniu 10 lipca 1942 r. zakomunikowano jej oficjalnie, iż Leczycki Kazimierz, syn Bolesława, urodzony w 1894 r., dn. 5. 10. 1941 r. zmarł w obozie Ural. Dekret o "amnestii" dla wszystkich obywateli polskich pozbawionych wolności na "wystarczających podstawach" został wydany 12. VIII. 1941 r. i według oficjalnych danych niezwłocznie wprowadzony w życie. Widocznie odpowiednie władze uznały, iż lumpenproletariusz Leczycki został pozbawiony wolności i uznany za "wroga ludu", dla którego całe życie usiłował pracować, *bez wystarczających podstaw* i wobec tego nie zastosowały doń amnestii. Być może zresztą po kilkumiesięcznym pobycie w obozie pracy przymusowej w obcym otoczeniu był on już w takim stanie, iż trudno go było wypuścić na wolność i wydać w ręce władz polskich.

O ostatnich miesiącach życia Leczyckiego nic powiedzieć nie mogę. Musiały być one bardziej ciężkie niż całe jego życie, które bynajmniej nie słało mu się pod stopy różami. Nieuleczalny optymista i entuzjasta potrafił jednak zawsze widzieć we wszystkim tylko dodatnie strony i nie tracić wiary w lepszą i bliższą jego ideałom przyszłość. Jeśli ta wiara nie opuściła go do końca — opromieniała mu nawet warunki przymusowego obozu pracy niewolniczej. Jeśli jednak stracił ją w pewnym momencie, życie zakończył w prawdziwym piekle.

W. SUKIENNICKI.

Arkusze poetyckie

Piąty poemat

Kiedy umarłem

*dzień był jak ze szkła —
ze słońcem zamrożonym w środku,
aż bolało przejrzyscie
patrzeć od dna do dna
w stronę klaszczących podków
skąd światła sanna —
i sopłe. Z sopli fontanna:*

wyścig.

*Kiedy uma
umarł*

*maruder —
mży marudzący u mar tuman —*

*umarł
kto
z rozsypanych sylab sens
kto złoży w desen sense*

*) Poprzednie cztery poematy o budowie eksperymentalnej: *Provincja* (1935); *Siedem dni stworzenia* (1938); *Kula magiczna* (1942); *Sennik szatański* (1946). Zastosowaną tutaj technikę nazywam rzutowaniem metaforycznym. Cechy charakterystyczne: równoległość składniowa, konteksty ruchowe i statyczne na różnych planach, aliteracja, użycie nawiasów i innych oznaczników graficznych.

Zaskrywane motywy klechdy: uroczone oczy, które trzeba wyrwać i zakopać, bo zabijają spojrzeniem; słowa zamarzające podczas srogiej zimy; ręka zmarłego dziecka prosząca z grobu o karę; rozpoznawanie czarownicy po czkawce.

Zapowiedzią Piątego poematu był wiersz *Indeks życia*, drukowany w *Myśli Polskiej* (1. III. 1950).

z góry na dół

aż boli przejrzyscie

bolało

patrzyć wprost w ześlizg słowospadu —

Wyrzutować tedy ów wysięg?

Rzutować spoza

na siebie sprzed :

Poza?

A przecież gdy przymykam wiersze —

powieki napuchłe od słów —

chatę w pasiakach widzę: życie sepleni (dzień).

Przymrużam pamięć: wszystko szersze —

nawet nabożne pielgrzymki krów

ku polanie pogańskiej, poświęcanej rosą.

Glob zarośnięty trawą, okrągły jak wymiona (noc).

Spać z kurami. Lecz sny się źle tego lata niosą.

Może zima, która drze pierze z chmur i z kurzych piór.

od pasiakowej chaty nanieśie puchu

do senników egipskich.

I odeśpią się wróżby i przybędzie duchów

do urocznej miski.

(Kto chytry, czarownicę rozpozna po czkawce,
rdzę diabelską rozdepcze w pękatej purchawce)

Lecz nie dam wyrwać moich oczu z orbít,

nie zakopię uroczonych oczu —

niech uśmiercają raczej.

Bo słowa raz odbite to pieczęcie wzroku;

chociaż zamarzyły w ów dzień (jak ze szkła),

kiedy umarłem (ze sopki fontanna)

innym odtają wiosną w połysk znaczeń

i ułożą się czyjemuś oku

w ten sam deseń, na który zachłanna

czeka pamięć rzutująca spoza:

(z dołu w górę

i znowu w dół)

Kto tak

osie wysmarował

we wozach,

że nie słyszał za jakim murem

grzebiemy po każdym obrocie globu i kół (kół)

trupy zeschnięte jak purchawki.

Uroczone zakopują oczy.

Twoje? jego?

Na łuku Apolla? O — choćby na cięciwie agrafki

osadź słowo, celuj w metaforę,

jak w drzewo wiadomości dobrego i złego:

bo nie ma prozy w perspektywie

przymkniętych oczu.

Światło (przypomnij) zamrożone w piwie,

na werandzie hotelu (data: któryś-tam obrót ziemi)

jak topniejące słońce w środku dnia —

wychył pamięć przejrzyscie do dna!

to tylko chwila napięta na barwie: otożes poczuł

muśnięcie metaforycznej cięciwy.

Wtedy pierś góry spod rozchętanej mgły

wyglądała lubieżnie: pokusa barw po zboczu,

po opalonych nogach ześlizg dłoni.

Góra: czy bardziej poetycka od piwa?

(W nawiasie faryzejski zez)

W kuflu wciąż światło. Grudka zamrożona broni

skojarzenia tkliwszego od jej zdradzonych łez,

w których tajała rozpacz na długo przed wiosną.

Nogi: skóra powleczone słońcem: skurcz —

nogi jak łodygi po raz drugi na rozkosz odrosną.

Werandę ktoś przesunął za stare dekoracje,

a wargi poza spierzchnięte pocałunki.

Jak rzutować z podniebienia na podniebienie

smak światła, warg i łez i trunku?

Uroczone zabiły ją oczy. Zakopano natomiast wspomnienie

pod świstem lokomotywy, na piwem podmytej stacji.

Boże,

jestem jak

postument z ołowiu:

ciągnę w dół.

Śmierć nie nakłada odlewu głowy

na kadłub, wypatroszony z grzechów,

ledwo duszę obejmuje wpót

w ślepym pośpiechu.

Cokół bezgłowy jestem: poemacku szukam

profilów czasu na sprężonych łukach.

Wszystkie profile gotowe do skoku.

Miedzy bezsenssem i Bogiem trwam: ciężarny cokół,

ważę ciało, którego już nie mam,

i rozkładam się — paruję — w poemat.

Po raz pierwszy ranilem cię, matko (mamo),
29 września w południe.

Był to śmiertelny pocatunek w łono.

Niezatrzaśniętą bramą
wymknął się narodzony
obłudnik —

i gdy spojrzął zza dwunastu lat
na sepleniący ścieg dzieciństwa,
niezabliźniona rocznica
zgięła się nad nim jak kat.

Potem już było łatwiej łyć przez rymy kuse przemycać
i nianczyć własną litość w wyścielanych zwrotkach:
ale tamta pieczęć wypalona
w twoim żywocie
jeszcze teraz poza śmiercią kona
i w cytatach obosiecznych (Ezechieli 44) spada jak pocisk.

Jak rzutować zbrodnię urodzin
na dzwoniące piętra jurnych godzin?

Przyszłość

to tylko

wyobraźnia

na rusztowaniach wróżb.

Im wyżej, tym chwiejniej.

Zawroty głowy po każdym piętrze

Na lęk metaforycznej przestrzeni
cierpisz, słowoskoczku, błaznie,
obłudniku, dzierżawco łóż,
w którychś się poetycznie lenił.
Plusz, (plusz).

Pępowiną śluzowatą przywiązany
do klechdy jak do niezakreptej rany
wspinasz się w przyszłość po wyobraźni.
Z pępowiną bezpiecznej i raźniej.
(Matko, Antygono niepogrzebanych rocznic!)

A gdzie — jak szukać Wielkiej Metafory?
Skąd — z jakiej na nią rzutować skocznik:
wpoprzek rusztowań i cięciw — w bezsens — w Boże ugory.
Skąd (pustka) runąć w Wielką Metaforę,
zaryć się w wieczność (pustka) martwym meteorem?

Cierpliwe kamienie na drodze do Dobrzynia,
święte kamienie przydrożne.
W pielgrzymim kurzu osty nabożne,
i szaleją w rowach, co czary odczynia

głupcom wypuszczonym prosto ze śpiewki
na wolność drwin.

Płaskie nosy, splaszczone pod cieśnieniem pokoleń,
rytm indyjski klechdom na rozgrzewkę,
od zaśpiewu zatoczył się gmin —
zanim jeszcze zorał pniaków pole,
zanim pierwszą barę wypuścił w dzierzawę
wędrownym pszczołom.

I oto w tym zaśpiewie tak teraz przestronno,
że zapraszam murzyński bęben na zabawę,
że mi stuka dziobem swojskiego dzieciota
rytm brazylijski, że krew zabobonną
mniej rozgrzewają greckie dytyramby
niż barczyste oberki i biodrzyste samby.

Krew z nóg do uszu jak prąd,
krew nosy płaskie rozdyma:
odwar z szaleju: wyszumieć oczyma
fermentującą genealogię.

A cierpliwe kamienie i osty nabożne
doprowadzą waszą drogę
moją
do ujścia śpiewki słowiańskiej
w dwuwymiarowym echu.

Stamtąd może nie trzeba patrzeć w metaforę
jak w ezechielową bramę, w pierworodną zaworę
grzechu — — —

Stamtąd

(kiedy umarłem)

spoza

kiedy

przez lornetkę oddalającą (szkło)
na szynach trumna jak na płozach
i słońce pomiędzy —
wklęste dno:

lina na grdyce trumny —
pępowina z przędzy:

jeszcze jeden uchwyt (cokół, postument: w dół)
wokół liny jak wokół kolumny
obrót skojarzeń: szybciej: aż rozum się sprutł
i wypatroszony z czasu

spadł (rzutowanie): po na niech
za przy że

sylaby z zasuw
ześlizg ukośnych krech

nie.

Tylko oczy pływały po środku wyobraźni
(przyszłość) oczy wewnątrz wyobraźni
niewytłupane z orbit wyobraźni
niezakopane tam pod:

lina przy grdyce trumny —
ześlizg zeskok kolumny —

Od
od
od zająknięcia
od pierwszego zająknięcia się sensu
oczy nadają (nadawały) oczom
(będą) oczom oczy
sygnalizować światłowzięcie —

Bóg w sygnałach rzutowanych odpoczął —

światło pomiędzy jak przęsto
oparte przejrzyście o dźwięk

Glob w pokrowcu: obszyty dźwiękiem.
Niżej mózgi — potrzaskane odbiorniki.
W sygnały włączył się jęk.
Ze śmietnika wyciąga głuchoniemą rękę
trup dziecka. Matko, w tę nadawczą tykę
uderz! — i różgę zasadź: z twej kary odrośnie
zeschnięty konar dobrego i złego.

Od oczu uroczonych czy w czas się ustrzeżę
zbieracze czaszek i szmat
po obozach, łagrach i klinikach?

Nachyla się dyplomowany kat:
grzebie w mózgowych odbiornikach.

O, matko, zasadź różgę w krematorium Kreona
zanim ręka odrośnie żebrząca o karę
spod łazarzowych szmat, z trzewi śmietnika —
o karę, która płodne pieczętuje łona
i zeschniętym wytrząsa konarem
światłu w twarz dźwięku.

Choć nikt z sygnałów nie wyłączy jęku,
niechże nadaje mózg wróżby, rzutując
poprzez krematoria i łagry, naprzekór
zbieraczom czaszek i szmat, pomimo
zaprzężonych w orderzy prazbójów.

Roztrzaskana jak czerep metafora wieku
niech się pnie choćby po pętlach dymu
ponad piec makabrycznie uszczelniony
swądem —
w teksty gwiazd wykropkowane,
w komentarze świetlnych liczmanów —
aż poufnym porażona prądem
rozpadnie się na sylaby
pokornego zachwytu —

bo boże że bo aby

oko oś kół
w dół

rzutować
okiem

w przymrużenie światu

(kiedy umarłem)
dzień (jak ze szkła)

noc

przejrzyście od dna do dna:

bliżej
czy
dalej:

pola pasiaki pękły posypało się pierze

biodro o biodro (rytm podkuwa podeszwy) szal szalej
szal

zmysły wypatroszone z: zmysłem zmarłym pochwałę

(jak) oko: uroczonym więc zabić pacierzem
ezechielowy cytat na piecu w krematorium:

catopalenie czytaj światłowzięcie
czytaj (tekst gwiazd wykropkowany) plusz na alegorii:
zamarzają słowa — odbiornik w bezgłowym postumencie —

sygnał: a (o)

p

pokora piękna

w

wyrozumiałość wobec

w warkot warg

w

Boże żyła w widzeniu pękła
ślepnie śmierć (.... s-skarg)

.....u

..... błagać o byle bełkot

.....

bo byłem

..... będę

by

..... (tędy)

(i

..... jak oko pawia.

Zamknąć nawias

Chelsea, 1950

Jerzy PIETRKIEWICZ.

Podróż do krajów legendarnych

I.

nie łatwo się zwierzać

gdy prawd sprawdzian wietrzeje jak sól

gdy treść ślinna truchleje

na lękiem zaległym języku

nikomu bym nic nie rzekł milczałbym do końca

gdyby nie ta cieśń nadstłowna

tętniąca pod skronią

czarna kolistymi plamami w eterze nadzwroku

tętniąca i czarna

jak ten nasz okręt żelazny

oksydowany w pożogach

w którym płyniemy w kraje legendarne

o ileż beczek benzyny przelaliśmy w przestrzeń

ile węzłów przetarły napędowe śruby

ile razy dźwigom żelazne odrętwiały ramiona

w maszynierii zgrzytały koła zębate

tłoki w silniku przemieniały

sprowokowany bunt spalinowych gazów
w arytmetyczny mil morskich postępw przystaniach na wirowitnicach stalowych
huczały liny dźwigów
worki tukiem z nieba
opadały na plecy zdrewniałe
pół-zwierząt pół-ludzi pół-roślin
którym kłóś oczy i usta
na skórnej wyrzeźbił korzepodróż kształcą serce
w kształt oczekiwany
horyzont się rozszerza pod wpływem ciepłoty
umysł pęcznieje jak zakłęty balon
wznosi się
nad szarego życia podmiejskie ulice
człowiek zwiedza zabytki muzea stolicy
ogląda dziwnych zwierząt orientalny harem
uniżej gościnności pojony nektarem

II.

na gałęziach wzdłuż portu siedziały lemury
licząc gwiazdy brzuchate nadmuchane z wiatru
wróży mnożąc przejezdnym na bambusowych liczydłach
a że oczy miały okrągłe kolistę
jak wiara w owalne liście
kulały się ich spojrzenia po trawie
po zwierząt pełnych ostrowach zodiaku
w pyszczkach miały zęby jak kulki
zębate kulki kolistę żąbkitrzy porty temu delegacja rasowych kangurów
przyniosła nam wór ananasów
potem była zabawa taneczna
pszczeni koniak piliśmy
z posrebrzanych pszczeni mamutapo eldorado burmistrz wieprzowaty
przewodniczący cechu dobrzuszników
obwoził nas w zabytkowej cesarskiej karecie
zaprężonej w dwunastu wianatówupalna pogoda dopisywała stopnie celsjusza
do hotelowych rachunkówprzed odjazdem
profesor doktor licorno
autor pracy „mysłidło”

tez słusznych erektor
wygłosił nam pogadankę
w auli onanistetu
o stosunku procenta do centa
spożycia do pożycia
i konsumpcji do penitenta
(z marginesową wzmianką
o dewaluacji frustracji
telepatii bez kastracji
rewizji i telewizji
— ważne było każde jego słowo
ujęte logicznie zwarte naukowo)

na bardzo suchej plaży
bardzo suche rosną migdały
przejrzyste figowe liście
opadają z drzew gibkich na wydmy
poroste mchami kędzierzawych ziół

pół-nagie panie brązowsze nad spiż
toczą swe ciała okrągłe
na słonecznej tokarni upałów
smarują kremem z lotosu
piersi nabrzmiałe filmowo
kolana szminkowane dziennikarską reklamą
cuda cuda ogłaszają
a panowie czytają gazety
i w gazetach szukają podniety
inni innych głoszą po udach
z myślą o jeszcze cudaczniejszych cudach

III.

w pośrodku oceanów jest ziemia kamienna
stężała w pogotowiu najeżona wiatrem
ryby ją omijają ptaki tylko drapieżne
na głaznych lądują lotniskach
i morska latarnia zjadliwą jeje ciemnością

w dolinie na wydmach mosiężne się piętrzą trójkąty
na trójkątach kule mosiężne
ładują elektro-nicość
w podzielony na stopnie horyzont

o świecie z rosy ścieka żółtawy kwas
i chude szakale przeżera magnetyczny szkorbut

księżyc powraca w obsesji z połową tylko tarczy
doświadczałno-astralny wybuch
oderwał mu z srebrołowia

śmieszny tragiczny kęs
i nigdy nie będzie pełni
lecz ciągle zębate nawroty
i duszny czujny sen szakalonidów
w maskach śpiących gazowych

zarazki morskiej choroby
zaczęły łaskotać krtani
kiedy chybotliwy monsun
w siatkę geograficzną łapał
czarne motyle chmur

mój dziadek to był geocentryk
wieczorem miast telewizji niebo nastawiał
nakręcał kukietki gwiazd wnukom na pouczenie
ku pokrzepieniu serc.

weselił nam serca teatrzyk
bosko-szwajcarski zegarek
tykający w otwartej kopercie

babcia także na niebieskim obrusie
haftowała złożone legendy

IV.

w mojej biblji dziecięcej
więcej było kolorów niż w tęczy
więcej palmowych obietnic niżli pomieszczą niedziele
księżyc klękał przede mną jak wielbłąd
słoneczne snopy do stóp mi chylił
gorący hebrajski wiatr
do niebios widziałem drabinę na strychu
i kijek przeprawny dla mórz

Co wieczór aniołowie przepytawali mnie z lekcji
i marmurowi prorocy z katedry
wkładali mi w ręce cukierki
starcy zgarbieni nadprodukcją wiary

w indyjskim tramwaju
wjeżdżałem w strojny zwierzyńiec
pełen dziwacznych przed-ludzi
znających mowy mej szept
kangury uczyły mnie grać w palanta
z królem niedźwiedzi grałem w pudowe szachy
matpy mi bratnią podawały dłoń

w kalendarzu
rozkładzie jazdy dla dusz podróżnych

stronice pergaminowe
 przewracali rzymscy święci
 wskazówki kościelnego zegara jak semaforey na dworcu
 nowym godzinom zwiastowały drogę

na ascetycznym osiołku jeździłem
 nad rzekę koło miejskiej elektrowni
 przynęcona zapachem wierszy
 miłość zakwitła nad brzegiem książki
 jak słonecznik
 złote włosy-laska wzbogacająca
 żrenice koła serdeczne-laska rymowanych zapomnień

aleja lip
 lipowy nawar szczęścia

V.

lecz w domu dzieciństwa
 lampy płonęły gorzyczynne
 eukaliptus tżami na szybach się kropił
 w pokoju było ślisko od walerianowych spazmów
 lekarz przez gumową rurkę podstuchiwał śmierć
 (tak ja później w lata żelazne
 podstuchiwałem daleki szmer kolczastych tortur
 krzyłem leżąc bezradnie
 w zaminowanej pustyni
 po tych nadstuchach długo chodziłem jak ibis ptak ponury
 na jednej nodze po obłąkanym szpitalu
 z fajką arabską w dziobie
 paliłem gipskie sny)

doktor miał bezsilne miękkie ręce jak ksiądz
 na maleńkiej karteczce pisał drogie łacińskie recepty
 otryment wsiąkał w ciszę gromniczną
 twarze wokół witraże oszklone kalwarią

za oknem późny jesienny świat
 piętrzył się jak gmach
 magistrackiego szpitala
 jak pobladłe nakazy płatnicze na biurku

w ustępie muszla szumi
 tłumy szlochanie
 żelazny łańcuch zamiast pętli
 ma delikatną porcelanową rączkę
 na starym kawałku gazety
 reportaż z dalekiej podróży
 z beznamiętnie urwanym początkiem

łzy zerwały się z kotwic
 pędzą burzą
 płyną cieśniną ulicy rzeką płyną
 w elektrowni huczy olbrzymia turbina

VI

w wieczór parny wilgotny i lepki
 spoceni murzyni śpiewali nocne pieśni
 gdy pompy z okrętu ssały zboże
 gdy dźwigi pod niebo wynosiły cukier
 gdy worki cementu ciężły w sieciach stalowych

ciemność śmy nalepia na szyby
 po moskitierze chodzą pajaki
 jawy się lepią z cukru cementu i mąki

dźwigi koła ruszają parowe
 walce koła ruszają zębate
 i wszystko jest okrągłe
 i wszystko jest koliste
 i wszystko się ząbia
 i wszystko ma koła zębate

P. S.
 wiersz ten czytając wzbudź dla mnie w swych ustach
 gorycz słodkawą na moją pamiątkę
 bo kiedyś pisał
 północ mieszała piasek z pyłem kaktusów

bogumił andrzejewski

POLSKA
PLACÓWKA KSIĘGARSKA W ARGENTYNIE
SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ
 w BUENOS AIRES, Av. Leandro N. Alem. 641

zapewnia emigrantowi stały dopływ dobrej polskiej
 lektury oraz najpoważniejszych polskich czasopism
 wychodzących na emigracji, m. in. **KULTURY**,
WIADOMOŚCI i ORLA BIAŁEGO.

Archiwum polityczne

Sprawy sowieckie

KOREA

1) Sześć miesięcy temu, w kwietniowym numerze «Kultury», omawiając rolę i znaczenie rewolucji chińskiej i traktatu sowiecko-chińskiego pisałem: *«Nie można dzisiaj twierdzić z absolutną pewnością, że Kreml s a m nie zdecyduje się na sprowokowanie, względnie bezpośrednie rozpoczęcie działań wojennych w stosunku do Zachodu... zdobywszy do swej dyspozycji, obok Związku Sowieckiego, drugie narzędzie ofensywy rewolucyjnej w postaci Chińskiej Republiki Ludowej, Kreml przeszedł zdecydowanie do agresji w stosunku do «otoczenia kapitalistycznego».*

25-go czerwca wojska Ludowej Republiki Koreańskiej przekroczyły 38 równoleżnik i zaatakowały Koreę południową. W naszych rozważaniach nie będą nas interesowały zagadnienia operacyjne, ściśle wojskowe, tej kampanii, aczkolwiek *ostateczny ich efekt będzie niewątpliwie miał ogromne znaczenie polityczne.* Interesuje nas wyłącznie strona polityczna kampanii koreańskiej i nią tylko zajmować się będziemy zarówno w niniejszej jak i ewentualnie w następnych notatkach na ten temat.

2) Doszukiwania się źródła agresji wojennej w Korei jest wywalaniem otwartych drzwi. Rzecz oczywista, że leży ono nie na terenie Korei, nawet nie na terenie Chin, lecz w samej Moskwie. Nie trzeba na to żadnych dowodów. Wystarczy powierzchniowa chociażby znajomość zasad rewolucji stalinowskiej i konsekwentnego rozwoju imperium stalinowskiego. Imperium to może dawać swym poszczególnym częściom składowym większe lub mniejsze uprawnienia i przywileje autonomiczne, poszczególne państwa tego imperium, zależnie od stadium sowietyzacji, w jakiej się znajdują, mogą posiadać zasad-

nicze odrębności administracyjne, gospodarcze i obyczajowe, lecz jeżeli chodzi o stosunek polityczny do «otoczenia kapitalistycznego» — jest ono całkowicie scentralizowane i żadna część składowa tego imperium nie posiada możliwości odrębnego czy samorządnego działania.

Do powstania, organizacji, rozwoju i wzmocnienia sowieckiej ludowej republiki Koreańskiej, Moskwa przywiązuje wielką wagę. Od lat licząc się ze zrealizowaną obecnie możliwością powstania olbrzymiego obszaru Chin skomunizowanych, Moskwa chciała mieć jednocześnie dwa mongolskie państwa ludowe: Mongolię i Koreę, które utrzymując bezpośredni kontakt ze Związkiem Sowieckim ograniczałyby niejako możliwości i ambicje państwa Chińskiego. Trzeba zawsze w polityce zagranicznej sowieckiej odróżniać dwie linie: *linie uniwersalnej rewolucji stalinowskiej i linie imperializmu państwowego.* Linie te w zasadzie pokrywają się ze sobą, ale niekiedy polityka państwa narzuca pewne pociągnięcia, które mają na celu przede wszystkim zabezpieczenie dominancy politycznej w rękach Moskwy i likwidację mogących powstać ambicji lokalnych stalinistów. *Rewolucja rozszerza państwo a państwo asekuje rewolucję.* Korea ma być taką asekuracją na wypadek, gdyby rewolucja w Chinach nie poszła po myśli Stalina.

Jest więc rzeczą oczywistą, że załatwienie spraw Chin w ten sposób, jak to zostało zrobione w drodze podpisania w lutym 1950 «traktatu przyjaźni» pomiędzy ZSSR a Chińską Republiką Ludową musiało pociągnąć za sobą ostateczne załatwienie sprawy Korei w jedyny możliwy dla Moskwy sposób, a to przez stworzenie z całej Korei możliwie najsilniejszej republiki sowieckiej, samodzielnej wobec Chin.

3) Organizacja republiki Koreańskiej wchodziła i wchodzi jako element integralny do wielkiej sowieckiej organizacji strategicznej wschodu kontynentu azjatyckiego. Centralną bazą tego obszaru jest Syberia i Daleki Wschód sowiecki, coraz bardziej uprzemysłowiane i militaryzowane. Przedłużone są one na południe o Ludową Republikę Mongolską, a także o Sinkiang i Mandżurię, które jeżeli chodzi o stronę wojenną nie prędko jeszcze, mimo niekwestionowanej przynależności do Chin, wyzwolą się spod faktycznej okupacji sowieckiej. Korea i Chiny mają być bezpośrednimi terenami wypadowymi. Znaczenie strategiczne Korei było pod tym względem od dawna doskonale zrozumiane i docenione zarówno przez Rosjan jak i przez Japończyków. Oczywiście rola Chin, zorganizowanych jako skombinowany twór federalny, jest przewidziana jako czołowa dla całego kontynentu azjatyckiego. Mają one dopomóc w sposób decydujący do «wyzwolenia» całego półwyspu Indo-chińskiego, Malaji, nie mówiąc już o Tybecie i Formozie.¹⁾ Do-

1) Chińska Republika Ludowa staje się coraz silniejszą bazą wywrotowej i militarnej agresji komunistycznej w stosunku do pozo-

piero ostateczne oczyszczenie całego obszaru mongolsko-chińskiego od «okupacji kapitalistycznej» pozwoliłoby na dalszy skombinowany atak: na Pacyfiku — Japonii i Filipin (agresja w stosunku do których jest już dzisiaj bardzo starannie przygotowywana), a na samym kontynencie azjatyckim — Indyi.

Tak więc, w tym dalekosiężnym strategicznym planie poszerzenia rewolucji stalinowskiej w Azji (odszyfrowanie którego nie przedstawia żadnych trudności gdy się uważnie czyta prasę sowiecką i komunistyczną) Korea odgrywała rolę, rzecz można, fundamentalną: była jednym z podstawowych elementów już pierwszego etapu szeroko pomyślanej agresji.

4) Drugą niemniej ważną rolę, którą odegrać ma Korea w wielkim planie sowieckiej rewolucji uniwersalnej, jest jej proces wyzwalań się i ukonstytuowania się państwowego jako obszaru dotychczas kolonialnego. Korea byłaby pierwszym wyzwolonym terenem kolonialnym, a wiadomo jak ogromną rolę przywiązuje stalinizm do kolonialnych ruchów wywoleńczych, rewolucyjnych i anarchistycznych. Korea wyzwolona, o własnej państwowości, mogłaby się stać sztandarem nie tylko dla narodów Azji, lecz i dla narodów kolonialnych Afryki, gdzie ambicje własnej państwowości obudzić jest specjalnie trudno. Korea jako wzór dopingujący posiada doskonałe warunki: wielkie bogactwa naturalne i energetyczne, doskonałe możliwości dla rolnictwa i kultur technicznych, ogromną pracowitość i wiekową kulturę pracy ludności. Toteż sprawy koreańskie stały się z punktu — od 1945 — przedmiotem takiej samej uwagi ze strony Moskwy jak i sprawy chińskie, mimo pozorniej ich niewspółmierności.

5) W tym stanie rzeczy trzeba stwierdzić, że *wojenna agresja Sowietów w Korei nie była i nie mogła być zaskoczeniem*. Bolszewicy, zarówno moskiewscy jak i chińscy, przygotowali sprawę połączenia obu Korei w sposób zupełnie otwarty. W tej sprawie dyplomacja sowiecka opublikowała obszerną dokumentację nieomal we wszystkich językach świata. Prasa i publicystyka sowiecka od 5 lat dokumentuje konieczność złączenia się całej Korei w jednej Republice Ludowej¹⁾. Cała struktura poli-

stałej Azji. W chińskich uniwersytetach komunistycznych i w specjalnych partyjnych szkołach politycznych kształcą się młodzież komunistyczna z Indochin, Malajii, Sjamu, Burmy nie mówiąc już o młodzieży tybetańskiej. Na terenie Chin ćwiczą się kadry komunistycznej armii Wietnamu. Przygotowują się kadry wojskowe dla Burmy, Sjamu i Malajii.

1) Interesujących się retrospektywnie tą sprawą odsyłam do kompletów oficjalnych sowieckich dokumentów stale publikowanych przez prasę sowiecką, a specjalnie przez tygodnik "Nowoje Wremia", do artykułów w tym piśmie, do specjalnego zbioru dokumentów pt. "Sowietskij Sojuz i Korejskij Wopros" (Moskwa 1948; zbiór ten wydano również w kilku obcych językach); do zbioru artykułów Akademii Nauk ZSSR pt.: "Kryzys systemu kolonialnego"; prac o Korei:

tyczna i gospodarcza, a przede wszystkim wojskowa Korei Północnej, była szeroko reklamowana przez bolszewików i nie mogła wzbudzać najmniejszej wątpliwości co do swego charakteru i celu. W szczególności nie było żadną tajemnicą, że główny nacisk przy organizacji Republiki Ludowej Korei Północnej kładziony jest na militaryzację, na stworzenie maksymalnie najlepiej zorganizowanej i uzbrojonej armii, że w organizacji i szkoleniu tej armii decydującą rolę odgrywają specjaliści i instruktorzy sowieccy. Niewiadomą była tylko i wyłącznie konkretna data, w jakiej ma być rozpoczęta akcja «anschlusowa». Ale łatwo było wydedukować, że *termin ten jest ściśle uzależniony od opanowania przez komunistów całego terenu chińskiego i od uregulowania stosunku prawnopolitycznego pomiędzy Pekinem a Moskwą*. Z chwilą, gdy cały obszar Chin kontynentalnych został «uwolniony», gdy uregulowano skomplikowane zagadnienie polityczno-rewolucyjnej kolaboracji na osi Moskwa—Pekin, sprawa Korei automatycznie musiała wejść na porządek dzienny.

6) Już po rozpoczęciu działań wojennych amerykańska opinia publiczna ostro zaatakowała swą służbę wywiadowczą za dopuszczenie do zaskoczenia. Myślę, że zaskoczenie to powstało z innego powodu. Nie wydaje mi się, by nawet tak początkujący i eksperymentujący wywiad jak amerykański, mógł przejść do porządku nad wyraźnymi symptomami zbliżającej się agresji sowieckiej. Ustroje demokratyczne, zwłaszcza ustroje tak dalece jak Stany Zjednoczone oparte na zasadach nadrzędności jednostki, że aż niemal anarchistyczne, nie umieją z reguły korzystać z informacji swych wywiadów i również z reguły nie mają do nich zaufania. Jaskrawym przykładem tego była np. w okresie między obu wojnami Francja, gdzie politycy działali kierując się wszystkim: własną intuicją, obcą inspiracją, względami ubocznymi, abstrakcyjnymi przewidywaniami — ale tylko nie oceną sytuacji zupełnie niezłej informacji i wywiadu. Tylko ustroje o bardzo skonkretyzowanej generalnej linii polityki zagranicznej — spośród państw demokratycznych bodaj tylko jedna Wielka Brytania — umieją należycie kierować i posługiwać się wywiadem i informacją.

W konkretnym wypadku, sądzę, że za zaskoczenie, podobnie jak i za późniejszy rozwój wypadków ponosi odpowiedzialność nie wywiad, lecz całokształt polityki amerykańskiej. Zła poli-

W. Zajczykowa: "Koreja", A. Głowicz i B. Bursowa: "My widzieli Koreję", B. Niebylickiego i T. Bunimowicza "W oswobodzonej Korei". Nawiasem mówiąc już w czerwcowych miesięcznikach i periodykach satelitów (np. w Nr. 3-im warszawskich "Nowych Dróg") ukazały się obszernie artykuły informacyjne o Korei i "agresji amerykańskiej", które są wyraźnym świadectwem jak dalece kampania koreańska została przez Moskwę starannie przygotowana. Trzeba stwierdzić, że ze swej strony, mimo wyraźnego od dawna zagrożenia na odciśnięciu koreańskim, Stany Zjednoczone propagandowo zupełnie nie przygotowały swej rozgrywki z Sowietami.

tyka pokojowa rodzi złą strategię, zła strategia przynosi fatalne warunki pokojowe. Strategia Stanów Zjednoczonych w latach 1944 - 1945 posiadała ogromną ilość błędów, które w ostatecznym wyniku stworzyły fatalną sytuację polityczną w latach powojennych i uwikłały Amerykę — a z nią razem i cały świat demokratyczny — w dalszą serię błędów już natury politycznej. W szczególności amerykańska polityka w Azji, bez wyraźnego celu i bez nadrzędnej idei, bez należytego wyczucia przeciwnika, a zbyt uproszczonym pojmowaniem jego polityki i strategii — nie mogła Stanom Zjednoczonym zapewnić dobrej sytuacji wyjściowej.

7) Trzeba stwierdzić, że sytuacja wytworzona w Azji jest wyjątkowo skomplikowana. Fakt, że bolszewizm opowiada się po stronie ruchów rewolucyjnych, bynajmniej nie deprecjonuje ani nie niweluje znaczenia tych ruchów jako zjawiska postępowego. Bolszewizm w dalszym etapie skazuje te ruchy nie tylko na zagładę, ale grozi rewolucyjnym narodom jarzmem totalizmu, jeszcze gorszego od sytuacji obecnej, ale nie znaczy to bynajmniej, aby w chwili obecnej nie mógł się wydawać jedynym oparciem. Walka świata demokratycznego z bolszewizmem powinna być tak pomyślana, by skompromitować bolszewizm w oczach narodów rewolucyjnych, by rozbić koniunkturalne, a fatalne dla tych narodów ich sojusze z bolszewizmem, by uderzenia w bolszewizm przechodziły ponad głowami narodów i ruchów wywoleńczych i rewolucyjnych. Walka ta nie może traktować tych narodów jako przedmioty uboczne polityki międzynarodowej, lecz jako pełnowartościowe podmioty tej polityki, a ich kraje i obszary — nie jako poligony na których rozgrywają się zapasy dwóch sił: bolszewizmu i demokracji, lecz jako tereny sojusznicze.

8) Pytanie najważniejsze, nad odpowiedzią na które warto się poważnie zastanowić: czy bolszewicy rozpoczynając kampanię koreańską traktowali ją jako akcję lokalną, operację samą w sobie, czy też akcja ta jest pierwszym elementem długodystansowego planu wojennego, — inaczej mówiąc — czy jest ona wstępem do uniwersalnej pojętej agresywnej akcji wojennej w stosunku do otoczenia kapitalistycznego?

Skłonny jestem twierdzić, że kampania koreańska nie była celem samym w sobie. W moim pojęciu jest ona pierwszą z cyklu, konsekwentnie po sobie następujących wojennych aktów agresywnych w innych zapalnych, z punktu widzenia rewolucyjnego programu osi Moskwa - Peking, punktach globu ziemskiego: Indochiny, Malaje, Tybet, Filipiny, Japonia, Iran, Grecja, Jugosławia, Niemcy, Finlandia, narody kolonialne Afryki itd. Każdy z tych punktów ma swoje własne znaczenie w bolszewickiej strategii agresji rewolucyjnej, lecz wszystkie one stanowią skoordynowany ze sobą system baz wypadowych w stosunku do otoczenia kapitalistycznego.

Istnieje cały szereg bezpośrednich i pośrednich dowodów, że

polityka bolszewicka zdecydowała się na przejście do uniwersalnej, permanentnej wojny ze światem kapitalistycznym. Dowodami tymi są: coraz gwałtowniejsza akcja „pokojowa” sowiecka; coraz bardziej gorączkowa akcja zbierania dokumentacji przeczuczącej odpowiedzialność za wojnę na przeciwnika; coraz bardziej energiczna organizacja piątej kolumny we wszystkich krajach kapitalistycznych i przedstawianie tej piątej kolumny na zagadnienia czysto wojenne; coraz gwałtowniejsza centralizacja państw satelickich; coraz gwałtowniejsze dopinguwanie ruchów rewolucyjnych i anarchistycznych; coraz ostrzejsza izolacja całego obszaru sowieckiego od penetracji zewnętrznej; coraz silniejsze pogłębienie sprzeczności pomiędzy państwami demokratycznymi. Jeżeli chodzi o sytuację wewnętrzną, to dowodami takimi są: doprowadzona do maksymalnego natężenia militaryzacja przemysłu i całego życia gospodarczego Związku Sowieckiego¹⁾, zaniechanie dalszego pokojowego planowania gospodarczego i przedstawianie się na planowanie tylko wojenne, gwałtowne czystki aparatu państwowego i samej partii, zmiany organizacyjne i dylokacyjne armii sowieckiej, nastawienie wojenno-patriotyczne wewnętrznej propagandy sowieckiej.

Błędne jest, moim zdaniem, mniemanie, że decydując się na rozpoczęcie kampanii koreańskiej, bolszewicy nie przypuszczali, że reakcja Stanów Zjednoczonych będzie taka, jaką się okazała. Jestem wielkim przeciwnikiem zbytniego gloryfikowania planowości sowieckiej, wychwalania nieomyślności polityki sowieckiej czy jednostronnego pozytywnego oceniania sowieckiego potencjału politycznego, gospodarczego i militarnego. Sowiecki potencjał na każdym odcinku posiada moc pęknięć i miejsc słabych, a sowiecka polityka obfituje w gaffy i pomyłki nieraz wręcz katastrofalne. Lecz w konkretnym wypadku wydaje mi się, że decyzję sowiecką poprzedziło gruntowne i głębokie rozpoznanie sytuacji w Ameryce i że reakcja amerykańska nie była dla Moskwy zaskoczeniem. Kalkulacja moskiewska nastawiona jest w innym kierunku: liczy ona na to, że

1) Przy kalkulacji sowieckich wydatków na bezpośrednie cele wojenne — rzecz znana — nie mogą być brane pod uwagę tylko cyfry oficjalnego budżetu wojskowego, cyfry te bowiem dotyczą wyłącznie resortów par excellence wojskowych (obecnie ministerstwo Wojny i Marynarki Wojennej). W latach trzeciej piątiletki (1938-1940) inne resorty administracyjne, gospodarcze i kulturalno-oświatowe wydatkowały na bezpośrednie cele wojenne co roku około 160 procent oficjalnego budżetu wojskowego, a w latach czwartej piątiletki (1946 - 1950) wydatki te wzrosły do 200 procent. Tak więc, gdy ostatnio uchwalono na rok 1950 jako budżet wojskowy 79,4 miliard. rubli (przy ogólnym budżecie państwowym — 427,9 miliard. rb.) to do sumy tej należy doliczyć jeszcze z budżetów innych resortów około 140 miliardów rb. wydatkowanych na bezpośrednie cele wojenne. Należy przyjąć, że przy ogólnej sumie wydatków czwartej piątiletki — 1,880 miliard. rb. bezpośrednie wydatki wojenne wynoszą ok. 1,015 miliard. ob. (ok. 54 procent).

przeciwnik, nawet zdając sobie sprawę że akcja koreańska jest pierwszym ogniwem długiego łańcucha podobnych agresji wojennych prowadzących do wojny uniwersalnej, *nie będzie mógł zdecydować się ze swej strony na przyspieszenie i rozpętanie wojny totalnej i będzie biernie angażował się jedynie w kolejnych poczynaniach sowieckich*. Moskwa wychodzi z założenia, że Stany Zjednoczone, nie decydując się na rozpoczęcie wojny w skali uniwersalnej, będą tym nie mniej zmuszone do rozpoczęcia i przeprowadzenia permanentnej mobilizacji, która nieprzerwana, a coraz bardziej wszechstronna i głęboka zrujnuje system gospodarczy i społeczny kraju, pogłębi między-narodowy kryzys gospodarczy, pobudzi ruchy rewolucyjne i zdecydowanie osłabi cały potencjał państwowy Stanów jeszcze przed rozpoczęciem fazy kulminacyjnej wojny. Samo przez się rozumie się, że kalkulacja ta w dużym stopniu uwzględnia też sprzeczności pomiędzy poszczególnymi mocarstwami kapitalistycznymi, które spotęgowane zostaną wskutek zastosowania właśnie takiej strategii rewolucyjnej.

9) Sowiecki plan wojenny jest, moim zdaniem, planem długodystansowym. Nie chciałbym, posiadając niedostateczną ilość konkretnych przesłanek, operować tutaj jakimiś konkretnymi terminami. Wydaje się, że plan sowiecki rozłożony jest na dwa — trzy lata, i myślę, że nie jest w interesie Sowietów przyspieszanie tempa.

Trzeba przyznać, że kampania koreańska jako akcja wyściowa tak pomyślanego długodystansowego planu wojennego (jeżeli założymy, że plan taki istnieje) jest doskonale pomyślana zarówno pod względem wojskowym, jak też i politycznym. Układ rzeczy w Korei Południowej, który naraża dzisiaj Amerykanów na długotrwałe, a mało efektywne dla nich pod względem propagandowym i prestiżowym działania wojenne, wynika ze sprzeczności pomiędzy dwiema liniami amerykańskiej polityki na Dalekim Wschodzie: linią wojskową a linią pokojowo-polityczną. W wyniku konfliktu pomiędzy tymi dwoma kierunkami Korea Południowa została nie w porę rozbrojona. Działania amerykańskie takie, jakie są w tej chwili, są logicznym wynikiem konkretnego układu sił na tym terenie. Nie mogą one być inne w tych warunkach, a już w żadnym wypadku nie mogą być sprawdzianem amerykańskich możliwości czysto wojskowych. Lecz efekt propagandowy na rzecz bolszewików osiągnięty został kolosalnie. Przy ogólnych w Europie nastrojach pacyfistycznych, uczuciu powszechnego zagrożenia, kampania koreańska odbiła się bardzo poważnie na zaufaniu mas europejskich do Stanów Zjednoczonych. Trzeba stwierdzić, że Stany Zjednoczone nie mają przy tym nie tylko żadnego doświadczenia, ale nawet, zdaje się, żadnego pojęcia o propagandzie, jaką należało w takich wypadkach podjąć. Kampanii koreańskiej towarzyszy jedynie potężna i, znowu trzeba to stwierdzić, wielce skuteczna, propaganda sowiecka, wówczas gdy prasa amerykańska i amerykańska informacja stosując do opi-

nii świata te same kryteria, co do narodu amerykańskiego, tak dobrze jak pracują na rzecz propagandy sowieckiej.

10) Jeżeli chodzi o aspekt polityczny kampanii koreańskiej, z punktu widzenia sowieckiego, to ograniczymy się na razie do następującej formuły: *z reguły każda wojna w Azji, do której Rosja będzie zaangażowana pośrednio lub bezpośrednio, będzie mobilizowała nastroje mas sowieckich po stronie rządu sowieckiego i państwa sowieckiego. Z reguły każda wojna prowadzona przez Rosję sowiecką bezpośrednio lub pośrednio w Europie, będzie stwarzała potencjalne możliwości dla zaistnienia w Rosji masowego «porażenчества» (nastrojów kapitulacyjnych i ruchów antypaństwowych)*. Jest to zagadnienie zbyt skomplikowane, byśmy je mogli omówić i wyczerpać w tej nocy. Prawdopodobnie będziemy zmuszeni jednakże nieraz jeszcze wrócić do uzasadnienia tej formuły. W każdym razie stwierdzić możemy, że jak dotychczas kampania koreańska niewątpliwie odbiła się na terenie Związku Sowieckiego echem pozytywnym dla polityki stalinowskiej.

STALIN JAKO FILOLOG

Nie lubię dowcipów na tematy wszechstronności i wszechgenialności Stalina. Dowcipy te świadczą, że mimo przeszło trzydziestoletniej obserwacji zjawisk sowieckich, świat zachodni nie bardzo rozumie ani ich znaczenia, ani nawet nie zdaje sobie sprawy z ich grozy. Jeśli prasa i propaganda sowiecka piszą i mówią o Stalinie jako o największym autorytecie w literaturze, biologii, muzyce, technologii, anatomii, malarstwie, ekonomii itd. itd. to nie oznacza bynajmniej by miała ona na celu wmówienie nawet w obywatela sowieckiego, że Stalin jest jako pisarz genialniejszy od Tolstoja, jako uczony — od Miecznikowa czy Seczenowa, jako teatrolog — od Stanisławskiego, a jako muzyk — od Czajkowskiego. Oznacza to jedynie chęć przekonania coraz szerszej opinii, że ponad wszystkimi autorytetami jest autorytet Stalina jako dyktatora. Że ponad każdą myślą, każdą wiedzą, każdą ideą, istnieje jedna myśl i idea nadrzędna — myśl polityczna, partyjna, stalinowska.

Już w Leninie raziło ubóstwo i reakcyjność jego filozofii, jej całkowite podporządkowanie sprawom polityki. U Stalina polityka jest nie tylko dominantą całego istnienia i działania, — jest ona źródłem wszystkich jego myśli, całej treści życia. Wydaje się, że dla Stalina nic nie istnieje poza polityką i wszystko cokolwiek na świecie jest lub powstaje, musi się albo polityce podporządkować — albo zginąć. W tym jest ogromna siła tego człowieka. Groza totalizmu stalinowskiego polega na tym, że sam Stalin, naczelny szczyt tworzonej przez siebie piramidy totalnej, jest niebywale scentralizowanym i nieskomplikowanym organizmem totalnym. Hitler — jako totalista — był przy Stalinie nieporadnym fantastą i romantykiem, który

miął jakieś, nieharmonizujące z jego politycznymi teoriami i polityczną praktyką zainteresowania i upodobania. To swoiste ubóstwo duchowe i kulturalne Stalina przedstawia samo przez się ogromne niebezpieczeństwo. Trafia ono bowiem doskonale do przekonań i upodobań szerokich mas, zmęczonych i zduszonych komplikowaniem zagadnień. To, co mówi i pisze Stalin jest jasne i proste. Nie trzeba nic umieć, aby Stalina rozumieć. Jego prawdy wydają się bezsporne, jego nakazy — chociaż bezwzględne i brutalne — konsekwentne i celowe. Stalinizm upraszcza wszystko, każdą dziedzinę wiedzy, każdą myśl, każdą wiarę, toteż podoba się masom, zmęczonym nihilizmem, wewnętrznymi sprzecznościami, hamletyzmem i pesymizmem współczesnej kultury. Stalinizm jest zaiste tym «nowym średniowieczem», które coraz bardziej przytłacza bezsilną już i nie budzącą entuzjazmu kulturę współczesną. Toteż źródła i środków walki ze stalinizmem nie należy szukać tylko w sferze polityki lub organizacji gospodarczej. Należy ich szukać w odrodzeniu całego życia od podstaw.

Ostatnie wywiady Stalina na temat filologii¹⁾ nie zostały, moim zdaniem, należycie ocenione na Zachodzie. Wywiady te — jak wiadomo — zostały opublikowane w związku z nakazaną przez partię publiczną dyskusją sowieckich filologów na temat teorii nieżyjącego już dziś akademika N. Marra. Teorie te, czysto mechaniczne, w przeciągu wielu lat uznane przez partię jako jedyne, odegrały ogromną rolę w sowieckiej polityce narodowościowej. Pomogły one do zunifikowania (praktycznie rzecz biorąc do zrusyfikowania) języków poszczególnych narodów, uzasadniły i utwierdziły supremację języka rosyjskiego, narzuciły wszystkim językom narodów sowieckich te same procesy swoistej sowietyzacji filologicznej. Zachód nie bardzo zajmował się tymi sprawami i nie interesował się jak dalece Marr, wierny współpracownik Stalina w dziele stworzenia «jednego narodu sowieckiego», pokaleczył języki ukraiński, tatarski, kaukaskie czy tiurkские.

W wywiadach swoich Stalin wystąpił jako liberał i apologeta swobodnej dyskusji. Czytamy dosłownie: «... żadna nauka nie może rozwijać się i prosperować bez walki poglądów, bez wolności krytyki». Znajdujemy bardzo efektowne zwroty o «systemie Arakcejewowa», który «stworzyli uczniowie Marra». Tak czy inaczej teorie i «arakcejewowski system» Marra zostały potępione a Stalin wypowiedział przy tej sposobności sporo twierdzeń, które jak zawsze, — i w tym leży geniusz Stalina — prostotą swą robią wrażenie truizmów i pewników bezspornych. Któż wie o tym, że Marra i jego «system arakcejewowski» stworzył w swoim czasie sam Stalin? Któż pamięta, że w tym czasie gdy Stalin wprowadzał Marra jako jedynego rzetelnego filologa marksistowskiego, wypowiedział on również niemnąż twierdzeń,

które wtedy również wydawały się truizmami i bezspornymi pewnikami?

Jeszcze rok temu czasopismo «Woprosy Filologii» — organ Instytutu Filologii Wszechzwiązkowej Akademii Nauk, zamieszczając entuzjastyczny artykuł o dorobku naukowym Marra i jego szkoły, — pisało: «teoria filozoficzna Marra jest prawdziwie twórcza, materialistyczna i leży u podstaw sowieckiego językoznawstwa». A w styczniu roku bieżącego to samo czasopismo w numerze specjalnym, poświęconym «geniuszowi Stalina w dziedzinie filologii», wykazało logicznie związek teorii Marra z wypowiedziami Stalina w sprawach narodowościowych. W rzeczy samej osławione twierdzenie Stalina, że «dopiero na drugim etapie okresu światowej dyktatury proletariatu, w miarę kształtowania się jednej światowej gospodarki socjalistycznej, zamiast światowej gospodarki kapitalistycznej, zacznie się kształtować coś w rodzaju wspólnego języka, albowiem dopiero na tym etapie narody odczuwają konieczność posiadania jednego języka międzynarodowego obok własnych języków narodowych — dla ułatwienia stosunków wzajemnych i współpracy ekonomicznej, kulturalnej i politycznej¹⁾» — twierdzenie to, które znakomicie wyraża superimperialistyczne tendencje Stalina, jest całkowicie oparte na teorii Marra. Uproszczony i zwulgaryzowany marksizm Marra odpowiadał jak najbardziej największemu wulgaryzatorowi tegoż marksizmu — Stalinowi, a w szczególności jego tezie, że «narod nie jest ani rasowy, ani plemienny, lecz historycznie złożoną społecznością ludzką».

Wywiady Stalina dały okazję prasie zachodniej do napisania mnóstwa głupich dowcipów o Stalinie jako filologu i do wyciągnięcia jeszcze głębszych wniosków: mamy do czynienia z nowym NEP-em, tym razem w dziedzinie kulturalnej! Sowiecka polityka wchodzi na tory liberalne!

Sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana. Rzeczona dyskusja filologów, podobnie jak toczące się dziś w ZSSR dalsze publiczne dyskusje naukowe w innych dziedzinach są wykładnikiem wielkiego kryzysu, jaki przechodzą obecnie stalinowski system i stalinowska teoria, przedstawiając się z ram Związku Sowieckiego już nie tylko do ram obecnego zasięgu wpływów sowieckich, lecz do nieograniczonych, przyszłych zdobyczy rewolucyjnych. To przestawienie się ze skali państwowej na skalę uniwersalną spowodowało już ogromne zmiany i uzupełnienia w sowieckiej teorii prawa, w teorii rewolucji, w teorii propagandy, nie mówiąc o jeszcze bardziej zasadniczych zmianach w praktyce polityki wewnętrznej. «Arakcejewowskie metody» Marra już nie wystarczają, a swym prymitywizmem mogłyby jedynie od-

1) J. Stalin: **Kwestia narodowa a leninizm**. Artykuł ten napisany rzekomo w 1929 r. opublikowany został po raz pierwszy dopiero w 1949 r. w XI tomie **Dzieł Stalina**. Zarówno język oryginału jak i polski przekład (według "Nowych Drog" Nr. 6/18) nie są zbyt zachęcającą reklamą tego wspólnego języka międzynarodowego, którym się mamy posługiwać "na drugim etapie okresu światowej dyktatury proletariatu".

straszać. Metody te zrobiły swoje i muszą być zastąpione nowymi. Sprawa «wspólnego języka» po zwycięskiej rewolucji nie może być załatwiona mechanicznie. Musi ją przegotować długotrwała dyskusja, która wypracuje dla użytku Stalina potrzebne metody, tak jak niedawno równie «liberalnie» przeprowadzana dyskusja nad tezami profesora Wargi, znakomicie wzbogaciła metody polityki sowieckiej pogłębiania międzynarodowego kryzysu gospodarczego.

Zapewniając, że «wspólnym językiem międzynarodowym nie będzie ani niemiecki, ani rosyjski, ani angielski», Stalin oczywiście nie myśli o żadnym innym języku jako «wspólnym i międzynarodowym» jak tylko o rosyjskim. Stalinowscy «filolodzy» powtarzają na wszystkie łady formułkę, że *prawo do międzynarodowości ma tylko język «przodującej, postępowej kultury proletariackiej»*.

I tutaj tkwi drugi cel wystąpień Stalina: zamaskowane pseudonaukową dyskusją uderzenie w język angielski, «język strupieszalego, imperialistycznego kapitalizmu, język skazanej na zagładę reakcji». «Liberalna» dyskusja ma przygotować grunt do «naukowej dyskwalifikacji» międzynarodowej atrakcyjności języka angielskiego. Później... wróci Marr ze swoją wielkomocarstwową teorią supremacji klasowej, albowiem jak twierdzi Stalin: *«marksizm nie uznaje niezmiennych wniosków i formuł, obowiązujących dla wszystkich epok i okresów. Marksizm jest wrogiem wszelkiego dogmatyzmu»*.

Nowa «genialna» teoria Stalina ma, oczywiście, znaczenie *par excellence* utylitarno-polityczne. Już lipcowy (14-ty) numer «Bolszewika» przynosi rozkaz wykonawczy: jak i gdzie teoria ta ma być wykorzystana. «Poważne tezy naukowe, ustalone przez J. Stalina, nie tylko demaskują dawnych kolonizatorów i współczesnych imperialistycznych agresorów, lecz wykazują całą beznadziejność i totalizm tej polityki kolonizatorskiej... To warzysz Stalin, uzasadniając historyczne prawa narodów do własnej państwowości, do własnej kultury, do swego języka narodowego, uzbraja nas do walki przeciwko angielsko-amerykańskim agresorom z ich przesiąkniętym nienawiścią programem likwidacji narodowej samowystarczalności, państwowej suwerenności i kultury wszystkich narodów».

Tragedia — moim zdaniem — tkwi nie tyle w poziomie wiedzy Stalina i komentarzy jego apostołów, ile w indeferentyzmie Zachodu, w bierności naszej kultury, które pozostawiają te wypowiedzi i teorie bez odpowiedzi, nie walczą z nimi, nie rozumieją ich znaczenia i siły.

O BARDZO WAŻNEJ SPRAWIE I CAŁKIEM NIEWAŻNEJ KSIĄŻCE

Apokryfy zawsze odgrywały dużą rolę w stosunkach politycznych Zachodu z Rosją. Autorem, a raczej inspiratorem najznakomitszego apokryfu o Rosji był Polak — generał Michał So-

kolnicki, którego opracowania i memoriały stały się podstawą osławionego do dziś dnia «Testamentu Piotra Wielkiego»¹⁾.

W wieku XIX w salonach politycznych Paryża i Londynu kursowało moc dokumentów, dotyczących zagranicznej i wewnętrznej polityki caratu, zręcznie fabrykowanych przez emigrantów rosyjskich i polskich. Apokryf tych czasów służył wielkim celom rewolucji, walce o wolność narodów. W wieku XX apokryf stał się źródłem zarobku niezliczonych aferzystów i donosił narzędziem inspiracji, dezinformacji i dywersji.

W miarę potęgowania się trudności rozpoznania Rosji Sowieckiej przez wywiady Zachodu wzrastała ilość fałszowanych informacji i dokumentów, sporządzanych nie tylko przez amatorów łatwego zarobku, ale również przez same Sowiety, które nawadniały biura studiów państw zachodnich bezwartościowymi opracowaniami względnie materiałami spreparowanymi z określoną myślą przewodnią. Już w pierwszych latach po rewolucji istniało w Europie kilka ośrodków fabrykacji takich materiałów. Prawie ze wszystkimi tymi ośrodkami była w ten czy w inny sposób związana inicjatywa sowiecka. W Gdańsku, w Wiedniu, Kiszyniowie, Wrocławiu, w Paryżu, w Genewie, w Rydze czy w Amsterdamie można było kupić wszystko, czego tylko najbardziej przedsiębiorczy wywiad potrzebował, poczynając od etatów pokojowych dywizji strzeleckich, a kończąc na «Protokółach» posiedzenia Politbiura. Z biegiem czasu wyrabiali się doskonali specjaliści, których opracowania były oparte niejednokrotnie na poważnych studiach. Sam w swej karierze wywiadowczej miałem kilka kontaktów z takimi ośrodkami fabrykacji informacji i niektóre zadziwiał mnie swą organizacją pracy, bogactwem bibliotek i materiałami podstawowych, przemyślaną i konsekwentną metodą, doskonałą znajomością stosunków międzynarodowych, organizacji i personalii poszczególnych wywiadów. Niektórzy fabrykanci robili na swoich utworach duże majątki. Pewne opracowania oceniane były i szły w tysiące dolarów. Jeżeli nawet nie były one bezpośrednio narzędziem inspiracji sowieckiej, to stały się automatycznie narzędziem jej dezinformacji i dywersji, absorbując

1) Historię powstania tego «dokumentu» (na który, nawiasem mówiąc, lubią się także powoływać ni w pięć, ni w dziewięć publiczności dzisiejszej emigracji polskiej) opowiada wyczerpująco A. Petruniewicz w ostatnim (XXIII-cim) numerze doskonałego kwartalnika rosyjskiego *Nowyj Żurnał*. Wymieniając różne okoliczności, dla jakich osławiony «Testament» był wyciągany z lamusu zużytych rekwizytów propagandowych, Petruniewicz przeoczył sprawę jego przedruku in extenso przez Wilhelma Liebknechta w jego ogromnej dla sprawy polskiej znaczeniu pracy, pt. «Odbudowanie Polski». Na tym przykładzie najlepiej udowadnia się prawda, że najstuszniejsza sprawa, najznakomitsza publikacja oparta na fałszach, apokryfach czy nieścisłościach przepada z kretesem: znakomite wystąpienie socjalisty niemieckiego w obronie Polski, oparte wyłącznie na analizie nieistniejącego w gruncie rzeczy dokumentu, «przeminęło z wiatrem».

organizacje wywiadu, absorbując środki materialne, absorbując i utrudniając pracę biur ewidencyjnych i studiów.

Popyt na tego rodzaju materiały uwarunkowany był nie tylko trudnościami zdobycia materiału oryginalnego, trudnościami pracy wywiadowczej w ZSSR, czy też nie zawsze odpowiednimi kwalifikacjami oficerów i funkcjonariuszy wywiadu, lecz również bardzo często niezdrowymi ambicjami aparatu wywiadowczego, dążeniem do łatwych sukcesów, brakiem odpowiedzialności moralnej, a z drugiej strony dyletanckim podejściem do zagadnień politycznych kierowników politycznych i wojskowych państw Europy powersalskiej. Znałe są wypadki, gdy stosunkowo nawet nieudolne fabrykaty dostawały się na biurka ministrów spraw zagranicznych, narzucały nie tylko decyzje w sprawach konkretnych, ale i formowały pogląd na długodystansowe zagadnienia¹⁾.

W miarę potęgowania się trudności wywiadowczych na terenie ZSSR, w miarę potęgowania się politycznej i policyjnej izolacji Związku Sowieckiego, dywersyjna rola fabrykantów informacji wzrastała. Wielką pomocą zawodowym fabrykantom w tym kierunku zaczęła oddawać prasa, coraz bardziej płytka, coraz bardziej nastawiona na sensację w dziedzinie politycznej, gospodarczej i wojskowej. Obniżenie poziomu dziennikarstwa i publicystyki, swoista «amerykanizacja» tej prasy stały się znakomitą sojuszniczką dla samorządnych gangsterów i świadomych agentów sowieckich, pracujących w tym zakresie. Prasa podchwytowała najbardziej nieprawdopodobne, celowo czy bezcelowo fabrykowane informacje, wprowadzała je do opinii publicznej, dawała im prawo obywatelstwa. Prasa tego typu wytyczała niejako zagadnienia, robiła im wstępną reklamę, regulowała zagadnienie popytu na takie czy inne informacje na rynkach międzynarodowych.

1) Pewien, dużej klasy fabrykant takich falsyfikatów powiedział mi kiedyś: «Ażeby stworzyć dobry «dokument» trzeba mieć taką pogardę dla współczesnych mężów stanu Europy, jaką ja mam. Boją się oni prawdy i chcą potwierdzenia swoich, częstokroć idiotycznych poglądów i przewidywań. Jeżeli znam te poglądy, to, zapewniam pana, prawie zawsze nie tylko zdobędę gotówkę, ale zaskarbię sobie wdzięczność i zdobędę całkowite zaufanie, dostarczając im opracowania według ich gustu i upodobań». Święta prawda! Jakże często musiałem w swej praktyce zużywać moc energii, by dowieść, że «dokument», którym taki utytułowany bęwał potrafił się zachwycić, był sporządzony właśnie w wyniku kalkulacji na ten zachwyt. Każdy podoficer wywiadu wie, że przedtem zanim się zacznie czytać jakiegokolwiek dokument czy studiować informację, trzeba odpowiedzieć na pytania: 1) kto ją zdobył; 2) gdzie ją zdobył; 3) kiedy ją zdobył i 4) w jaki sposób ją zdobył. Jeżeli nie można odtworzyć sobie logicznie tej drogi — informacji nie można brać pod uwagę. Ale to co jest alfabetem dla początkujących funkcjonariuszy wywiadu, nie może się przeważnie zmieścić w mózgownicach wielu ministrów, ambasadorów, generałów a nawet szefów rządów. Ambicje zabiłają w nich logikę, niecierpliwość dyktuje wymaginowane sytuacje a tak zwane «osobiste zaufanie» przesłania wszelką czujność.

Zjawiał się nowy typ dziennikarza — fabrykanta informacji, który często świadomie, ale najczęściej nieświadomie współpracuje z siecią zawodowych fabrykantów i dezinformatorów. Tempo życia politycznego, coraz bardziej komplikujące się stosunki międzynarodowe, nieustanne zagrożenie wojenne, panujące w Europie w okresie pomiędzy dwiema wojnami światowymi, spowodowały rozmnożenie się przeróżnego typu agencji prasowych i informacji, a bardzo często i inspiracji sowieckiej. (Przed wojną w kartotece swojej posiadałem charakterystykę pracy w tym kierunku przeszło 50 agencji prasowych na terenie samej tylko Europy, które w większym lub mniejszym stopniu dopomagały do rozpowszechnienia fabrykatów dezinformacyjnych i dywersyjnych. Sytuacja stawała się z roku na rok coraz bardziej skomplikowana. Doszło do tego, że musieliśmy w ostatnich paru latach przed wojną wydatkować około 20% budżetu przeznaczanego na wywiad strategiczny w Rosji Sowieckiej jedynie dla skupu informacji fabrykowanych i tą drogą rozpoznania sfer zainteresowań dywersji sowieckiej. W sieci naszej pracowało kilkunastu zawodowych dziennikarzy, którzy sami zresztą byli bardzo często zdolnymi fabrykantami fałszywych informacji, a którzy owoce swojej fantazji, natchnienia czy złej woli latami całymi dawali nam, będąc przekonani o naszej dobrej wierze.

Dużą rolę na tego rodzaju swoistym rynku informacyjnym odgrywały przeróżne ugrupowania emigracyjne. W miarę tracenia kontaktu z krajem, usiłując utrzymać się na zajętych początkowo pozycjach politycznych, przechodziły one stopniowo na fabrykowanie informacji ze swych rodzinnych terenów, usiłując tego rodzaju informacjami zaskarbić sobie względy poszczególnych mocarstw, względnie uzasadnić taką czy inną własną linię polityczną.

W pewnym okresie prawdziwą plagą na tym odcinku stali się coraz liczniejsi «niewowraszczeńcy» sowieccy. Taki pan z reguły niewiele miał do powiedzenia. Obywatel sowiecki nawet zajmujący wysokie stanowisko w hierarchii państwowej czy wojskowej jest w porównaniu z dygnitarzem zachodnio-europejskim nieskończenie mało poinformowany. Atakowany przez różne wywiady, prasę, ugrupowania emigracyjne «niewowraszczeńiec» szybko wyrzucał ze siebie to, co wiedział i równie szybko przechodził do improwizacji. Duża ilość «niewowraszczeńców» stała się w krótkim czasie czołowymi fabrykantami informacji o ZSSR, a wielu z nich po pewnym czasie włączono w sieć planowej inspiracji i dezinformacji sowieckiej. «Wybranie wolności» kończyło się bardzo często podpisaniem deklaracji współpracy z wywiadem sowieckim¹⁾.

1) Zdumiewały mnie zawsze beztroška i lekkomyślność z jaką z reguły wszystkie emigracje polityczne przyjmowały takiego uciekiniera, dopuszczając go do najpoufniejszych spraw i prac organizacyjnych

Po ostatniej wojnie sytuacja pod tym względem jeszcze bardziej skomplikowała się. Związek Sowiecki szybko zrekonstruował swój dawny system izolacji i ochrony przed wglądem i penetracją obcą. Poszczególne kraje satelickie są na dobrej drodze do podobnego odizolowania się od świata otaczającego. Organizacja wywiadu na terenach sowieckich i kontrolowanych przez Sowiety staje się coraz trudniejsza. Z drugiej strony zmniejszyła się ogromnie ilość wywiadów pracujących przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Odpadł szereg wywiadów posiadających duże doświadczenie i mających za sobą nie, byle jaki dorobek. Na ich miejsce wszedł szeroko rozbudowany, zasobny w środki materialne i techniczne wywiad amerykański. Ale z wywiadem jest tak, jak z tym angielskim trawnikiem: by był piękny i zielony trzeba go tylko starannie przez jakieś paręset lat strzyć, podlewać i pielęgnować. O wartości i skuteczności wywiadu decydują nie tylko zasoby materialne, czy zdolności poszczególnych funkcjonariuszy. Decydują w równym (jeżeli czasem nie w większym stopniu) tradycje, ogólne założenia polityczne państwa, ideologia polityczna, a przede wszystkim doświadczenie, doświadczenie i jeszcze raz doświadczenie. Wywiad amerykański jest wywiadem bardzo młodym.

Sytuacja skomplikowała się również i z tego powodu, że ubyty te wywiady, które w stosunku do Rosji i bolszewizmu operowały nie tylko znajomością rzeczy i zagadnień, nie tylko techniką, ale i wycuciem spraw rosyjskich i ich specjalnej atmosfery. Jest to ogromny mankament wywiadów zachodnich (nawet tak dobrego w swoim czasie pod względem studiów wywiadu francuskiego, czy tak doświadczonego i konsekwentnego organizacyjnie i taktycznie jak wywiad brytyjski), że w stosunku do Rosji nie mają one bezpośredniego wycucia, nie mają tego, co w taktyce wojennej nosi nazwę «bezpośredniego kontaktu z nieprzyjacielem». Zmuszone są one korzystać z usług różnego typu pośredników i dragomanów, a tacy pośrednicy i dragomani w praktyce częściej okazują się pachciarzami aniżeli rzetelnymi współpracownikami.

Reasumując — w chwili obecnej stosunek informacji prawdziwych i rzetelnych o Rosji w stosunku do ilości informacji fałszywych, sfabrykowanych, zainspirowanych, jest znikomy i zmniejsza się już nie z roku na rok lecz z tygodnia na tydzień. Nawet najpoważniejsze organy prasowe brytyjskie, francuskie, nie mówiąc już o amerykańskich, są przepełnione apokryfami, fabrykatami, wymysłami i mniej lub więcej konsekwentnymi

i politycznych. Tylko jedna z emigracji — z terenu kaukaskiego — stosowała w stosunku do ludzi zjawiających się z kraju dwuletnią kwarantannę. Wszystkie inne, wzorem słynnego "Trustu" rosyjskiego otwierały i otwierają szeroko ramiona i akta, wprowadzając przybyszy wszędzie tam, gdzie same zdobywały kontakty i zaufanie z największym trudem. Emigracja polska należy pod tym względem bodaj do najbardziej naiwnych i lekkomyślnych.

inspiracjami, które niekiedy wpływają zasadniczo na najpoważniejsze decyzje polityczne a nawet kształtują koniunkturę polityczną na pewien okres czasu.

Jedną z najciekawszych «afer» tego typu w ostatnim czasie, afer, w której «prywatna inicjatywa» fabrykantów znakomicie się splata z sowiecką inicjatywą inspiracyjną, jest historia ujawnienia sowieckiej bomby atomowej. Już w końcu 1947 r. sowiecka propaganda zaczęła różnymi drogami lansować informacje, że ZSSR *też* posiada bombę atomową. Do propagandy tej użyto nawet autorytetu samego Mołotowa. Zaczęły zjawiać się różne rewelacje o sowieckich «atomgradach», zdumiewające dokładnością szczegółów drugorzędnych, ale za to nieodpowiadające na najprostsze a podstawowe pytania.

I oto w końcu 1948 pewien zawodowy fabrykant informacji o ZSSR, Rosjanin, puścił konkretną wiadomość, że pierwszy próbny wybuch będzie miał miejsce w czerwcu-lipcu 1949 roku. Wiadomość tę zamieściła pewna agencja brytyjska, specjalizująca się w tego rodzaju sensacjach i pewien wielki francuski koncern prasy bulwarowej. Stąd przedostała się ona do prasy amerykańskiej. Nikomu nie przyszło do głowy zastanowić się w jaki sposób *ktokolwiek* może w Paryżu czy w Londynie wiedzieć o rezultatach sowieckich prób atomowych na Syberii, w Azji Środkowej czy w Mongolii.

Ale oto we wrześniu 1949 r. sam Prezydent Truman oświadcza, że pierwszy próbny wybuch sowieckiej bomby atomowej miał miejsce w... lipcu 1949 r. Nie wiemy na jakich elementach oparł on swoją rewelację, ale skwapliwość z jaką została ona poparta przez Wyszyńskiego i całą propagandę sowiecką, *może nie wykluczać*, że cała historia z bombą jest od początku do końca inspiracją sowiecką i. że ZSSR dotychczas bomby nie posiada. Ale łatwo można sobie wyobrazić jak podobny «zbieg» wypadków podmurował podejrzanych informatorów i lansujące ich agencje.

Podobnie rzecz się miała i ze sprawą Tito. Jeszcze na długo przed oficjalnym zerwaniem pomiędzy Stalinem a Tito, inspiracja sowiecka podsunęła energicznemu fabrykantowi takich wiadomości — tym razem Polakowi — wiadomość o mającym nastąpić konflikcie. Prasa francuska, belgijska i szwajcarska, a w ślad za nią i brytyjska podchwyciły wiadomość, a byli komuniści, trockiści itp. z entuzjazmem zaczęli ją «rozpracowywać» wypisując niestworzone bzdury o «niebezpieczeństwie titoizmu dla Stalina». Titoizm zaczął być lansowany jako największa siła destrukcyjna, która będzie w stanie «zlikwidować bolszewizm». Nikt nie chciał widzieć, że opinia ta jest od początku do końca zainicjowana i inspirowana przez Moskwę, która tą drogą najskuteczniej zaabsorbowała wyobraźnię i politykę wielkich mocarstw. Inspiracja odniosła sukces niebywały! Podczas pobytu Mao Tse Tung w Moskwie «sam» Acheson oświadcza

czył *urbi et orbi*, że Mao jest rodzajem chińskiego Tito i że pertraktacje sowiecko-chińskie napotykały na duże trudności.

W chwili obecnej oficjalnej sowieckiej propagandzie o «niezmiennej pokojowości» Moskwy towarzyszy perfidna inspiracja i dezinformacja sowiecka o sowieckich... przygotowaniach wojennych. *Moskwie zależy na pogłębianiu nieustannego zagrożenia wojennego, na prowokowaniu stałego (ale do pewnej granicy tylko doprowadzonego) wysiłku mobilizacyjnego Zachodu, który pogłębiałby «kryzys gospodarczy kapitalizmu».* Oczywiście fabrykanci mają tu prawdziwe Eldorado. Podsunęte sobie różnymi drogami sugestie wywiadu sowieckiego rozpracowują oni z ogromną starannością, osiągając rekordy wszechwiedzy i... głupoty. Ta sama agencja brytyjska, która tak się wyróżniła w «aferze bombowej» zamieściła niedawno niebylejaką sensację: sprawozdania z konferencji wojennej Politbiura, podczas której Bułganin... rozdawał wyższym dowódcom koperty z rozkazami operacyjnymi. Zupełnie poważnie! A co najważniejsze, że takie bzdury są w stanie naelektryzować opinię publiczną, zapłodnić publicystów, wywołać fałszywe reakcje polityków. Jeżeli nawet nie pociągają one za sobą skutków bezpośrednich, to można sobie wyobrazić do jakiego stopnia absorbują one kontrwywiad, służbę bezpieczeństwa i organy kontrolne, ile to pieniędzy kosztuje ustalenie czy w konkretnym wypadku ma się do czynienia z inspiracją (a jeżeli tak to czyją?), czy z dezinformacją, czy też po prostu z przedsiębiorczą prywatną inicjatywą energicznego gangstera, czy też w sensacji tej ukrywa się prawda czy część prawdy? Bo i tak bywa!

Niemiecki wywiad stosował np. niezmiernie interesującą formę dezinformacji *prawdziwymi wiadomościami*, lecz puszczanymi niepoważnymi, lub zgoła podejrzanymi kanałami. Już w końcu 1937 r. zaczęły napływać przez drugorzędnych, często bardzo podejrzanych dziennikarzy, przez drobnych, często bardzo niepoważnych urzędników służby zagranicznej, wreszcie przez agentów podejrzanych o kontakt z Abwehrą lub Gestapo, informacje o mającym nastąpić ataku Hitlera na Czechosłowację a później na Polskę. Pamiętam trzy takie raporty: jeden pewnej dzierlatki z arystokracji, której mi z tego ni z owego «zwierzał się» jakiś «dyplomata niemiecki» z agresywnych planów Hitlera, drugi — pewnego znanego ze swej niewydajności informacyjnej konsula, którego również ni z tego ni z owego «pewien wysoki dostojnik partyjny ostrzegał» przed przygotowywanym uderzeniem na Polskę i trzeci — raport notorycznego agenta niemieckiego, który zupełnie dokładnie określił na parę miesięcy naprzód datę wkroczenia Niemców do Czechosłowacji.

Żadna z tych informacji, podanych takimi drogami, *mimo, że okazywały się one w świetle rozwoju wypadków prawdziwymi, nie mogła oczywiście być przyjęta do wiadomości.* Wywiad niemiecki wiedząc o tym łansował je m. in. po to, by, w wypadku gdyby wywiad nasz innymi «czystymi» drogami doszedł do po-

dobnych informacji, miał je w podejrzeniu i również nie przyjmował do wiadomości.

Wywiad sowiecki mając za sobą doskonałą, kilkunastowieczną tradycję rosyjskiego wywiadu i dywersji, skwapliwie korzysta z doświadczeń niemieckich, niezbyt imponujących w zakresie wywiadu zaczepnego, ale za to niepospolitych jeżeli chodzi o inspirację i dywersję. *Metoda puszczenia poważnych informacji niepoważnymi drogami zaczyna być obecnie przez Moskwę szeroko stosowana.* Fabrykanci informacji nadają się do tego celu idealnie.

Nie trzeba posiadać dużej fantazji by wyobrazić sobie jaki chaos powstaje na skutek skrzyżowania i splatania się wszystkich tego rodzaju inicjatyw prywatnych, zbiorowych i «państwowych». Zgęszcza on jeszcze bardziej tę mgłę, która otacza Rosję Sowiecką i problemy sowieckie. *«Świat kapitalistyczny» ryzykuje, że ostateczną rozgrywkę z bolszewikami będzie prowadzić zupełnie na ślepo.*

Te wszystkie uwagi nasunęły mi się, gdy przeglądałem jeden z takich licznych apokryfów książkowych, które znalazły się ostatnio na rynku księgarskim w Paryżu. Paryż był zresztą zawsze bardzo ceniony przez gangsterów dezinformacji i inspiracji i nie ma bodaj większego apokryfu politycznego który by ominął Paryż, albo w Paryżu nie dostał legitymacji i prawa obywatelstwa. W konkretnym wypadku mam na myśli książkę «pułkownika sowieckiego Cyryla Kalinowa» pt. *«Les maréchaux soviétiques vous parlent»*¹⁾. Książka cieszy się dużym powodzeniem, a urywki jej były drukowane w najpoważniejszym piśmie francuskim. Powiedzmy prosto z mostu: nigdy nie było żadnego pułkownika Kalinowa, nigdy żaden z uciekinierów sowieckich wojskowych nie miał możliwości zetknięcia się aż z 18 marszałkami sowieckimi. Wszystkie rozmowy z tymi marszałkami są dość niezręcznym, bo niekiedy wręcz bezradnym i niechlujnym wymysłem przedsiębiorczego fantasty, który ze skrawków sowieckiej informacji prasowej zesztukował z największym lekceważeniem i pogardą dla czytelnika sylwetki 18 dowódców sowieckich. Polacy znajdują tam nie byle jakie bzdury dotyczące poszukiwania przez marszałka Żukowa archiwów marszałka Rydza Śmigłego, znajdują moc nieprawdziwych wiadomości o Rokossowskim i wiele innych równie wymyślonych historyjek o przebiegu kampanii niemiecko-sowieckiej na ziemiach polskich. Ale książka ma powodzenie. Nie tylko jako brukowa literatura, ale nawet jako literatura «informacyjna» wśród polityków i wojskowych szkół państw zachodnich a kto wie czy nie stanie się ona podręcznikiem kształtującym strategiczną myśl młodzieży na Zachodzie. «Gang» dezinformatorski w sprawach sowieckich jest potężny.

1) Cyrille Kalinov: *Les Maréchaux soviétiques vous parlent...*; Librairie Stock — Paris, 1950.

Opowiadano mi jako fakt najautentyczniejszy, że przedsiębiorczy «impressario», lansujący przez siebie samego sporządzone dzieło «pułk. Kalinowa» sprowadził do pewnej redakcji wielkiego pisma w Paryżu... samego Kalinowa. Znakomity «nie-wozwraszczeniec» wystąpił w czarnej cyrkowej masce i — jak przystało na człowieka, który dopiero co «wybrał wolność» — mówił tylko po rosyjsku. Tłumaczem był oczywiście sam nieoceniony a pomysłowy impressario, który opuszczając redakcję wygłosił niepozbanioną racji a zrodzoną w Odesie sentencję: «durnie istnieją po to, aby ludzie mądrzy mieli z nich stały, a znaczny dochód». Faktem jest, że ustosunkowany a wszędobylski przyjaciel osiemnastu marszałków sowieckich stał się specjalistą od spraw Korei. Pewne wielkie paryskie pismo popołudniowe zamówiło u niego cykl artykułów o wojnie w Korei, bo *okazało się*, że dzielny pułkownik był «świadkiem», ba! nawet «sam brat udział» w przygotowaniach agresji sowieckiej na Koreę. Kalinow uchodzi dzisiaj za największy autorytet w tej sprawie i w jednym z najpoważniejszych francuskich tygodników politycznych czytamy w artykule pt. «Un tournant dans la guerre de Corée?» takie zwroty: «D'après le colonel Kalinov...», «Kalinov estime...» etc.

Jak widzimy — «świat jest rządzony coraz mniejszą ilością mądrości». Pomędzy «Testamentem Piotra Wielkiego» a «Kalinowem» w czarnej masce — dystans istotnie olbrzymi.

(World copyright by „Kultura” and R. Wraga).

R. WRAGA.

„POLSKA WIERNA”

jest najstarszym i najpoczytniejszym
tygodnikiem społeczno-religijnym
Polaków na Obczyźnie

Cena pojedynczego egzemplarza 15 Frs.

Prenumerata kwartalna 180 Frs.

Zamawiać: 263-bis, rue St-Honoré — PARIS 1^{re}

C.C.P. 4955-03

List z wyspy

(Od londyńskiego korespondenta „Kultury”)

1.

Iluzje odgrywają zdumiewającą rolę w polityce i stanowią składową część każdej sytuacji politycznej. Nielitościwa dla iluzji bywa dopiero historia. O tak zwanych „nagich faktach” może mówić historyk — polityk tylko wyjątkowo.

Po klęsce wrześniowej zarówno Polacy jak i obcy, przez długi okres czasu dawali wyraz zdziwieniu, że opór Polski trwał tak krótko. Innymi słowy przeceniano powszechnie nasze siły i pozycję. W latach poprzedzających dojście Hitlera do władzy — gdy Niemcy były nie uzbrojone a Rosja nie dozbrojona — byliśmy istotnie poważną siłą w tej części Europy. W roku 1939 Niemcy były największą potęgą militarną świata a Rosja wydawnie dozbrojona. Jednak sąd o nas na Zachodzie datował się jeszcze ciągle z lat 30-tych mimo, że w roku 1939 sąd ten był polityczną iluzją. Albowiem pozycję danego państwa oceniać można jedynie w ramach aktualnej „równowagi sił”. Mimo naszych wysiłków spadliśmy gwałtownie w tabeli, a pozycja nasza mierzona potencjałem Niemiec z r. 1939 była wielokrotnie słabsza od pozycji Polski w latach 30-tych. Lecz większość nas samych i większość polityków na Zachodzie wymierzała naszą pozycję nie dostrzegając iluzoryczności tych sądów.

Obecna sytuacja światowa w znacznie większym stopniu naderłowana jest iluzjami niż sytuacja, która poprzedziła drugą wojnę światową. Wojna na Korei podzielała jak błyskawica i rozdarła na chwilę chmury „wishful-thinking”, odsłaniając rąbek tzw. „nagich faktów”. W Izbie Gmin, w czasie kilkunastu debaty nad sprawą obrony — ujawniono zdumiewające cyfry. Churchill twierdził, że w razie inwazji Unia Zachodnia dysponowałaby w chwili obecnej 12 dywizjami przeciwko 80 sowieckim. Zacytowano również oceny rzeczoznawców amerykańskich z których wynika, że Sowiety mają 40 tysięcy czołgów tzn. siedem razy tyle co Amerykanie. Minister Shinwell ujawnił, że Rosjanie posiadają 175 dywizji (2.800.000 żołnierzy) i że cyfra ta w każdej chwili może być zdwojona.

Charakterystyczne jest jednak, że ani Churchill ani Shinwell ani żaden z amerykańskich rzeczoznawców nie sięgnęli do zapisków i wspomnień z ostatnich kilku lat. Historia ostatniego dziesięciolecia jest pod tym względem bardzo pouczająca i dostarcza wymownych ilustracji suchym cyfrom, którymi rozrzućnie szafowali mówcy w czasie omawianej dyskusji.

Przypomnijmy sobie lipiec i sierpień zaledwie sprzed siedmiu laty. W lecie 1943 roku Hitler strzegł wybrzeży Atlantyku 59

dywizjami. Natomiast 260 najlepszych niemieckich dywizji walczyło i cofało się na froncie wschodnim. 260 dywizji, to znaczy armia dwa razy większa od tej, jaką pobiła Rosję w pierwszej wojnie światowej. Tegoż lata Rosjanie odbili dwie trzecie zajętego przez Niemcy terytorium.

Tak to wyglądało przed kilkoma laty. Dziś Stalin miałby przeciwko sobie nie 260 dywizji, lecz 12 z czego tylko dwie pancerne. Dopiero na tle tych — jakże niedalekich wspomnień — cyfry, które padły w Izbie Gmin nabierają realnej wymowy.

2.

Słuchając Ilji Ehrenburga na Trafalgar Square wymyślającego na Amerykanów, wyśmiewającego Anglików, którzy idą „na pasku” nowojorskich imperialistów — trudno było nie wspomnieć powiedzenia Clemenceau, że „demokracja jest rzeczą potworną...” Istotnie potworną, choć „jedynie możliwą”.

Sabotaż w Portsmouth wstrząsnął opinią Anglii. Sprawcy — jeżeli zostaną ujęci — będą surowo ukarani. Lecz przecież porównać nawet nie można rozmiarów zniszczeń w Portsmouth z sabotażem organizowanym przez p. Ehrenburga i jego „pokojową kampanię”.

Poseł Labour Party, R. H. S. Crossman — poruszył w Izbie Gmin rozmowę jaką przeprowadził z Ilją Ehrenburgiem. Zacytował słowa pisarza sowieckiego, które ten, będąc gościem w Londynie, miał czelność wypowiedzieć. Mówiąc o ewentualnej wojnie Ehrenburg oświadczył dosłownie: „Zarówno Anglicy jak i Francuzi są tak moralnie jak i materialnie nie zdolni do jakiegokolwiek wojny; jedyną różnicę stanowi fakt, że Francuzi zdają sobie z tego sprawę a Anglicy nie”.

Ilja Ehrenburg czuł się dotknięty niedyskrecją posła Crossmana i korzystając z faktu, że w danej chwili przebywał w dogmatycznie demokratycznej Anglii napisał sążnisty i napuszony list do redaktora „The Manchester Guardian”. Liberalny dziennik angielski list sowieckiego pisarza wydrukował. Wydrukował również list spieszącego z pomocą Ehrenburgowi — tłumacza, który usiłował zatuszować całą sprawę.

BBC nadało przemówienie mec. Stypułkowskiego o politycznych procesach w Sowietach. Przemówienie oparte na własnych doświadczeniach mówcy było niezmiernie rzeczowe i może aż suche w swym obiektywizmie. W tydzień później toż samo BBC nadało słuchowisko — dyskusję D. N. Pritta — również na temat procesów politycznych w Sowietach w oświetleniu rzeczownika polityki komunistycznej.

Przykładów tego rodzaju można by mnożyć dziesiątkami. W sytuacji w jakiej znajdujemy się obecnie dogmatyczne przestrzeganie zasady „bezstronności” jest ideowym izolacjonizmem. Do czego zmierza taka bezstronna postawa jak BBC? Przecież BBC nie zamierza zachować przysłowiowej „splendid isolation” w walce, której wynik zadecyduje o losach Anglii.

Bezstronność w takim wypadku jest równoznaczna z brakiem własnego zdania. Bezstronność, wreszcie, nie może być fundamentem żadnej polityki, bo każda polityka jest stronnica.

Pan Ehrenburg przemawia swobodnie na Trafalgar Sq., p. Pritt przez mikrofony BBC, „Czerwony” Dziekan Canterbury jeździ do Pragi po natchnienie a dostojnik kościoła Metodystów oświadcza publicznie, że jeżeli mamy wybierać pomiędzy wojną a komunizmem wybierzemy komunizm, p. Albert Timothy, przywódca komunistycznych, antyzwiązkowych strajków w dokach londyńskich wyjeżdża na urlop do Warszawy, komuniści chwają się, że mają 2.000 członków partyjnych wśród naukowców i przygotowują wielkie uroczystości w związku z 30-to leciem istnienia Brytyjskiej Partii Komunistycznej. Bezkarnie działają przeróżne Ligi Pokoju, Towarzystwa przyjaźni Sowiecko-angielskiej, Angielsko-„polskiej” itd. i wszystko to dzieje się w chwili, gdy żołnierze angielscy walczą przeciw komunistom na Malajach, a marynarze angielscy walczą przeciw komunizmowi na Korei.

Wydaje się, że coś tu nie gra. Dlaczego komunistę na Malajach należy zwalczać, a komunistę na Trafalgar Square podejmować bankietem?

3.

Demokracje niezmiernie wolno reagują na bodźce polityczne. Mobilizacja opinii demokratycznej jest trudną operacją i w ustroju takim jak brytyjski nie ma instytucji, która za mobilizację opinii byłaby odpowiedzialna.

Onegdaj premier Attlee wygłosił przez radio przemówienie do narodu brytyjskiego. Premier należy do polityków, którzy wąż każde słowo, a krasomówcza maestria Churchilla jest mu całkowicie obca. Słowa Attlee należy brać po prostu dosłownie.

W pewnym momencie, gdy premier mówił, a BBC wstrzymało na ten czas wszystkie inne audycje — głos jego zawibrował mocniej i padły słowa: „Pożar, który objął daleką Koreę — może spalić wasz dom...”

Grozą czarnych ruin Coventry powiało od tych słów.

I cóż — w dwa dni później parlament angielski rozjechał się na dwu i pół miesięczne „wczasy” jakby na świecie panował idylliczny spokój. Przemówienie premiera zapomniane po 24 godzinach utonęło w powodzi opisów z plaż, miejscowości uzdrowiskowych, w kolumnach sportu. Demokracje muszą mieć codziennie świeżego „best-seller’a”.

Mój znajomy, który bez winy i wbrew swej woli spędził pięć lat w Rosji opowiadał mi, że w czasie jednego z licznych nocnych przesłuchań w śledztwie oświadczył sędziemu: „Jestem apolityczny, polityką nie interesuje się, jestem technikiem i na tym koniec”.

Sędzia sowiecki uśmiechnął się i odpowiedział: „Apolityczność jest również postawą polityczną, bo w stosunku do polityki nie można nie mieć postawy”.

Sędzia miał całkowitą rację. Apolityczność jest również podstawą polityczną — niebezpieczną i zgubną. Apolityczność sprowadza się bowiem do dwóch elementów: ignorancji i braku własnych przekonań.

W państwach totalnych propaganda zastępuje zarówno wiedzę jak i osobiste przekonania. W ustroju demokratycznym z apolitycznością mas walczyć można tylko wiedzą i upowszechnianiem rzetelnych informacji.

Wielka Brytania długo znajdowała się w wygodnej izolacjonistycznej pozycji i Anglicy przywykli mniemać, że dzięki swej wyjątkowej sytuacji nie muszą angażować swej opinii w sporach międzynarodowych. Empiryczna umysliwość Brytyjczyka wzdraga się przyznać jednej stronie całkowitą rację, drugiej zaś przypisać całkowitą winę. Mimo, że warunki uległy zmianie Anglicy psychicznie pozostali "izolacjonistami". Skłonni są sądzić, że ten wielki "zatar" ich nie dotyczy. Poczucie odrębności kulturalnej i narodowej jest czymś zupełnie innym w Anglii niż w jakimkolwiek kraju kontynentalnej Europy. Analizując wyniki obrad w Strassburgu niezależny "The Observer" tłumaczy genezę różnic w poglądach. Dla Brytyjczyków ich narodowość suwerenna jest synonimem lepszego domu. Brytyjczycy z tego błogosławieństwa korzystali nieprzerwanie przez stulecia. Ostatnie 150 lat przyniosły Niemcom, Francuzom, Włochom — rewolucje, wojny, podboje i okupacje. Ostatnia wojna w Anglii wzmogła wśród mas brytyjskich zaufanie we własne siły. Przeciwnie na kontynencie. Ostatnia wojna załamała wśród Francuzów, Niemców czy Włochów zaufanie we własne siły. "Na dnie swych dusz" — cytuję dosłownie — "(narody kontynentu) czują, że zaufania we własne siły nigdy już nie zdobędą jako Francuzi, Niemcy czy Włosi — lecz jedynie jako Europejczycy. Podczas gdy my (Brytyjczycy) pragniemy zachować naszą narodową tożsamość oni tęsknią do zrzucenia własnej i zyskania nowej — potężniejszej".

W konkluzji "The Observer" proponuje, aby Anglicy pogodzili się z tymi faktami i pozwolili sfederalizować się narodom kontynentu bez Anglii. Z tą nową Federacją Europejską Anglia współpracowałaby w ramach wspólnoty Atlantyckiej.

Tak oto są to wszystko sprawy "innych" a nie wspólne, nas wszystkich. Komunizm jest zjawiskiem nowym i bez precedensu w dziejach. Niezmiennie wolno w masach brytyjskich kształtuje się przekonanie, że ta sprawa nie jest tylko zagadnieniem "innych narodów", ale sprawą nas wszystkich w Anglii włącznie. Lecz jeszcze ciągle pełne pokrycie w opinii publicznej znajdują artykuły "dogmatyki demokratycznej" sankcjonujące nie tylko wolność przekonań, lecz również wolność nie posiadania w ogóle żadnych przekonań. Ciągłe ceni się wysoko "bezstronność", jakimś przykładem jest BBC — tak jakby spór między pp. Stypulkowskim i Prittem był interesującą kontrowersją polityczno-historyczną — nie mającą nic wspólnego z owym pożarem o którym mówił premier Attlee.

4.

Amerykanie walczą przeciw komunistom na Korei, Anglicy walczą przeciw komunistom na Malajach, Francuzi walczą przeciw komunistom w Indochinach. Dlaczego do tej pory te trzy państwa związane sojuszem i dziesiątkami umów i deklaracji — nie stworzyły wspólnego frontu przeciw komunistom, pod wspólnym sojuszniczym dowództwem jak w czasie drugiej wojny światowej?

W tych dniach minęło pięć lat od chwili, gdy padła pierwsza bomba atomowa. Przez tych pięć lat politycy sowieccy zdolali umiejętną propagandą ustabilizować w opinii większości krajów demokratycznych "kompleks atomowy". Sparaliżowanie broni atomowej przez propagandę sowiecką przejdzie do historii jako przykład świetnego sukcesu politycznego i strategicznego osiągniętego akcją "wojny psychologicznej".

Elastyczna i pomysłowa polityka sowiecka narzuciła Stanom Zjednoczonym i Zachodowi typ wojny "dwu-piętrowej". Na szczęblu "A" mamy tzw. "zimną wojnę" z Koreą, Malajami, sabotażami w portach itd. Na szczęblu "B" Rosja występuje jako członek ONZ, jako współ-okupacyjna potęga Niemiec, jako państwo nie "interweniujące" ani w Chinach, ani na Korei, ani w ogóle nigdzie — miłujące pokój i gardzące bombą atomową. Na szczęblu "A" jest wojna, lecz na szczęblu "B" — mamy oficjalny pokój. Wojna światowa Nr 3 jest zagadnieniem szczębla "B".

Tego rodzaju "dwu-piętrowa" polityka zmusza Stany Zjednoczone i ich sojuszników do kosztownego i chaotycznego dublowania planów strategicznych, dyplomatycznych i finansowych. Bo przecież innych planów i przygotowań wymaga prawdziwa trzecia wojna światowa, a innych przygotowań i strategii nie kończąca się "zimna wojna".

Gdy na szczęblu "zimnej wojny" wybuchł "lokalny" konflikt na Korei — okazało się, że wprowadzić Amerykanie wydali dotąd ok. 50 miliardów dolarów na zbrojenia ale mają efektywnie do natychmiastowej akcji... 12 dywizji. Nie oznacza to bynajmniej, że 50 miliardów dolarów zmarnowano. Użyto je jednak na przygotowania do ewentualnej trzeciej wojny światowej (zagadnienie szczębla "B"), a jak wiadomo przygotowania te są długofalowe i nie wyszły poza stadium laboratoryjne.

Tymczasem na Korei (szczębel "A") pewne formacje amerykańskie poniosły dotkliwe straty, bo złe funkcjonowały telefony a zardzewiałe kable rwały się jak nitki... Telefony polowe wyciągnięto ze składów, gdzie odpoczywały rdzewiejąc obficie od dnia zakończenia drugiej wojny światowej.

Okazuje się zatem, że sowiecka polityka "dwu-piętrowa" wymaga równoczesnego przygotowania ewentualnej trzeciej wojny światowej i stałej gotowości do energicznego działania na szczęblu "zimnej wojny", która przycicha w jednym punkcie, by wybuchnąć w drugim.

Tęgo rodzaju strategia przynosi Sowietom olbrzymie korzyści. Gra na tych dwóch klawiszach pozwala im przede wszystkim nie dopuścić do pełnej mobilizacji opinii w krajach Zachodu i w St. Zjednoczonych. Tylko zagrożenie na szczeblu "B" tj. groźba bezpośredniego światowego konfliktu zmobilizowałaby w pełni 150 milionów Amerykanów i 70 milionów obywateli brytyjskiego Commonwealth. Tylko wówczas wyjętoby spod prawa komunistów. W Anglii powstałby rząd koalicyjny i wszystko podporządkowano by jednemu celowi — tj. zwycięstwu.

Akcja prowadzona na szczeblu "A" tj. "zimnej wojny" nie mobilizuje w pełni opinii, nie przykuwa kapryśnej uwagi prasy krajów demokratycznych, pozwala wierzyć, że przecież mamy pokój.

Polityka sowiecka grając na tych dwóch fortepianach bacznie obserwuje reakcje na Zachodzie. Gdy fala antykomunistycznych nastrojów wzrasta pojawia się natychmiast monachijski gołąbek pokoju. Stalin proponuje zawsze Monachium "na raty" — łatwiejsze do przełknięcia. Zaprosić Koreańczyków, zaprosić reprezentantów komunistycznych Chin do Lake Success i spokój spłynie na umęczoną ludzkość a "zimna wojna" okaże się wymysłem reakcyjnych dziennikarzy.

5.

Obserwując z Londynu scenę polityki światowej widzi się, że w chwili obecnej istnieją dwa systemy polityki zagranicznej. Mam na myśli politykę rosyjską i brytyjską.

Socjaliści angielscy są wierni tradycyjnej od setek lat niezmiennej brytyjskiej doktrynie polityki zagranicznej. Komuniści rosyjscy ze Stalinem na czele są realizatorami tradycyjnej, imperialistycznej polityki rosyjskiej. To są dwa konsekwentne i na tradycji oparte systemy. Wszystko inne jest chaotyczną improwizacją.

Anglia jak zawsze tak i dziś odnosi się niechętnie do idei jednolitego bloku na kontynencie, jak dawniej tak i dziś zmierza do odbudowy (w skali światowej) "balance of power" i popiera St. Zjednoczone jako przeciwważnik Sowietów. Stara się jednak zachować maksimum niezależności. Jak dawniej tak i dziś Anglia daleka jest od ducha krucjat ideologicznych. Mimo wielkich zmian uważa się nadal za potęgę morską a flota brytyjska w sojuszu z amerykańską dosłownie niż dawniej króluje na morzach gdy znikły z mapy floty niemiecka, japońska i włoska.

Lecz porównując te dwa tradycyjne systemy polityki zagranicznej — rosyjski i angielski — trzeba powiedzieć, że komunizm jest tą dynamiczną siłą, która pozwala Stalinowi realizować cele imperialnej polityki rosyjskiej w sposób nowy i rewolucyjny. Anglia nie dysponuje rewolucją na eksport. Rząd brytyjski swą tradycyjną politykę zagraniczną realizować mu-

si również i tradycyjnymi środkami. Innymi słowy, światowa rewolucja komunistyczna jest potężnym i jakże wszechstronnym instrumentem w rękach kontynuatorów imperialistycznej polityki rosyjskiej. Anglia nie ma do dyspozycji równie potężnego instrumentu. Nie posiadają go również St. Zjednoczone.

Jest rzeczą zdumiewającą, że polityka brytyjska wzdraga się wyciągnąć wnioski z tego stanu rzeczy. Tu nie chodzi o akademickie nawoływania o "ideę, którą Zachód przeciwstawiłby komunizmowi" lecz o wnioski całkowicie praktyczne.

Ponieważ istnieje prawdopodobieństwo, że Rosja posiada bombę atomową rząd angielski wydał popularną instrukcję, która informuje jak należy chronić się przed tym groźnym niebezpieczeństwem. Wydanie takiej instrukcji świadczy, że rząd angielski przygotowuje obronę przeciw ewentualnemu rosyjskiemu atakowi atomowemu.

Światowy komunizm w rękach Stalina jest groźniejszym instrumentem agresji niż bomba atomowa. Wszystko co Rosja do tej pory zdobyła, zawdzięcza nie bombie atomowej, lecz komunizmowi.

Wydać się zatem logiczne, że jak istnieje obrona p-lot., czy p-atom., powinna istnieć również obrona p-komunistyczna. Obrona taka nie mająca nic wspólnego z ideologiczną krucjatą winna zmierzać najkrótszą drogą i najprostszymi środkami do eliminacji niebezpieczeństwa. Taka akcja wymagałaby odpowiednich ustaw i rozporządzeń oraz konsekwentnego ich przeprowadzenia. Zachód nie ma czasu na "renesans ideologiczny" ani na "ducha krucjaty" i w obecnej chwili komunizm winien być oceniany i zwalczany na drodze zdecydowanych taktycznych pociągnięć, dyktowanych wyłącznie logiką obrony.

Był czas w historii strategii, że rzymski system obrony (piechota) przeżył się, a kawaleria na dwanaście czy trzynaście wieków stała się siłą decydującą. Po tych kawaleryjskich stulcach pod koniec pierwszej wojny światowej pojawił się czołg. Pancerne armie niemieckie zaorały grób ułańskiej legendy. Niemal równocześnie z czołgiem pojawiła się broń "ideologiczna", a po niej broń atomowa.

System obrony Zachodu i St. Zjednoczonych nie będzie strategicznie ani pewny ani nowoczesny jak długo stać będzie otworem dla komunizmu. Trzeba raz zdjąć komunizm z piedestału trybun dyskusyjnych i potraktować go jako broń przeciw której musi być zorganizowana skuteczna obrona.

Inicjatywa w tym względzie winna wyjść od wojskowych a nie od intelektualistów. Doprawdy trudno pojąć jak szefowie sztabów przygotowujący plany obrony mogą nie brać pod uwagę strategicznego znaczenia tego problemu. Jak biorąc odpowiedzialność za bezpieczeństwo, mogą godzić się na żywienie i tuczenie "trojańskich koni" w obrębie ich własnych twierdz. Troja upadła z powodu jednego "trojańskiego konia". Czy strażnicy Zachodu sądzą, że można bronić tajni "trojańskich koni"?

Juliusz MIEROSZEWSKI.

Sprawy i troski

«Syberia obozowa» w Anglii

Złe losy zmusiły mnie do zamieszkania w jednym z obozów polskich w Południowej Anglii — dając mi przy tym sposobność zapoznania się z bliską z trybem życia i warunkami bytu bodaj dotąd większości naszych rodaków, którzy znaleźli tu na razie przytułek. Oczywiście moje wrażenia mogą być częściowo błędne: w całej Anglii jest pono około 600 polskich hosteli; z tego zaledwie około 50 — to hostele rodzinne, kierowane przez National Assistance Board, czyli, jakby się u nas mówiło, przez Ministerstwo Opieki Społecznej. Istnieją poza tym hostele rolnicze, przemysłowe, dla inwalidów, dla starców, dla sierot, dla obłąkanych, istnieją hostele National Hostel Corporation, istnieją hostele dla samotnych kawalerów i hostele dla samotnych kobiet; istnieją hostele, które mają parę tysięcy mieszkańców i takie, gdzie mieszka zaledwie parędziesiąt osób. Warunki są niejednakowe — i tak np. hostele National Hostel Corporation (dla samotnych kawalerów) zażywają dobrej sławy jeżeli chodzi o wikt, natomiast rzekomo panują tam większe obostrzenia jeśli chodzi o utrzymywanie kontaktów z pięcią odmienną, przyjmowanie wizyt etc. Ale z grubsza to co powiem o hostelach rodzinnych można zastosować do całości polskiego życia obozowego.

Niewątpliwie najbardziej upośledzeni są polscy ex-D.P.'si, którzy nie dostali się do obozów czysto polskich, ale pozostają zmieszani z ex-towarzyszami z Niemiec, głównie Bałtami, Ukraińcami, i rzadziej Jugosłowianami. Możemy snuć plany o Międzymorzu, możemy wyznawać najbardziej ambitne programy federacyjne, możemy (i prawie wszyscy to robimy) psy wieszać na Anglikach za ich rasizm, wyspiarskość i niechęć do foreignerów, ale w praktyce nasze współżycie z innymi ludami układa się fatalnie: zatargi, nawet bójkki są nieustanne, narzekania i skargi ciągle; i Anglicy już po paru tygodniach doszli do wniosku że ażeby z Polakami mieć spokój trzeba starannie ich wyizolować i pozwolić im żyć ściśle na kupie, wśród samych swoich. Natomiast różnice dzielnicowe bardzo się zatargiły: wszystkie prawie dzieci mówią lwowskim akcentem, bo Małopolan jest

najwięcej; zabawne nawet jak dumne ze swego pochodzenia małe szkraby wileńskie i nowogródzkie mówią autentycznym ta-jojem, który by nikomu na Łyczakowie nie nasunął najmniejszych podejrzeń. Mniej liczni pomorzanie, poznaniacy, ślązacy a nawet i królewiaczy poddali się dyktaturze nadpełtwiańskiej; jedni tylko autochtoni warszawscy, zresztą znikoma mniejszość, sarkają na tę koalicję wszystkich prowincji przeciw stolicy, wysmiewają ich akcenty, maniery staromodne, "kuźdego jednego", i wszystkich razem. Ale stolica została strątowana nie tylko w Polsce: tutaj też uboga prowincja bierze swój rewanż za 20 lat puszenia się i wzgardy.

Obozy rodzinne mają z reguły około 500 mieszkańców; większe — po tysiąc i więcej — należą do rzadkości. Wszystkie są pobudowane na terenie dawnych obozów wojskowych — często po-szpitalnych, rzadziej na opuszczonych lotniskach. Te drugie, większe, są mniej wygodne, bo rozrzucone na przestrzeni wielu mil, nieraz rowerem trzeba dojeżdżać by zjeść obiad lub odwiedzić sąsiadów. I obozy po-lotnicze są dalej od miast, na równinie, w okolicach płaskich, bezdrzewnych, smutnych. Natomiast po-szpitalne nieraz znajdują się w parku ongiś znacznego pałacu: ziemiaństwo angielskie — a raczej plutokracja, która wykupiła dawne siedziby "squire'ów" lub pobudowała sobie za Wiktorii i Edwarda ogromne, pretensjonalne i niewygodne rezydencje letnie i weekendowe — leży zupełnie: co tydzień magnackie siedziby przechodzą na National Trust, jeśli mają charakter zabytkowy, na rząd czy instytucje rozmaite, jeśli wartości artystycznej nie posiadają. Strzyżone dawnej starannie gazony pokrywają baraki, a stuletnie wiały, kasztany i lipy bezlitośnie wycinają gdy tylko zda się komuś, że rozłożysty konar grozi zerwaniem i spadkiem na którąś z beczek. W akcji niszczenia starej, zielonej, cienistej Anglii i my Polacy dorzucamy naszą małą cegiełkę.

Te obozy są pomnikiem geniuszu angielskiego do wynajdywania rzeczy prostych, praktycznych i tanich. Owe beczki są jajkiem Kolumba, budowa ich trwa parę dni, koszt wynosi mniej niż 5% kosztów budowy domu, a ostatecznie mieszkać można, i to względnie wygodnie. Chodniki łączą poszczególne domostwa, oddzielne baraki są przeznaczone na ubikacje, łaźnie, szpitalik, administrację, szkołę, kaplicę, świetlicę, kantinę i teatr, kuchnie i sale jadalne. Na czele takiego osiedla stoi angielski kierownik zwany warden'em, zwykle przedmiot zacieklej niechęci wszystkich rezydentów (jak się zwą oficjalnie mieszkańcy hostelu). Wardeni rekrutują się z trzech sfer: z emerytowanych średnich rangą wojskowych (majorów, pułkowników) i ci zwykle z Polakami mają najlepsze stosunki, z emerytowanych urzędników służby kolonialnej czy zwłaszcza indyjskiej, którzy na skutek zmian politycznych utracili posady, wreszcie — i ta kategoria jest najmniej sympatyczna — z zasłużonych dla Labour Party mniejszych agitatorów i działaczy so-

cialistycznych, dla których £ 800.— rocznie wardenowskiej pensji stanowi łakomy i sowity panis bene merentium.

Ale aczkolwiek wardeni są na ogół sprężyści, zawsze uczciwi i nieźli administratorzy (analogiczna administracja polska byłaby dwukrotnie liczniejsza, kosztowniejsza i bardziej bałaganiarska) odznaczają się oni narodowymi cechami angielskimi, tzn. głęboką obojętnością dla obcych narodów, kultur, sposobów myślenia: stąd brak intryg, brak faworytyzmu, ale i całkowita obcość; po trzech latach w polskim hostelu angielski urzędnik tyle wie o Polsce i Polakach co o patagończykach czy ludach Afganistanu. Anglików łatwo szanować, trudno ich lubić, niepodobna ich kochać.

W barakach mieszkają rezydenci. Dzielą się zasadniczo na dwie kategorie: pracujących, i tzw. pocket-moneyowców, tzn. bezrobotnych, z reguły starców wzgl. chorych, którzy nie uiszczają opłat hostelowych i dostają 6 sh. tygodniowo "pocket money" na drobne wydatki. Angielskie renty starce wynoszą funta tygodniowo, ale jeśli uwzględnić że nasi pocket-moneyowcy mają bezpłatne mieszkanie, utrzymanie, światło i opał, los ich jest nie gorszy a lepszy od Anglików tej samej kategorii. Z reguły ci pocket-moneyowcy mają zatrudnionych krewnych, najczęściej dorosłe dzieci — toteż na los się nie skarżą, i rzecz ciekawa, można wśród nich znaleźć więcej prenumeratorów pism polskich niż w innych warstwach.

Zatrudnieni są właściwie wszyscy zdolni do pracy, z wyjątkiem — i to dość rzadkim — matek małych dzieci. Przeciętna zarobków dla mężczyzn wynosi netto około 5 £ tygodniowo, dla kobiet nieco mniej. Przy tzw. overtimie (godzinach nadliczbowych) pracownik może dojechać do 6 czy nawet 7 funtów tygodniowo. Ale amatorów na overtime nie ma wielu. I bez niego małżeństwo dociąga wcale łatwo do £ 10,— tygodniowo, za utrzymanie płaci £ 2. 10— (mąż trzydziści, żona 21 szylingów), a za każde dziecko po 7 sh. tygodniowo. Tak więc młoda, zdrowa para ma łatwo około £ 7,— tygodniowo na wydatki extra. Z pewnością część trzeba przeznaczyć na dożywianie, bo na polskie apetyty kuchnia hostelowa jest i monotonna i raczej cienka, ale i tak sporo zostaje na odzież, kino, papierosy, zabawy, radio, trochę mebli, jakieś drobne oszczędności. A przy tym leczenie jest zupełnie darmowe: na miejscu są polski lekarz, cały sztab pielęgniarek, szpitalik, ambulatorium, penicylinę przy każdej okazji walą milionami jednostek, a gdy tylko coś bardziej serio, wysyłają ambulansami do najdroższych szpitali. W obozie, w którym rezydowałem było w ciągu 2 lat ostatnich 40 połów, wszystkie w lecznicach, i tylko 2 wypadki śmierci: zdrowotność więc wygląda wspaniale. Nasuwa to zresztą i pewne problemy, bo nasz prosty lud kresowy mentalnie jest nieprzygotowany do życia po sześćdziesiątce, nie wie ani co ma z tymi extra-latami zrobić, ani ochoty do życia, a tymczasem, o ile atomówka ich nie wytrzebi, wszyscy muszą się przygotować do osiągnięcia

dziewięćdziesiątki czy nawet setki. Jeśli chodzi o nasze starsze pokolenie w Anglii, to prawie całe wymarłoby już dawno nie tylko w Polsce dzisiejszej, ale i przedwrześniowej — z niedojadania, z braku zwłaszcza opieki lekarskiej. Polacy tutaj w pełni korzystają z angielskiego procesu przedłużania życia ludzkiego do granic, które na dłuższą metę muszą stać się bardzo poważnym i ciężkim problemem społecznym: bo jak utrzymać kraj, w którym już dzisiaj 20%, a niebawem 30% ludności będzie po sześćdziesiątce, tego jeszcze nikt nie przemyślał i nie obmyślił.

Poza opieką lekarską Polacy w hostelach korzystają jeszcze z jednego dobrodziejstwa angielskiego, też wypływającego z ogólnej polityki socjalnej i gospodarczej obecnego rządu brytyjskiego, a mianowicie z niezwykle rozwiniętej opieki nad dzieckiem i ułatwień dla kształcenia młodzieży. W każdym prawie hostelu jest żłobek dla dzieci od 6 miesięcy do 2 lat, co pozwala młodym matkom, które sobie tego życzą, prowadzić czynną pracę zarobkową; dla dzieci od 2 do 5 lat istnieją przedszkola obozowe, doskonałe, fachowo prowadzone; szkoły elementarne polskie, znowuż na miejscu, dla dzieci od 5 do 11 lat, a dla starszych istnieją gimnazja polskie, nie licząc bardzo licznych stypendiów do szkół internatowych, prawie wyłącznie katolickich, zakonnych, nie wyłączając najdroższych i najszykowniejszych, jak Benedyktynów (dla chłopców), Sacré Cœur (dla dziewcząt) etc. O ile przedszkola, żłobki i polskie szkoły elementarne uważam za wzorowe bez zastrzeżeń, o tyle wychowywanie polskiej dziatwy w snobistycznych zakładach angielskich nasuwa mi szereg wątpliwości. Szkoły te w zasadzie przeznaczone dla dzieci bogatych rodziców, przygotowujące nie do walki o byt ale do życia gentlemana, już nawet dla Anglików wydają się nieco przestarzałe, a dla wielu Polaków mogą się okazać poważnym obciążeniem. Wyrabiają przyzwyczajenia, światopogląd, maniery, które mogą być zawadą na twardej drodze która te dzieci przeważnie czeka. W wielu wypadkach wytworza przepaść między rodzicami, zacnymi małomieszczanami z Oszmiany czy Tłumacza a paniczekowatymi synkami a zwłaszcza panienkowatymi córkami. Ale jest jeszcze zawsze nie by wydawać o tym definitywne sądy. Jedno jest pewne: nigdzie w Polsce nie widziało się dzieci równie tłustych, rumianych, zdrowych, wyciągniętych, dobrze ubranych, grzecznych, czystych i uprzejmych. Czy będą inteligentne — nie wiem. Ale fizycznie rasę bardzo poprawią. Podniosą też standard manier i wychowania. I choć wszystkie starsze mówią dobrze po angielsku, polska dziatwa hostelowa mówi — w przeciwieństwie do londyńskiej — płynnie po polsku, choć z akcentem który mnie nieraz razi, i z gwarowym zacięciem dzieci, które rzadko lub nigdy nie słyszą polskiego poprawnego, literackiego języka, a skądinąd są oderwane od soków żywotnych polskiej gleby. Mówią językiem jakiegoś lwowskiego Wiecha, ale ta mowa nie rośnie, nie rozwija się, nie wzbogaca się — już traci myśzką, już jest uboga, wyblakła, jakby zmięta i zwiędła.

Ale największym dobrodziejstwem, które Anglicy wyświadczyli naszej emigracji — to wykorzenienie pijaństwa. Dopiero patrząc na hostele rozumie się że najpilniejszą reformą społeczną w Polsce — i przed wojną i dzisiaj — było i jest co najmniej pięciokrotne podniesienie ceny wódki. Względny dobrobyt naszego robotnika emigracyjnego — to w lwiej części rezultat prohibicyjnej ceny na whisky, gin, brandy i inne napoje wysokokowe, i taniość stosunkowa innych uciech, towarów i rozrywek. Butelka whisky kosztuje 32 sh., a i to nie można jej dostać, przeważnie trzeba wybulić 45 sh. albo i więcej. A kino kosztuje szylinga, czy dwa, parę butów czy nylonów można dostać już za funta. Największe moczygęby rezygnują z wódki i z żoną pod ramię chodzą raz czy dwa razy na tydzień do sąsiedniego kina. Jedyne napój dostępny — to piwo, ale rodacy za nim nie przepadają, ot, czasem zajrzą do pub'u, wychylą kufelek i uciekają, bo ani trunek, ani atmosfera im nie odpowiadają. By się upić choćby samemu, coś dopiero w kompanii, trzeba wybulić co najmniej funta a mocniejsza głowa potrzebuje ze dwa. Więc dali spokój. Nawet na święta obeszło się tylko lekkim rauszem.

Zdrowy, energiczny robotnik polski, oczywiście nie na Kresach, lecz na Śląsku czy w Warszawie, mógłby może zarobić tyleż co tutaj. Mógłby w Polsce odżywiać się lepiej. Ale jeśli chodzi o opiekę lekarską i wychowanie dzieci nie mógłby marzyć o standardzie tutejszym, który musiałby mu się wydawać niepojętym luksusem. A faktyczna prohibicja pozwala tutejszemu robotnikowi ubierać się bez porównania lepiej, niż jego koledze w przedwojennej Polsce, tym bardziej jego żonie czy córce. Spotyka się stare baby "chustkowe", co to widocznie po raz pierwszy w życiu buty noszą, ale co niezbyt odbiegają od bab wiejskich, jakie się widywało w Polsce. Ale na niedzielnym nabożeństwie w obozowej kaplicy parafianie nie przypominają Woli czy Targówka, lecz raczej publiczność jeśli nie Zbawiciela to powiedzmy Wszystkich Świętych na Grzybowie. Publika zdecydowanie mieszczańska, nie robotnicza. Nylony, pantofelki, permanenty, róże, kremy i czerwone kredki do ust, panowie w garniturach, krawatach, wyglansowanych bucikach, swetrach, płaszczach, kapeluszach. Wszystko wygolone, czyste, nieraz wypomadowane. A dzieci wszystkie jak ta lala.

To samo na obozowych zabawach. Byłem na kilku, bo rezydenci — skapi na ogół — nie żałują co tydzień na orkiestrę (często żydowską) co w hali hostelu przygrywa co sobota od 9 do północy za £ 10.— każdorazowo. To wieczorki burżuazyjne, bez wielkiego szwungu (bo bez alkoholu Polak jest smutny i raczej ponury), ale przyzwoite, na poziomie znacznie wytworniejszym niż imieniny pana starosty czy święto pułkowe. Ani głośnych rozmów, ani kłótni, ani awantur. Żadnych też po kątach uścisków i wycisków. I w ogóle, przy prohibicji, legendarny temperament polski jakoś osłabł czy nawet znikł. Ze-

wnętrznie, Polacy hostelowi, pracujący wśród Anglików, zangielszczeli znacznie bardziej niż np. nasi zawodowi politycy, przesiadujący w polskich lokalach w Londynie.

Mówił mi kiedyś jeden z naszych najbardziej doświadczonych i wytrawnych dyplomatów: "Polacy mają pewną witalność, zaradność, mais ils ne poussent pas loin". W obozach słowa te stałe przychodziły mi na pamięć. Tamtejsi ludzie zarabiają; to prawda. Pracują dobrze — prawda. Oszczędzają — sumy skromne, ale poza ubraniem i dziećmi, każdy niemal dochrapał się pięknego radia, roweru, trochę mebli, każdy ma sto czy paręset funtów odłożonych na czarną godzinę, a raczej na kupienie domku na raty na przedmieściu sąsiedniego miasta lub miasteczka, przedmiotu marzeń każdego obozowicza. To prawda też, że ludność obozów jest uczciwa, że beczek się nie zamyka, że długów nikt nie zaciąga, a jeśli zaciągnie to spłaca natychmiast co do grosza (w przeciwieństwie do polskich businessmenów w Londynie), to prawda wreszcie, że jeśli chodzi o cnoty rodzinne, o zgodność pożycia małżeńskiego, o przywiązanie do dzieci i dbałość o nie, o pęd do zawierania małżeństw, — to Polacy biją Anglików o paręset długości. I tak np. polscy chłopcy jednomyślnie twierdzą, że na uwodzenie Polek szkoda czasu, bo nic z tego nie wychodzi, kontentują się wyłącznie materiałem tubylczym. I chociaż z reguły pierwsze dziecko po ślubie jest "przedwczesne" (ale ma normalną wagę), to jednak jest kanonem że jeśli dziewczyna zaszła w ciążę, to winowajca musi ją poprowadzić do ołtarza. Niedawno "Dziennik Polski" otrzymał list: "My, mieszkańcy hostelu X publicznie piętnujemy N. N., który odmawia ożenienia się z N. N., chociaż powszechnie wiadomo, że z jego powodu jest w odmiennym stanie". Dziwna jest ta przepaść pomiędzy kodeksem seksualnym naszej inteligencji, rekordowo rozwiniętym i rozwodowym, a poglądami mas.

Ale te wszystkie zalety nie mogą przesłaniać faktu, że wśród naszego ludu obozowego jest mało inicjatywy, mało rzutkości, mało ambicji, i mało szans na wybiecie się i zdobycie lepszej pozycji, socjalnego awansu. Prawda, niwelacyjna atmosfera w Anglii temu nie sprzyja. Prawdą jest że niesłuchanie rozbudowane ustawodawstwo socjalne z jednej strony, a niesłuchanie wysokie podatki z drugiej, zabijają inicjatywę i ambicję także wśród Anglików, bo dorobić się poważniej uczciwą pracą, bez kruczków podatkowych, bez zatajania dochodów itd. jest niepodobieństwem. Ale fakt pozostaje faktem: Polacy się nie wybijają, nie mają żadnej żyłki do businessu, żadnej przedsiębiorczości, kontentują się minimum. Własny domek na przedmieściu — oto kres kariery i szczyt marzeń. Może jeszcze motocykl. Toteż Polacy są słabi i bezbronnii na wypadek jakichś kataklizmów gospodarczych. Po angielsku mówią tak mało, że ani swych praw bronić porządnie nie mogą ani zabrać się do handlu, ani wejść w życie kraju. Do związków zawodowych nie należą, są rozproszkowanymi po całym kraju, większych skupisk

nie wytworzyli, a Anglicy bardzo sprytnie skierowali ich prze-
ważnie do przemysłów i zajęć nie-kluczowych: mało ich jest
w ciężkim przemyśle, w transporcie, we wszystkich punktach
newralgicznych życia gospodarczego, są rozrzućeni w przemy-
śle budowlanym, w fabrykach lodów, guzików, wstążek etc., w
hotelarstwie, w pielęgniarstwie, w służbie domowej itd. Jeżeli
Anglię nawiedzi znowu fala bezrobocia, to Polacy nie obronią
swych pozycji, pójdą na pierwszy ogień, a ich zasoby na długo
nie starczą. I nie widzę by Polacy byli na tę ewentualność, na
szczęście na razie nieaktualną, psychicznie czy materialnie przy-
gotowani.

Apatia, senna jest główną cechą polskiego życia obozowego.
Może to jest reakcja po tylu latach życia w tłumie: w wojsku,
w łagrach, kacetach etc. Obozy w Anglii dają rezydentowi jakiś
jednak dom, kąt własny, gdzie za przepierzeniem może czuć się
na własnych śmieciach. I z tej iluzji ludność obozów skwapli-
wie korzysta. Towarzyscy Polacy stali się zaciekłymi domatora-
mi. Nie widzi się ich nigdy w kantynie, świetlice stoją pustkami,
wizyt sobie nawzajem nigdy nie składają. "Ja go (jej) nie
znam" — oto odpowiedź, które się ciągle słyszy, gdy się przy-
bysz rozpytuje o różne osoby. To "nie znam" nie ma odcienia
niechęci, urazy czy małego snobizmu, tradycyjnych polskich
przywar; jest obojętnym stwierdzeniem faktu. Ludzie nie chcą
się widywać. Nie chcą jeść na wspólnej sali, i przeważnie jadło
wynoszą w blaszankach do beczek. Ci co mają drobne dzieci są
nimi całkowicie pochłonięci, przesadnie nawet, bo działwa roz-
puszczona od kołyski, bezlitośnie wyzyskuje swą sytuację jako
ośrodek zainteresowania. Samotni godzinami słuchają radia,
prawie wyłącznie polskich programów i muzycznych, przy czym
francuskie mają bezkonkurencyjnie największą wziętość. Życie
obozowe, społeczne, tak dobrze jak nie istnieje. Angielskiego (a
nauka jest darmowa) nie chce się uczyć nikt. Na odczyty, etc.,
przychodzi najwyżej 20 osób. Nie wiele więcej zagląda do bi-
bliotek obozowych, których dobór jest zresztą przypadkowy i
niski. Z pism czytanych jest tylko "Dziennik Polski", trochę
"Gazeta Niedzielną" dzięki propagandzie księży; czytelników
"Kultury", "Wiadomości", "Lwowa i Wilna" można na palcach
policzyć. Rozmowy toczą się tylko dookoła spraw szarych, co-
dziennych. Więcej ludzi zbiera się tylko na sobotnich tańców-
kach i na niedzielnych nabożeństwach. Dominantą jest brak za-
interesowań, znużenie, bierność. Jest duża i powszechna nie-
chęć do Anglików, wywołana przede wszystkim absolutnym brakiem
kontaktów. Politycznie alians polsko-angielski zbankrutował
w Jałcie; a jeśli chodzi o stosunki między obu narodami
— w obozach. Dużo więcej było anglofilów w Warszawie, niż w
polskich hostelach. I to pomimo dobrych warunków pracy, wy-
sokich płac, opieki lekarskiej. Polaka łatwiej kupić dobrym sło-
wem i uśmiechem niż zimnie wymierzoną sprawiedliwością spo-
łeczną. Z sympatyj do obcych narodów i krajów najżywsze są do

Włoch — wspomnienia szczęśliwych lat w II Korpusie. Poza tym
istnieje powszechne przekonanie że warto emigrować za morze.
Gdyby wstęp do Ameryki był otwarty, 80% Polaków w Anglii
wyjechałoby tam w ciągu roku. Bo też dopiero rozmawiając z
ludem rozumie się rozmiary emigracji zamorskiej przed tamtą
wojną. Każdy ex-proletariusz ma tam bez końca wujków i cio-
tek, podczas gdy inteligent z reguły wdycha: w Ameryce nie
mam nikogo.

W obozach też stwierdzić można siłę naszych atawizmów. Je-
dną z rzadkich pasji obozowiczów — to hodowanie kur. Wypada
ich prawie 10 na każdego rezydenta, niektórzy mają ich po 30
i więcej. Trzymają je nie na handel, lecz dla osobistej kon-
sumpcji, jajka na codzienny podkurek, kurczęta i koguty na
niedzielne uczyty. Niestety Anglicy trzymać świń nie pozwalają
(i to jest śmiertelna pretensja). Gdyby były jeszcze świny, obo-
zy wnet by wyglądały jak nasze Wólki, tylko z kanalizacją i
zelektryfikowane.

W obozach dawny podział klasowy zatarł się, ale nie znikł.
Inteligencja i ex-proletariusze współżyją, ale się nie złąli. Nie
ma zawiści ani niechęci do dawnych "sfer wyższych", ale też
nie ma ani respektu ani większego zaufania. Polak jest w duszy
egalitarystą. W szczególności trudno mówić o jakimś przy-
wiązaniu czy specjalnym szacunku do byłych oficerów. Rangi
wojskowe zostały zapomniane. Raczej czym kto był przed wojną
gra rolę, i ludek woli hrabiego niż byłego ministra.

Politycznie ludność obozów można by określić jako endecko-
socjalistycznych biernych niepodległościowców. Niepodległoś-
ciowcami w zasadzie są wszyscy, nienawidzą do Rosji, w mniej-
szym stopniu do Niemców jest wyznaniem wiary wszystkich,
credo w którym dzieci są najsurowiej wychowywane. Miko-
łajczykowców prawie nie ma, a już "Warszawy" nikt w ogóle
nie strawia. Ale nastroje te są bierne, nie znajdują żadnego
aktywnego ujścia. Kłótnie londyńskie skłoniły ludzi do wyco-
fania się z życia politycznego. Rozgrywką między Radą Na-
rodową a Radą Polityczną ludność obozów nawet się nie przy-
gląda, i po prostu ignoruje; nazwiska protagonistów są nieznane,
z jednym wyjątkiem gen. Andersa, który zachował mir jako
Mojżesz co wyprowadził ex-lagierników z sowieckiej niewoli. Na
tym koniec. O rządzie nie mówi nikt, nikt się o niego nie dopy-
tuje. Akcja na rzecz Skarbu Narodowego nie przybrała szerokich
rozmiarów, nie ma agitacji ani za, ani przeciw, ale w wielu
obozach szylingów nie wysyła nikt. Obozowicze są endekami,
bo są zajadłymi nacjonalistami — nienawidzą nie tylko Mo-
skali i Niemców, ale i Ukraińców, i Białorusinów, i Anglików, a
do reszty globu odnoszą się zimno i niechętnie. Ale i są i socja-
listami, bo instynktownie wierzą że Labour Party broni ich in-
teresów klasowych jako robotników. Nastroje prosocjalistyczne
hamuje niechęć do angielskich Trade-Unionów, które Polaków
nie przyjmują i ich najczęściej szykanują. Gdyby jednak Labour

Party zdecydowała się uznać P.P.S. za swą "polską sekcję", — gdyby członkostwo tej sekcji pociągnęło realne korzyści przy otrzymywaniu pracy, mieszkań miejskich etc., na miejscu, nie w Londynie, to natychmiast połowa Polaków by się do niej wpisała. To nie znaczy by Arciszewski czy Ciołkosz mieli specjalny mir czy popularność; nie mają, ale dla względów zarobkowych Polacy zrobią dzisiaj wiele.

Polacy stale i zawsze mają skłonność do narzekania. Gdy rodziny żołnierzy Andersa przebywały w Indiach i w Afryce, do Londynu stale dochodziły nas słuchy, że żyją tam w warunkach potwornych. Dzisiaj obozowicze wspominają lata pobytu w Ugandzie, w Libanie czy w okolicach Bombay'u z rozczuleniem: nawet kobry, które wkładały się do ich szafasów nabrały sentymentalnego powabu. Podobnie, sędzę, w przyszłości będą wspominać obozy w Anglii omal z tęsknotą: że się siedziało wśród swoich, że dla dzieci warunki wiejskie były lepsze od miejskich domków, że można było trzymać własne kury, że był lekarz polski na miejscu, i ksiądz, i "oświatowy", i że w ogóle było się młodszym i szczęśliwszym. Ale jeden po drugim obozy są likwidowane i za rok—dwa pozostanie ich już tylko kilka, dla starców, chorych, inwalidów, sierot, niedołączonych i półobłąkanych. Obozy powstały tylko z powodu głodu mieszkaniowego w Anglii. W miarę postępów odbudowy — a domów mieszkalnych przybywa tutaj 200 tysięcy rocznie — ludność polską będą przenosić do osad angielskich. W miarę znoszenia racjonowania żywności, likwiduje się kuchnie obozowe, ludność pitrasi dla siebie. A zniesienie wspólnych kuchni i stołówek — to likwidacja ogromnego personelu obozowego i całej machiny administracyjnej. Zniesienie obozów przyspieszy proces asymilacji; Anglicy dobrze o tem wiedzą i choćby już z tego powodu akcję tę przeforsują szybciej, niż to obozowicze przypuszczają.

Tym niemniej obozy te już w dużej mierze spełniły swoje zadania, i to lepiej niż można było się spodziewać. Polak czy Polka, nawet nie mówiący wcale po angielsku (a tych jest olbrzymia większość) łatwiej sobie da radę po 4 latach życia w obozie niż nazajutrz po wylądowaniu w Dover. Będzie bardziej zaklimatyzowany. Całe towarzystwo będzie zdrowe, krzepkie, nerwowo bardzo wypoczęte. Ludzie, którzy 6 czy 7 lat obijali się w wojsku czy w obozach, przyzwyczaili się z powrotem do pracy, do zarobkowania, do warunków życia cywilnego, do dbałości o jutro i przede wszystkim do życia rodzinnego. Pod tym względem przede wszystkim bilans jest jaskrawo dodatni.

Natomiast drugim zasadniczym wnioskiem, który wyciągnąłem z mych obozowych doświadczeń jest, że w najmniejszym stopniu nie można liczyć, by masa Polonii w Anglii mogła uratować polską kulturę lub stanowić podstawę dla polskiej akcji politycznej. Cała kultura tej masy jest na zbyt niskim, czysto tradycyjnym poziomie by mogła być przekazana następnemu pokoleniu, już urodzonemu na wygnaniu. Dzieci polskie są prze-

ważnie powojenne, jest więc jeszcze czas by odpowiednie środki obmyśleć. Ale jeśli sprawy pójdą dalej obecnym torem, doczekamy się dokładnie tej samej ewolucji, którą przeszła Polonia amerykańska. Będziemy mieli Anglików polskiego pochodzenia. Polonia w Anglii wychowa dzieci — ale o ile nie będzie angielskich stypendiów żadne z nich nigdy nie dojdzie do uniwersytetu, — uciula trochę grosza, kupi trochę domków, gdzie niegdzie samochód, utrzyma "Dziennik Polski", jedną czy drugą polską restaurację, może (choć to bardzo wątpliwe) parę polskich kościołów czy kaplic w większych miastach, ale na tym koniec. Nie utrzyma ani polskiej inteligencji, ani polskiej książki, ani polskiej literatury, ani porządnego polskiego teatru, ani poważnych polskich organizacji, a już w żadnym wypadku polskiej działalności politycznej. Jest na to i za błędna, i za mało wyrobiona, np. do polskiej książki czy polskiej prasy nie odczuwa żadnej tęsknoty. Nie może też być mowy o tym, by wywarła jakikolwiek wpływ na nastroje otaczającej ją angielskiej masy. Nie będzie dla nas jej sympatii. Nie wyda, jak sędzę, wielu wybitniejszych jednostek. Nawet jako potencjalny rekrut, wartość jej będzie maleć. Wszak dzisiaj już najmłodsi ex-żołnierze mają koło 30-stki, większość ex-oficerów zbliża się do pięćdziesiątki. Polonii tutejszej grozi na dłuższą metę rozplynięcie się wśród tubylców. Bez śladu.

Zaradzić temu będzie niestychanie trudno, ale na pewno nie da się rozwiązać tego problemu na platformie rozgrywek wewnętrzno-politycznych czy między-partyjnych. Te mogą tylko pogłębić zniechęcenia, przyspieszyć proces likwidacji polskości.

Nie wydaje mi się by emigracja w Anglii mogła odegrać jakąkolwiek poważniejszą polityczną rolę. W związku z tym wierzę jeszcze mocniej niż przed rokiem, że tkwienie całego naszego sztabu politycznego w Londynie jest opłakanym i niezrozumiałym błędem. Całe to towarzystwo, a w ślad za nim i cała nasza elita kulturalna, powinna się jak najprędzej przenieść do Stanów: tam jeszcze jest ostatnia karta do wygrania. Przyjaźni polsko-angielskiej, choćby tylko w rozmiarach przyjaźni polsko-francuskiej, nie będzie, wzbogacenia polskiej kultury przez pożyczki z Anglii (jak dawniej z Francji) nie będzie, a żaden rząd angielski nie zrobi nic poważniejszego ani dla Polski, ani dla Polaków. Ongi namiętny anglofil, dzisiaj uważam, że nie możemy się tutaj niczego spodziewać i że dalsze nasze pozostawanie na tych wyspach nie ma politycznego uzasadnienia, ani też nam nie wroży żadnej przyszłości.

W. A. ZBYSZEWSKI.

Sprawy krajowe

Frontem do Niemiec

Niemcy są zbyt ważnym partnerem dla bolszewików, by Moskwa pozwoliła swym satelitom, a zwłaszcza Polakom na najmniejszą samodzielność w stosunkach z nimi. Problem niemiecki jest dla polityki sowieckiej jednym z najtrudniejszych zagadnień. Posiada on kilka aspektów państwowych i rewolucyjnych, w zasadzie ze sobą sprzecznych. Załatwianie jednych powoduje zaognianie drugich. Niemcy, tak jak i Rosjanie, mają w sobie podobne ambicje totalistyczno-państwowe, podobne tendencje imperialistyczne, ale również i podobne namiętności rewolucyjne. Ze wszystkich narodów świata Niemcy zawsze były uważane przez Rosjan za najgroźniejszą konkurencję nacjonalistyczno-państwową, a przez bolszewików za najgroźniejszą konkurencję rewolucyjną. Dzieje Rosji i Niemiec są ze sobą tragicznie splecione i niedarmo Michelet nazywał ten związek "mariage fatale". Bolszewicy wykazują w swej polityce w sprawach niemieckich dziedziczne obciążenie polityki rosyjskiej emocjami i kompleksami niebywalej siły, niekiedy wręcz nieobliczalnymi. Ideałem Rosji jest wchłonięcie w siebie i całkowite rozpuszczenie w swym organizmie całych Niemiec. Ideałem Niemiec jest podbój i całkowite zniszczenie Rosji. Dążenia do tych ideałów determinują najbardziej spolaryzowane emocje wzajemne Rosjan i Niemców: germanofilizm i rusofilizm, germanofobię i rusofobię. Wszelkie kalkulacje polityczne Polaków na oparciu się o jedną stronę przeciwko drugiej są dziecinne i naiwne. Żadna strona nie znieśie bariery pomiędzy sobą i swym "wielkim sąsiadem", bo za sąsiadów bezpośrednich uważały się zawsze Rosja i Niemcy, pomimo istnienia Rzeczypospolitej, Królestwa Polskiego, Polski, czy "bariery bałtycko-czarnomorskiej".

W sytuacji obecnej Rosja sowiecka nie widzi już też bariery. Polska w jej formach dzisiejszych nie liczy się. Jest już ona politycznie integralną częścią Związku Sowieckiego a coraz bardziej forsowany proces sowietyzacyjny sprawi że wkrótce stanie

się ona tą częścią składową i pod każdym innym względem. W chwili obecnej polityka sowiecka w stosunku do Niemiec jest polityką stopniowego wciągania całego narodu niemieckiego w orbitę interesów sowieckich, nastawiania go przeciwko demokracjom zachodnim. Niemcy Wschodnie są tylko elementem tej akcji. Polityka sowiecka w stosunku do Niemiec jest nacechowana największą "serdecznością i czułością". Ta czułość i serdeczność w stosunku do Niemiec obowiązuje również i wszystkie elementy składowe sowieckiego potencjału. Przede wszystkim — Polskę.

Reżim staje się wobec tego konsekwentnie coraz bardziej proniemiecki. Obraz zniszczeń wojennych stanowi już tylko element dekoracyjny do plakatów propagandowych, głoszących *pax sovietica*. Reżim twierdzi, że wojnę wywołali imperialiści zachodnio-europejscy. Odpowiedzialność narodu niemieckiego jest zżecznie ukrywana i uzależniona od problemu klasowego, przynależności partyjnej i podziałów okupacyjnych. Linia tej odpowiedzialności pokrywa się dosłownie z granicą, oddzielającą Niemcy Zachodnie od Wschodnich. Zbrodniarzy wojennych należy szukać na Zachodzie. W Niemczech Wschodnich mieszkają sami przyjaciele narodu polskiego i pokoju.

W stosunkach reżimu z Niemcami należy rozróżnić trzy kolejne okresy. W pierwszym, zaraz po zakończeniu działań wojennych, dominuje iluzja. Polakom wydaje się, że polityka z Niemcami układać się będzie tak jak tego wymagają interesy państwa polskiego. Sprawa przyłączenia do polskiego obszaru Ziemi Zachodnich staje się przedmiotem powszechnego uznania przez wszystkich ludzi w Polsce. Powrót tych ziem do Polski daje pozory sprawiedliwości historycznej, ma być nagrodą za poniesione straty. Ten pierwszy okres — to okres chaosu, ale i okres porządkowania, zaprowadzenia ładu, zagospodarowywania Ziemi Odzyskanych.

Iluzja samodzielnej polityki z Niemcami trwa do czasu utworzenia Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Zasady sowieckiej (a więc i polskiej!) polityki w stosunku do Niemiec określa sam Stalin w liście do prezydenta tej republiki Wilhelma Piecka. Stalin w tym liście tak pisze między innymi: "Doświadczenie ostatniej wojny wykazuje, że największe ofiary w tej wojnie poniosły naród niemiecki i naród radziecki, że te dwa narody rozporządzają największymi możliwościami w Europie dla przeprowadzenia wielkich akcji."

Mniej więcej w miesiąc po liście Stalina odzywa się Bierut. Na III plenum Komitetu Centralnego partii Bierut działa już według nowych instrukcji. Mówi o przełomie w stosunkach między Polską a Niemcami i nawołuje do przełamywania w masach wszelkiego rodzaju oporu przeciwko przyjaźni z Niemcami. Problem niemiecki postawiony został przez Bieruta jako jedno z czołowych zagadnień programowych.

Rozpoczyna się okres wielkiego ożywienia propagandowego. Propaganda głosi konieczność zbliżenia mas robotniczych Nie-

miec i Polski. Argumentacja jest w tej całej kampanii naiwna i nieszczerza, slogany niezręczne. W pamięci polskiego robotnika i polskiego chłopca nie łatwo jest przekreślić pięć lat koszmaru wojny i okupacji. Pochodzenie klasowe okupantów nie może stanowić o przebaczeniu i zapomnieniu.

W tym okresie kampanii na rzecz zbliżenia z "dobrymi" Niemcami z Niemieckiej Republiki Demokratycznej reżim usiłował stworzyć coś w rodzaju klapy bezpieczeństwa, gdzieby znaleźć mógł upust gniewu mas polskich w stosunku do Niemców. Miał to być jednocześnie fałszywy manewr, który by odwrócił uwagę od istotnych machinacji reżimowych. W tym celu zorganizowano kampanię oszczerstw przeciwko pewnym ośrodkom emigracyjnym, w szczególności przeciwko generałowi Andersowi, oskarżając go o przygotowywanie jakiejś tajemniczej armii niemieckiej. Rzecz była zrobiona zbyt po prostaku, aby ktokolwiek mógł w to uwierzyć.

W tym drugim etapie stosunków reżimu z Niemcami nie ograniczono się tylko do propagandy. Utworzone zostały pewne formy dla dalszej współpracy, nawiązane zostały stosunki dyplomatyczne, podpisana została umowa handlowa. Powstało nawet Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Niemieckiej, zmienione potem na "Towarzystwo dla spraw pokoju i dobrego sąsiedztwa z Niemcami".

Okres trzeci rozpoczyna się manifestacjami ku czci Juliana Marchlewskiego. Marchlewski został potraktowany jako coś w rodzaju patrona tej przyjaźni reżimowo-niemieckiej. Marchlewski miał zresztą wszystkie warunki ku temu. Był pochodzenia polskiego, był członkiem Politbiura KPP i jednocześnie działał na terenie Niemiec, gdzie został nawet pochowany. Sprowadzenie jego zwłok z Berlina do Warszawy stało się okazją do nowych wizyt, nowych przemówień i nowych świadczeń. Zagadnienie niemieckie zyskało w tym czasie nowe akcenty. Była już mowa o konieczności jednolitego działania mas sowieckich, polskich i niemieckich.

Rozpoczyna się w tym okresie realizacja wspólnych planów. Taki charakter miała między innymi konferencja radiofonii Niemiec Wschodnich. W obradach uczestniczyła delegacja reżimowego Polskiego Radia. Chodziło niewątpliwie o ustalenie wspólnych zasad propagandy w stosunku do Niemiec Zachodnich i o całokształt współpracy. W dalszej konsekwencji bowiem, w okresie kiedy ten wspólny politycznie i szarmonizowany gospodarczo obszar sowiecko-polsko-niemiecki będzie dostatecznie skonsolidowany, rozpocznie się etap następny — ofensywa propagandowa na Niemcy Zachodnie.

W początkach czerwca bawiła w Warszawie delegacja rządu Niemieckiej Republiki Demokratycznej. W wyniku przeprowadzonych rozmów, reżim podpisał z niemiecką delegacją umowę, dotyczącą wzajemnego obrotu towarowego i płatniczego na rok 1950. Umowa ta zapewnia wzajemny wzrost obrotów o przeszło 60 procent. Reżim zobowiązał się poza tym do podwyższenia

kredytów dla Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Uzgodnione zostały wzajemne plany gospodarcze. Obie strony postanowiły ponadto zrewidować we wrześniu dotychczasowe umowy w kierunku rozszerzenia ich na układy długofalowe. Niezależnie od układów o charakterze gospodarczo-finansowym podpisany został protokół o współpracy kulturalnej, wprowadzający ułatwienia na polu badań i prac naukowych, jak również w zakresie wymiany wartościowych dzieł naukowych, literackich, muzycznych, filmowych i radiowych. Podpisany został również układ o współpracy naukowej i technicznej.

W czasie tej samej wizyty delegacji niemieckiej w Polsce została podpisana i ogłoszona deklaracja, ustalająca granicę na Odrze i Nysie Łużyckiej, jako ostateczną granicę między Polską a Niemcami. Frazeologia traktatów jest wszędzie i zawsze jednakowa.

Przyjaźń polsko-sowiecka, jako skromny wycinek przyjaźni dwóch "wielkich narodów" sowieckiego i niemieckiego jest pieczołowicie hodowana i reklamowana na wszystkie łady i sposoby. W dniu przyjaźni polsko-niemieckiej, 22 lipca, wschodnio-niemieckie związki zawodowe wysłały do Polski tysiące pocztówek z napisem: "Die Friedensgrenze ist die Oder - Neisse. Viel Erfolg zum weiteren Aufbau. — 22. VII. 1950 — Tag der Befreiung". A ambasador Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Fryderyk Wolf, wręczył rządowi warszawskiemu upominek w postaci wazy porcelanowej z podobizną... Chopina. Jednocześnie na indeksie wschodnio-niemieckim znalazł się Ignacy Paderewski. 3 sierpnia prasa reżimowa na czołowych miejscach obwiesciła odznaczenie niemieckich specjalistów, którzy montowali maszynę rotacyjną w "Domu Słowa Polskiego" (!). Wreszcie w związku z szóstą rocznicą PKWN sejm uchwalił amnestię dla Volksdeutsche'ów i Reichsdeutsche'ów.

Lipcowy kongres Niemieckiej Zjednoczonej Partii Socjalistycznej był jeszcze jedną okazją dla okazania przez reżim warszawski jego przyjaznego ustosunkowania się do "narodu niemieckiego". Jeśli idzie o komunistów-Niemców, to ci nic, albo prawie nic, w sprawach polskich nie mieli do powiedzenia. Nic dziwnego! Nie widzą oni i nie mogą widzieć Polski. Widzą tylko jeden, niepodzielny Związek Sowiecki. Polska stała się w ich oczach już dawno nierozdzielalną częścią składową Związku. Mówienie specjalnie o polityce Niemiec komunistycznych w stosunku do Polski byłoby, z ich punktu widzenia, takim samym nonsensem jak mówienie o polityce niemieckiej w stosunku do Estonii czy nawet Tadżykistanu. Prasa Niemiec wschodnich notuje tylko i wyłącznie postępy procesu sowietyzacji i swoistej rusyfikacji Polski. I dla nich — dla tych Niemców-komunistów, bez względu na to czy utrzymują się na swych stanowiskach "namiestników", czy podziela los Gomółki, Lubczunki i Hołodieda, granica na Odrze i Nysie przestała być problemem. Nie dlatego, że stała się "definitywną" granicą pomiędzy Niemcami

a Polską, a dlatego, że jest koniunkturalną granicą Związku Sowieckiego.

Dopóki problem niemiecki nie jest jeszcze przez Moskwę "zatlawiony", dopóki całe i zjednoczone Niemcy nie stały się, tak jak dziś Polska, integralną częścią Związku Sowieckiego, dopóty Moskwa granic tych będzie broniła do upadłego. Polacy nic tu nie mają do powiedzenia. Ich entuzjazm do "Ziem Odzyskanych" służy jedynie jako przykrywką dla imperializmu sowieckiego. Natomiast gdy sprawa Niemiec wejdzie w fazę "organicznego wcielania", wówczas — jeżeli zajdzie tego potrzeba — dokona się, za zgodą Najwyższego Sowietu, poprawek granicznych, jak to miało w swoim czasie miejsce pomiędzy republikami Rosyjską a Białoruską, pomiędzy republikami środkowo-azjatyckimi.

Lecz granica na Odrze i Nyssie jest nadal osiłą problemu polsko-niemieckiego. Opinia polska jest w tej sprawie zdecydowanie jednolita. Plan Schumana został potraktowany przez reżim jako groźba odrodzenia się imperializmu niemieckiego.

Mimo to wielki rozmach w odbudowie Ziem Odzyskanych należy już do przeszłości. Życie zatrzymało się tam w połowie, i staje się coraz bardziej prowizoryczne i nacechowane tymczasowością. Odbudowa zniszczonych miast ogranicza się do Wrocławia i Szczecina. Reszta pozostawiona jest w zaniedbaniu. Leżą jeszcze niewykorzystane odłogi ziemi, której nikt nie uprawia. Jest to teren więcej eksploatacyjny niż inwestycyjny. Ten stan tymczasowości ma duży wpływ na psychikę tamtejszej ludności. Wiadomo, że ludzie ci przybyli z terenów wschodnich, zajętych przez Rosję. Przyszli w poczuciu niezasłużonej krzywdy, wyrwani z ojcowizny, oderwani od ziemi która była ziemią ich dzieciństwa. Ludzie ci coraz bardziej tracą wiarę w możliwość utrzymania tych ziem na zawsze. Niektórzy rolnicy rzucają swe gospodarstwa i uciekają do miast.

Tak mniej więcej przedstawia się problem niemiecki w kraju. Zdawałoby się, że skoro reżim w tej dziedzinie (jak zresztą i we wszystkich innych) niczego poza wykonywaniem nakazów stalinowskich nie reprezentuje, to przed emigracją polityczną otwiera się szerokie pole do popisu. Zdawałoby się, że będzie ona szukała naprawdę wartościowych i głębokich kontaktów ze społeczeństwem niemieckim, będzie próbowała wypracowywać jeżeli nie wspólne programy polityczne to przynajmniej wspólny język. Niestety, rząd i w tej sprawie zdaje znakomicie egzamin ze swej nieporadności. Próbowano jakichś tam kameralnych rozmówek z rządem Adenauera, nie rozumiejąc nawet, że właśnie ten rząd nie powinien być w żadnym wypadku uważany w sprawach polsko-niemieckich za rzecznika narodu niemieckiego

i że zadania jego i przeznaczenie są zgoła inne. Z właściwą Londynowi polskiemu lekkomyślnością do rozmów tych wzięto zresztą m. in. ludzi wręcz nieodpowiednich. Stronnictwa wchodzące w skład Rady Politycznej ze swej strony nie zdobyły się na nic lepszego. Właściwie nie zdobyły się na nic. Nawet P.P.S. nic nie zrobiła, by uchwycić kontakt z socjalistami niemieckimi. Również i ugrupowanie p. Mikołajczyka nie wyszło poza zdumiewającą deklarację, obwieszczoną w paryskim jego organie, stwierdzającą, że "tylko p. Mikołajczyk ma prawo do obrony granic zachodnich".

Stosunek emigracji politycznej do sprawy niemieckiej nacechowany jest jakąś niezrozumiałą wstydlivością, jeżeli nie zwyczajnym tchórzostwem. Odbywa się wszędzie pożałowania godna licytacja z hasłami warszawskimi już nie tylko w sprawach granic ale nawet w sprawie "przyjaźni" z Niemcami, zapominając że granice nie są treścią lecz funkcją stosunków międzynarodowych, a wszystkie hasła warszawskie nie są hasłami polskimi lecz moskiewskimi. Polskie ugrupowania emigracyjne tak zacietrzewiły się w nienawiści i walce ze sobą, że zupełnie zgubiły się w numeracji swych wrogów. Reżim warszawski jest dla sanatorów czymś równorzędnym Nid-owi czy Mikołajczykowcom, dla Mikołajczykowców czymś równym sanacji czy endecji, dla socjalistów — wszystkim, z kim w tej chwili "nie po drodze". Pomieszały się różnice programowe i taktyczne. Już nie wiadomo kto, o co, z kim i dlaczego walczy. A zagadnienia główne: walkę z bolszewizmem, uregulowanie stosunków z Niemcami, walkę z agentami — dawno w tym chaosie i jazgocie zgubiono.

Nie widać nawet usiłowań w kierunku studiowania problemu niemieckiego, ewidencjonowania zagadnień niemieckich. Prasa emigracyjna w tych sprawach jest przerażająco uboga. Rząd zaprzepaścił "Instytut do badania spraw międzynarodowych", który miał się również i tymi sprawami zajmować. Niezależny materialnie, dysponujący bogatą biblioteką, polski ośrodek badań w Londynie ("Polish Research Centre") nie zajmuje się zupełnie sprawami polsko-niemieckimi. Zresztą niewiadomo czym się zajmuje w ogóle. Nawet tak ruchliwa i już dobrze zasłużona instytucja jak londyńska "Szkoła nauk polityczno-społecznych" (której n. b. ani Rząd, ani stronnictwa, ani organizacje społecznie nie przyszły z najmniejszą pomocą) zaniedbała tematykę niemiecką. "Specjaliści" od spraw sowieckich mnożą się jak grzyby po deszczu, "specjalistów" od spraw krajowych — gdyby byli coś warte — starczyłoby na obsłużenie informacji i propagandy całego świata, ale na próżno chcielibyśmy mieć dobry artykuł o gospodarczej sytuacji Niemiec, a niemieckich ruchach społecznych, o istotnej wartości i znaczeniu niemieckiego komunizmu, o współczesnej literaturze niemieckiej. A odbije się to wszystko na przyszłym rozwoju spraw polskich, oczywiście, w sposób jak najfatalniejszy.

Walka z kosmopolityzmem

1.

Mniej więcej od dwóch lat propaganda reżimowa w Kraju postawiła sobie za cel zwalczanie tzw. kosmopolityzmu. Rozwinięcie programowe tej akcji, której genezy szukać należy w mówach kremlowskich, było zawarte w zasadniczym artykule Bieruta, w "Nowych Drogach" (Nr 2/14/1950) pt. "Zadania partii w walce o pokój". Artykuł określał zadania nauki, wysuwając na ich czoło walkę z kosmopolityzmem.

Zanim przejdziemy do analizy kosmopolityzmu w nowym ujęciu, winniśmy stwierdzić, że zagadnieniu temu poświęca się od 1949 r. w Związku Sowieckim wyjątkowo wiele uwagi. Na specjalnym posiedzeniu Instytutu Prawa Akademii Nauk ZSSR wysłuchano referatu Kazancewa pt. "Walka z burżuazyjnym kosmopolityzmem w radzieckiej nauce prawa", (ogłoszony w periodyku "Sowietskoje Gosudarstwo i Prawo" Nr 4/49, str. 10 i nast., — cytuję za pracowitym artykułem Kazimierza Biskupskiego pt. "Dyskusje metodologiczne radzieckich prawników", — Państwo i Prawo, Warszawa, Nr 3/1950, str. 71 i nast.).

Oto pokrótce wyłożone programowe zasady anty-kosmopolityzmu.

Kosmopolityzm, ten "wysoce szkodliwy przejaw nauki prawa", ma polegać m. in. na a) czapkowaniu i przesadnym szacunku dla nauki burżuazyjnej (głównie w pracach Karadze-Iskrowa), b) wychwalaniu burżuazyjnego sądownictwa i wymiaru sprawiedliwości (Strogowicz) w podręczniku teorii państwa i prawa oraz w pracach dotyczących procesu karnego, c) ignorowaniu radzieckiej literatury prawniczej (projekt podręcznika pod redakcją Arzanowa), d) próbie ignorowania względnie zmniejszania roli narodu rosyjskiego przy omawianiu zagadnień rosyjskiego państwa wielonarodowego (Strogowicz i Arzanow) wbrew rozwijanej stale stalinowskiej tezie o roli narodu rosyjskiego w walce o rozgromienie hitlerowskich Niemiec, e) fałszywym politycznie i błędnym naukowo określeniu pojęcia suwerenności (o tym szerzej będę mówić niżej).

Wezytując się w główne punkty anty-kosmopolitycznego programu, chciałoby się tam znaleźć jakąś głębszą myśl filozoficzną, mogącą naukowo podważyć elementy kosmopolityzmu, znajdujące się u wszystkich niemal filozofów świata, poczynając od Sokratesa, Cyserona, św. Augustyna, poprzez Pascala, Kartezjusza i Kanta do Bergsona i Croce. Niestety, nic z tego. Argumenty w tej walce zaliczane są zresztą przez samych autorów sowieckich czy polskich reżimowych, do metodologii, a w rzeczywistości zawdzięczają swe istnienie polityce i celom doraźnej propagandy.

Według Bieruta (w cytowanym wyżej artykule w "Nowych Drogach") — kosmopolityzm zachodni jest instrumentem ideologicznym imperializmu amerykańskiego, jest ideą rezygnacji z praw i potrzeb własnego narodu, jest ideą kapitulancja wobec imperializmu — tak jak rasizm był takim instrumentem agresji hitlerowskiej. Innymi słowy, kosmopolityzm ma służyć do ma-

skowania idei zaborów. "W dziedzinie kultury — pisze Bierut — kosmopolityzm wyraża się w niedocenywaniu narodowego dorobku kulturalnego, w wyrzekaniu się własnych postępowych tradycji, w czołobitności wobec schyłkowej kultury kapitalistycznej i wszelkich jej wynaturzeń, w pozbawionym często godności padaniu plackiem przed amerykańską sztuką, literaturą i nauką niezależnie od istotnych ich wartości. W Ameryce kosmopolityzm jest supernacjonalizmem, w krajach marshallowskich przybiera postać kapitulancja i zdrady narodowej. U nas walka z kosmopolityzmem, narodowym kapitulancstwem i nihilizmem narodowym, łączy się z walką z nacjonalizmem i szowinizmem, które dotychczas były główną postacią antyproletariackiej ideologii".

Jak to się stało, że w oczach komunistycznych, nacjonalistów i faszystów wszelkich krajów zbratani się z kosmopolitami wszelkich odcieni? (por. filipiki Werfla przeciw nacjonalizmowi i kosmopolityzmowi w "Nowych Drogach", Nr 3/15, str. 75). Wydaje się, że nie ma innego wytłumaczenia tego poglądu, jak to, że w świetle prasy reżimowej, dla walki z programem marksizmu i z demokracją ludową, zjednoczyć się miały wszystkie siły, które czynią to z nienawiści do Związku Sowieckiego, nawet bez jednoczesnego stworzenia wspólnego programu filozoficzno-ideologicznego. Zauważmy tutaj, że nie jest przekonywujące twierdzenie choćby takiego Werfla, jakoby u źródła obecnego ruchu kosmopolitycznego leżał nacjonalizm, w szczególności nacjonalizm partii prawicy socjal-demokratycznej.

Walka z zachodnim kosmopolityzmem ma na celu oderwanie się umysłowości "radzieckiej" od Zachodu, przestawienie jej na wpływy wschodnie, odwrócenie oczu społeczeństwa od Zachodu. Nie chodzi tu o przyczynek do zbudowania nowego światopoglądu filozoficznego, a jedynie o akcję propagandową.

Co ma stanowić antytezę kosmopolityzmu? Jest nią **proletariacki internacjonalizm i prawdziwy patriotyzm**.

Według Bieruta ("Nowe Drogi", loc. cit.) ideologia patriotyzmu ludowego i socjalistycznego, "opartego na proletariackim internacjonalizmie, prowadzi do maksymalnego rozwoju wszystkich twórczych sił narodu".

Oczywiście, tak modny teraz w Warszawie termin "prawdziwy patriotyzm", nic nam nie mówi, i jest typowym przykładem tego, co w dyskusjach komunistycznych nazywa się ideologicznym metniactwem.

Natomiast "proletariacki internacjonalizm" (którego program prosi się o szersze rozwinięcie, co jest niemożliwe w ramach tego artykułu), jest już bardziej strawny dla umysłów ściślejszych; kładzie on nacisk na zjednoczenie międzynarodowego proletariatu do walki przeciw kapitalizmowi.

Tak ujęty anty-kosmopolityzm atakuje wszelkie przejawy "ogólno-ludzkiej kultury, światowego państwa, ponadnarodowego rządu, obrony praw człowieka, światowego obywatelstwa, deaktualizacji pojęcia suwerenności itp." (Biskupski, str. 71), uważając wszystkie te hasła za część ideologii amerykańskiego imperializmu i kapitału. Specjalnie wroga jest postawa anty-kosmopolityzmu wobec idei rządu i obywatelstwa światowego, a surowej krytyce poddani są wszyscy autorzy piszący na Zachodzie w tych sprawach, jak Iver, H. Briggs, Eagleton, Norman Thomas, B. Perry, U. Campagnolo, Haeserts, F. de Vischer i

Larmeroux. Stąd również wywodzi się geneza b. ostrej nagonki na Kelsena (który "zasłużył" sobie zresztą na to za świeżą krytykę bolszewizmu) za jego krytyczne ustosunkowanie się do suwerenności narodów i propagowanie zasady suwerenności państwa światowego.

2.

Obrona suwerenności państw jest drugim obok zwalczania zachodniego kosmopolityzmu, głównym hasłem pseudonaukowej, programowej i przemyślanej propagandy. To są te reżimowe slogany, które wypracowane przez "mózgi", mają oświecić społeczeństwem. Podobnie, jak hasło "zaostrej się walki klasowej", szczególnie propagowane od pewnego czasu.

Sprawa suwerenności, którą zaczęto "przepracowywać" grubo wcześniej przed sprawą kosmopolityzmu, jest w ogóle wrażliwą i dość słabą stroną reżimu, a to ze względu na twierdzenia Zachodu, że kraje za żelazną kurtyną są jedynie marionetkami, a rządy satelickie ulegają całkowicie woli Kremla.

To jest ta wewnętrzna strona problemu suwerenności, nakazująca reżimowi stwarzać na użytek krajowy hasła i slogany zaprzeczające powyższym twierdzeniom Zachodu, a głoszące całemu światu, że Polska dzisiejsza jest samodzielną, niepodległą, a przede wszystkim **suwerenną**.

Jeszcze przed wyborami 1947 r. Modzelewski na zgromadzeniu publicznym w Poznaniu wypowiedział zdanie, szeroko rozkolportowywane później, o niewątpliwej suwerenności państwa polskiego. Odtąd tezę tę lansuje się przy każdej sposobności.

Hasła o suwerenności służą jedynie do zamydlenia oczu społeczeństwu i odwróceniu jego uwagi od rzeczywistego stanu rzeczy. Trzeba pamiętać, że społeczeństwo polskie po zakończeniu działań wojennych w 1945 r., w tym okresie złudzeń i nieuzasadnionych nadziei, było niesłuchanie czułe na sprawę oddalającą się, co było już widoczne, suwerenności. Powoływanie się na suwerenność było już wówczas modne (m. in. mówił o niej Mikołajczyk w przemówieniu niezwłocznie po przylocie do Warszawy w czerwcu 1945 r.).

Ale sprawa suwerenności państwowej ma swój aspekt wewnętrzny, na użytek międzynarodowy. Uważa się po prostu, że współcześni autorzy burżuazyjni zwalczają zasadę suwerenności jedynie w interesie imperializmu amerykańskiego. W artykule Ludwika Gelberga pt. "Suwerenność a Karta Narodów Zjednoczonych" ("Państwo i Prawo", Nr 3/1950, str. 23), autor na podstawie analizy współczesnej sytuacji międzynarodowej dowodzi, że pojęcie suwerenności, które zapuściło głęboko korzenie w świadomości narodów, stanowi silną zaporę przeciw zakusom imperialistycznym. Jedynie zachowanie suwerenności daje możliwość istnienia i współpracy krajom, których struktura wewnętrzna i stopień rozwoju są różne.

Jest to klasyczne ujęcie tezy sowieckiej na O.N.Z. Ponadto, Gelberg udowadnia na podstawie tekstu Karty Nar. Zjedn., że likwidacja suwerenności państwowej — "do czego zdążają siły reakcji z imperializmem St. Zjedn.", — jest sprzeczna z tą Kartą oraz w ogóle z prawem międzynarodowym. W argumentacji tej trudno jest oddzielić argumenty ściśle prawnicze od politycznych i propagandowych.

3.

Na zakończenie tego szkicu, pragnęlibyśmy zauważyć, że oprócz problemów kosmopolityzmu i suwerenności, w dyskusji metodologicznej sowieckich prawników, — roztrząsane są jeszcze i inne "błędy i odchylenia", jak np. formalizm i obiektywizm.

Za pseudonaukowy formalizm, walka z którym ma być jednym z "podstawowych zadań radzieckiej nauki prawa", — według Czchikwadze ("Sow. Gos. i Pr.", Nr 6/1948), uważać należy "pozbawianie instytucji prawnych ich politycznej i klasowej istoty, ucieczkę od rzeczywistości, ignorowanie praktyki, zachwywanie się prawniczą techniką, tworzenie sztucznych niezyciowych konstrukcji prawniczych, będących konstrukcjami scholastycznymi" (cytuje za Biskupskim).

Formalizm może być grzechem nie tylko prawnika, ale i np. artysty: "ciężki ten zarzut" dotknął kompozytora sowieckiego Szostakowicza, którego oskarżono łącznie o formalizm i kosmopolityzm w muzyce.

Innym grzechem metodologicznym ma być "profesorski obiektywizm". Błąd ten, według oficjalnej sowieckiej nauki, popełniają ci, którzy, jak np. Strogowicz, "całej przedmarksistowskiej i współczesnej niemarksistowskiej nauce prawa nie przeciwstawiali całkowicie nowej marksistowsko-leninowskiej nauki", przez co powstaje wrażenie, "jakoby nie istniała w ogóle odrębna marksistowsko-leninowska nauka, jakościowo różna i przeciwna burżuazyjnej nauce prawa, wrażenie, że nauka radziecka jest tylko jednym ze współczesnych kierunków naukowych, bardziej tylko postępowym od kierunków niemarksistowskich" (cytuje za Biskupskim, str. 74). W innym miejscu zarzucono temuż Strogowiczowi "obiektywizm" w wykładzie amerykańskiego i angielskiego procesu karnego, zaś uczonemu "Keczekianowi wskazano, że krytyka burżuazyjnej nauki, burżuazyjnego traktowania Arystotelesa jest niedostateczna" (!).

Tak ujęte zarzuty formalizmu i obiektywizmu, rozpatrywane zazwyczaj łącznie z kosmopolityzmem i obroną suwerenności, oznaczają, że wszystkie te sporne punkty mają znaczenie jedynie metodologii, powiązanej ściśle z doraźnymi celami polityki państwa i propagandą, bez głębszej treści ideologicznej.

Podobnie zresztą, dialektyczny materializm jest po prostu metodą interpretacyjną. Nowoczesny (komunistyczny) materializm, w odróżnieniu od materializmu XVIII-go wieku, — jest jedynie instrumentalizmem.

Sprawdza się trafność spostrzeżeń Bertranda Russella, że marksiści są zainteresowani w filozofii ze względu na skutek, nie uznają jej jednak przy przyczynie.

Wacław SZYSZKOWSKI.

Korespondencja z Niemiec

Czasopisma kulturalne Niemiec

Periodyki, ukazujące się w Niemczech powojennych stanowią nie tylko jaskrawe świadectwo kryzysu, jaki przechodzi obecnie myśl i sztuka niemiecka, lecz dają ponadto wcale jasny obraz konfliktów nurtujących życie polityczne Niemiec, a także rozwiązań, jakie przewidują programy "reorientacyjne" czterech zarządów wojskowych. Sytuacja ta odbija się tym wyraźniej w czasopiśmiennictwie niemieckim, że nowych książek pisanych w języku niemieckim jest tak bardzo mało. Wielu pisarzom niemieckim brak było w ostatnich dwudziestu latach dostatecznej równowagi wewnętrznej, a nieraz i czasu, by zdobyć się na prace przekraczające — czy to rozmiarami czy problematyką — produkcję dziennikarską lub czasopiśmienniczą. Rozmiary klęski narodowej Niemiec, widoczne zwłaszcza w miastach, gdzie — poza kilkoma autorami ludowymi i regionalnymi — większość czołowych pisarzy się gromadzi, spowodowały w umysłach wielu intelektualistów niemieckich znacznie większy zamęt, niż ten, jaki od czasów Wagnera i Nietzschego cudzoziemcy zwykli byli odkrywać w romantycznej i pełnej uczuciowych sprzeczności duszy niemieckiej.

W r. 1945, bezpośrednio po kapitulacji, wszyscy wydawcy niemieccy zmuszeni byli zawiesić swą działalność, w oczekiwaniu na procesy "denazyfikacyjne", bez licencji nie wolno było niczego wydać. W pierwszym okresie okupacji, do końca 1947 r., zaczęła wychodzić w strefach amerykańskiej, francuskiej i sowieckiej wielka ilość (licencjonowanych) czasopism kulturalnych. Posucha w strefie brytyjskiej była dosyć zmienna. Brytyjska "polityka kulturalna" długo była niezdeterminowana i niewyraźna; porzucała ona niechętnie wypróbowaną metodę audycji BBC i broszur propagandowych, redagowanych i drukowanych w Anglii, zasugerowana powodzeniem tej metody w europejskim ruchu podziemnym czasu wojny. Ośrodki przemysłowe strefy brytyjskiej, a zwłaszcza Hamburg i Ruhra, była ponadto

tak sparaliżowane przez bezrobocie, głód i przeludnienie, że brak było warunków psychologicznych dla akcji odrodzenia liberalizmu kulturalnego, wszczętej już w innych strefach.

Strefy brytyjska i francuska

Świętyną miesięcznik "Die Neue Auslese", wydawany łącznie przez Amerykanów i Anglików, cieszył się w pierwszych trzech latach wielką poczytnością. Odbijał on korzystnie od "Die Amerikanische Rundschau", wydawanej przez amerykański zarząd wojskowy. Drukując mnóstwo materiału amerykańskiego, francuskiego i innego, a nie wyłączając autorów sowieckich, "Die Neue Auslese" podtrzymywała tradycję najlepszych audycji kulturalnych BBC czasu wojny, lub takich brytyjskich wydawnictw wojennych, jak "Il Mese", który miał wielkie powodzenie w wyzwolonych Włoszech. "Die Neue Auslese" stanowiła lekturę wszystkich niemieckich intelektualistów; jej niedwuznacznie liberalną politykę wyraziła się m. i. w tym, że należała ona do pierwszych czasopism alianckich w Niemczech zamieszczających prace miejscowych autorów; dzięki temu ujrzaly światło dzienne utwory Niemców, którzy zginęli w oporze przeciw hitlerowcom.

Czasopisma literackie i artystyczne strefy francuskiej, wychodzące w tym wczesnym okresie, na ogół były czytane z wielkim zainteresowaniem w całych Niemczech zachodnich. Do czasu reformy walutowej z czerwca 1948 książki i czasopisma były łatwo dostępne przeciętnemu intelektualistom niemieckiemu, bo sprzedawano je po cenach legalnych; żyjąc na chudych racjach, mógł sobie na ten wydatek pozwolić, choć nie miał na masło, kawę czy papierosy. Francuski zarząd wojskowy, oparty na długoletnim doświadczeniu francuskiej propagandy kulturalnej za granicą, zapoznawał intelektualistów niemieckich — z pewnym opóźnieniem — ze wszystkimi "awangardowymi" kierunkami Paryża, które za czasów hitlerowskich stanowiły owoc zakazany. W ten sposób udostępniono lub przypomniano Niemcom Picassa, Eluarda, Sartre'a, Aragona i Camusa. Co prawda przez pewien czas, wpływy komunistyczne we Francji sprawiły, że Gide nie był wydawany po niemiecku, a tłumaczenia Sartre'a spotykały się z oporem.

"Lancelot, kurier z Francji" (Lancelot, der Bote aus Frankreich), miesięcznik kulturalny oficjalnie subwencjonowany przez Francuzów, rozpoczął od zapoznawania czytelnika niemieckiego z tym samym typem literatury "oporu", jaką rząd emigracyjny de Gaulle'a rozpowszechniał niegdyś w Ameryce: była to mieszanina nieomal mistycznego patriotyzmu, jak np. u Vercors, z tym szczególnym "gallikańskim" komunizmem, który przeciwstawiał się ultramontańskiej odmianie moskiewskiej, propagowanej przez Aragona i jego żonę, Elżę Triolet, z przyzwolenia ich zagranicznych mocodawców. Później, gdy nacisk

komunistyczny we Francji osłabił, "Lancelot" zamieszczał Aragona i Eluarda mniej często.

Spśród innych wybitnych wydawnictw strefy francuskiej należy wymienić: "Die Gegenwart", dwumiesięcznik o rozległej tematyce, który ukazywał się zrazu raczej nieregularnie i redagowany był przez grupę pozostałych przy życiu dawnych redaktorów i współpracowników znanego dziennika "Frankfurter Zeitung"; "Die Vision", luksusowe i bardzo "paryskie" czasopismo artystyczne i literackie, pragnące być czymś w rodzaju niemieckiej "Verve", a redagowane przez Gerharda F. Heringa i zmarłego w międzyczasie Pawła Wieglera (który należał zresztą także do redakcji popieranego przez Sowietów "Aufbau" i korzystającego z licencji sowieckiej "Sinn und Form"); "Das Goldene Tor", redagowane przez Alfreda Doeblin, autora świetnej powieści przedwojennej "Alexanderplatz", który opuścił Niemcy jako Niemiec i Żyd, by wrócić jako Francuz i katolik i głosić sławę takich pisarzy katolickich, jak Claudel i Bernanos; wreszcie "Der Merkur", najlepsze czasopismo literackie w Niemczech, redagowane przez Joachima Morasa i Hansa Paeschkego. Przy całej swej pięknej szacie zewnętrznej, "Die Vision" nie dała nic nowego; w najlepszym razie przypominała swoim czytelnikom o istnieniu artystów i pisarzy przeszłości, których w ostatnich latach zaniedbywano. Przedrukowywano w niej wybrane fragmenty z dzieł Kanta, Kafki, Waltera von der Vogelweide, Ludwika Tiecka, Józefa v. Eichendorfa, a nawet dawno zapomnianego niemieckiego poety dadaistycznego, Hugona Ball. Przypomniano także kilka mało znanych utworów romantycznego malarza z pierwszej połowy XIX w., Ottona Runge, pisanych w narzeczu północno-niemieckim. Cała ta działalność była właściwie tylko kontynuacją — choć z większą swobodą w zakresie sztuki modernistycznej — tego typu antykwarianizmu kulturalnego, jaki za rządów hitlerowskich kwitł wśród nie-hitlerowskich intelektualistów.

Tę szczególną niemiecką mieszaninę antykwarianizmu i awangardy — ale z większym naciskiem na awangardę — można było spotkać także w innych czasopismach artystycznych Niemiec zachodnich, a zwłaszcza w wydawanym w strefie francuskiej "Pryzmacie" (Prisma) i w ukazującym się w strefie amerykańskiej "Der Standpunkt"; oba te pisma padły ofiarą reformy walutowej 1948 roku. Należy tu także "Glanz" (strefa amerykańska), który zaczął się ukazywać po reformie walutowej, ale wnet zmuszony był zawiesić swą działalność. Papier, druk i forma zewnętrzna wszystkich tych wydawnictw stoją na wysokim poziomie, dzięki czemu dorównują one niemal (mimo trudności zaopatrzenia) najlepszym francuskim i szwajcarskim czasopismom artystycznym, a pozostawiają daleko za sobą swoje odpowiedniki amerykańskie, takie jak "View", "Art News" i "Art Digest".

Polityka artystyczna tych powojennych czasopism niemiec-

kich musi jednak uderzać Nowojorczyka czy Paryżanina swoim szczególnym anachronizmem: dzieląc entuzjazm Paryża dla Picassa, Braque'a, Matisa, Chagalla, późniejszych nadrealistów, a także dla takich barokowych dziwactw jak Arcimboldo, niemieccy miłośnicy sztuki trwają wiernie przy swych zachwytach sprzed lat dwudziestu i hołdują nadal Barlachom, Kubinom i ekspresjonistom. Kontrast ten występuje szczególnie jaskrawie w pracach wszystkich niemal młodszych artystów niemieckich zamieszczanych w tych czasopismach; można je sobie bez trudu wyobrazić na łamach berlińskiego "Querschnittu" czy Flechtheimowskiego "Omniabusu" z lat dwudziestych.

Na pierwszym miejscu wśród czasopism literackich strefy francuskiej, a może nawet całych Niemiec zachodnich, utrzymuje się "Der Merkur". Nie jest to oficjalne wydawnictwo zarządu wojskowego; korzysta ono raczej z większej pobłażliwości francuskich władz okupacyjnych w sprawach kulturalnej denazyfikacji i z szerszych zainteresowań kulturalnych tych władz. W czasie gdy żadne czasopismo strefy amerykańskiej nie odważyłoby się drukować prac takich wybitnych pisarzy jak Ernest Jünger, Gotfryd Benn i Hans Egon Holthausen, stojących na pograniczu tego co dopuszczalne i tego co zakazane, bo pisarze ci nie zostali jeszcze oficjalnie zdenazyfikowani, "Der Merkur" zamieszczał ich prace nie pytając nikogo o pozwolenie i w ten sposób mógł dostarczać swym czytelnikom literaturę wyższego gatunku, niż ktokolwiek inny. Nie znaczy to, że najlepsi pisarze niemieccy byli hitlerowcami, lecz denazyfikacja w strefie amerykańskiej szła tak wolnym krokiem i tak jej brakowało wyraźnych kryteriów, jeśli chodzi o artystów i pisarzy (urzędnicy i przemysłowcy mieli się pod tym względem lepiej), że wydawcy pracujący na zasadzie amerykańskiej licencji przez długi czas nie wiedzieli, po której stronie umieścić pewne nazwiska literackie i woleli zachowywać ostrożność.

"Der Merkur" jest ponadto równie eklektyczny co niezależny: choć ma licencję francuską, opublikował przekład niemiecki Archibald MacLeish'a "The Fall of the City", a także przekłady poematów Dylana Thomasa i Sergiusza Jessienina, poety sowieckiego, który popełnił samobójstwo dwadzieścia lat temu; jako źródło informacji o arcydziełach literatury mocarstw okupujących może więc "Der Merkur" konkurować z powodzeniem z oficjalnymi wydawnictwami amerykańskiego, brytyjskiego i sowieckiego zarządu wojskowego. Do stałych współpracowników niemieckich tego pisma należy świetny krytyk Ernest Robert Curtius, poeta i krytyk Hans Egon Holthausen oraz poeta i krytyk Peter Gan, który jeszcze przed wojną żył w Paryżu jako uchodźca z Niemiec hitlerowskich. Długi artykuł Holthausena o Tomaszu Mannie (w zeszytach ze stycznia i lutego 1949), choć miejscami gołosłowny, wywołał ogromne wrażenie wśród czytelników "Merkura"; byli oni zaskoczeni obrazoburstwem w stosunku do Manna, któremu udało się — jak niegdyś Hauptmannowi — zyskać opinię duchowego spadkobiercy Goethego.

Strefa amerykańska

Licencjonowane czasopisma strefy amerykańskiej nie mogły konkurować ze swymi odpowiednikami ze strefy francuskiej. Musiały się one ponadto porać z trudnościami wynikającymi ze sprzeczności schizofrenicznej polityki amerykańskiej. Podczas gdy każdy koncesjonowany wydawca niemiecki, w którejkolwiek strefie, mógł zwrócić się do francuskich władz wojskowych o zezwolenie na przekład jakiegokolwiek francuskiej książki, wydanej z zastrzeżeniem praw autorskich, a następnie zapłacić za te prawa zarządowi wojskowemu niemieckimi markami — przez długi czas wydawcy niemieccy nie mogli doprosić się w amerykańskim zarządzie wojskowym o prawa autorskie książek nie wymienionych w liście książek amerykańskich, które wydawcy amerykańscy zakupywali (na Niemcy) nie licząc się z potrzebami i gustami niemieckiej publiczności. Te listy zaleconych książek amerykańskich bywały bardzo kapryśne: odbijały się w nich wszystkie uprzedzenia i gusty instytucji o pocziwych intencjach, jak np. Rady Pisarzy Wojennych lub innych, które w ostatnich latach okazywały zainteresowanie dla propagandy amerykańskiej, ale równocześnie znajdowały w nich wyraz interesy jednostek czy grup, które w ten czy inny sposób potrafiły zyskać poparcie czynników urzędowych.

Reforma walutowa r. 1948 stworzyła koncesjonowanym wydawcom strefy amerykańskiej jeszcze jeden problem, z którym większość z nich do tej pory nie potrafi dać sobie rady. Dopilnowawszy skrzętnie, by w latach 1945 i 46 licencjonowani byli tylko wydawcy, na których nie ciążyło najmniejsze podejrzenie o współpracę z reżimem hitlerowskim, władze amerykańskie nie zatroszczyły się później wcale, by tę elitę uchronić przed bankructwem. Sam zarząd wojskowy np. był jednym z największych odbiorców książek i czasopism niemieckich zawierających materiały amerykańskie; setki egzemplarzy zakupywano stale dla centr informacyjnych i czyteln. Po reformie walutowej nawet zarząd wojskowy rozporządzał niewielkimi funduszami w nowej walucie, co zmusiło go do anulowania wielu zamówień i do wstrzymania się na długi czas z zaplaceniem rachunków zaległych. Ta dziwnie krótkowzroczna polityka doprowadziła do tego, że wysiłki ostatnich czterech lat mogą pójść na marne; teraz, gdy Wysoka Komisja amerykańska zdecydowała się znieść system licencji wydawniczych w całej strefie, niemal wszyscy koncesjonowani wydawcy znajdują się na krawędzi bankructwa, podczas gdy wielu wydawców, którym ze względów politycznych odmawiano dotąd licencji, znaleźli się nagle w sytuacji finansowo bardzo dogodnej, bo nie mają ani zapasów książek, których nikt nie chce kupować, ani strat na skutek zmniejszenia się ilości odbiorców, tylko będą mogli zacząć na czysto, gdy znów pojawi się zapotrzebowanie na książki i czasopisma. Ale za to władze amerykańskie wydają dramatyczne okrzyki oburze-

nia ostrzegając świat — dosyć bezradnie — że rynek niemiecki zaczyna na nowo zdobywać narodowo-socjalistyczne niegdyś firmy wydawnicze.

Jest to jednak tylko jeden przykład wyrwany z zawilej historii polityki okupacyjnej, która sprawiła np., że dział propagandowy i wydawniczy zarządu wojskowego zawsze dowiadywał się o planach działu finansowego i walutowego, gdy już było za późno albo że pobierając jakąś decyzję nigdy nie zastanawiano się nad tym, czy da się ona pogodzić z decyzją, którą — jak to nie trudno było przewidzieć — trzeba będzie pobrać jutro.

Mimo tych trudności czasopismo strefy amerykańskiej utrzymało się na drugim miejscu, zaraz za wydawnictwami strefy francuskiej. W jednym wypadku wysunęły się nawet na czoło: mam na myśli "Die Wandlung" redagowaną przez socjologa Dolf Sternbergera i komitet redakcyjny, do którego należą m. i. Karol Jaspers i Alfred Weber, a także "Frankfurter Hefte", redagowane przez Eugeniusza Kogona, b. więźnia Buchenwaldu, świadka w procesach norymberskich i autora książki "Der SS Staat"; są to jedyne czasopisma niemieckie, które poważnie zajęły się nie popularnym zagadnieniem winy Niemców. Nie można też powiedzieć, by to było wyłączną zasługą władz amerykańskich, które nadmierny pietyzm dla uczuć niemieckiej publiczności skłonił ostatnio do tego, by kazać wyciąć z włoskiego filmu "Paisà" scenę mordowania partyzanta włoskiego przez niemieckiego żołnierza. Kogon, Sternberger i Jaspers zdają się należeć do tej szczupłej garstki ludzi, i to nie tylko spośród zwyciężonych, ale i spośród zwycięzców, którzy mają odwagę omawiać publicznie w Niemczech powojennych trudną kwestię winy Niemiec. Inne niemieckie wydawnictwa kulturalne starannie unikają tej kwestii.

"Die Wandlung" należała do pierwszych czasopism, jakie ukazały się w Niemczech po klęsce. Mimo poważnego a nieraz otwarcie akademickiego tonu, pismo to osiągnęło przed reformą walutową nakład przekraczający trzydzieści tysięcy egzemplarzy. Nakład ten spadł później, jak nakłady wszystkich czasopism w Niemczech Zachodnich i wynosił w końcu około pięciu tysięcy. W pierwszym zeszycie ukazał się niezły przekład "East Coker" Eliota; spośród innych rzeczy publikowanych w późniejszych numerach wymienić należy "Portrait antysemit" Sartre'a, różne prace Hanny Arendt, essay Gerhardta Groethuysena "O zmyśle dziecięcym", wiersze ze spuścizny Ricardy Huch, Alfreda Webera krytykę statutu Ruhry kilka cennych artykułów o reformie służby państwowej, artykuł atakujący Radę Parlamentarną w Bonn jako "parlament urzędników", Audena "In Memory of Sigmund Freud" w przekładzie Elżbiety Mayer oraz świetny artykuł Eryka Franzena o Eliocie i Ezrze Pound potępiający Eliota za udział w herezjach intelektualnych, które Pound doprowadził do absurdu. Pod koniec r. 1949 "Die Wandlung" niestety przestała się ukazywać.

"Frankfurter Hefte" poświęcone są niemal wyłącznie zagadnieniom politycznym i społecznym. I tak np. w zeszycie lutowym 1949 r. Karol W. Boetcher i Rudolf Schaefer omawiali historię i rolę policji w Niemczech. Eugeniusz Kogon, redaktor pisma, jest liberalnym katolikiem, który pod dyktandem hitlerowską, cierpiał za swe przekonania polityczne. Troszczy się on dziś bardziej o stworzenie w Niemczech powojennych możliwie najlepszej społeczności niż o rozpowszechnianie idei i programów jakiegokolwiek partii politycznej. Polemiki i artykuły, jakie ogłasza w swym piśmie, poświęcone są w znacznej części technicznym zagadnieniom polityki i administracji, a rozwiązania jakie się tu proponuje, mają charakter — w szerokim tego słowa znaczeniu — demokratyczny i są zastosowaniem kryteriów raczej moralnych i socjalnych niż czysto partyjno-politycznych.

Do innych wybitnych czasopism licencjonowanych przez Amerykanów należą: "Die Faehre", którą przemianowano na "Die Literarische Revue", "Deutsche Beitraege" oraz "Das Lot". "Die Faehre" i "Die Literarische Revue" wydawano w Monachium; pismom tym udało się ożywić na nowo coś z owej przedwojennej atmosfery monachijskiego estetyzmu kosmopolitycznego. Można by je porównać najlepiej z owymi amerykańskimi "little magazines", które dostarczają czytelnikowi fragmentów próbek twórczości każdego pisarza awangardowego, o którym mówiło się w którymkolwiek z ośrodków literackich świata w ciągu ostatnich 15-tu lat. Herman Broch, Elias Canetti i Franz Kafka stanowili zrazu główne dania tego dziwnie zastawionego bufetu; dawano ich jednak w tak małych porcjunkach i tak bez wyboru, jakby redaktorzy obawiali się, że nie starczy im miejsca na wszystkie nazwiska, które wypada zacytować; w rezultacie menu było urozmaicone, ale chude.

Aby powetować czytelnikom niemieckim rozczarowania tego typu — a zdarzały się one w r. 1947 częściej niż dziś — poeta francusko-amerykański Alain Bosquet, młody pisarz niemiecki Aleksander Koval oraz autor niniejszego sprawozdania zdecydowali się w pierwszych miesiącach 1947 r. wydawać "Das Lot". Postawiliśmy sobie raczej zadania, jakim służy amerykański rocznik "New Directions" lub angielskie wydawnictwo "New Writing", niż cele, które zwykle przyświecają czasopismom; pismo ukazywało się nieregularnie, ale w sumie co kwartał wychodził zeszyt; przy tym — prenumerata nie była przewidziana. W pierwszych numerach przedrukowaliśmy przekłady z St. John Perse'a, przekład "Unquiet Grave" Cyryla Connolly, "The Crack-up" F. Scotta Fitzgeralda, wybór utworów Henry Millera, Paul Goodman, Paul Frederic Bowlesa, Wallace Stevensa i innych. Po reformie walutowej "Das Lot" stał się rocznikiem i pierwszy tom poświęcony był krytycznej antologii pierwszego ćwierćwiecza nadrealizmu.

"Deutsche Beitraege", wydawane przez monachijską Nymphenburger Verlagshandlung, mają jeszcze wyraźniej monachijski

ski charakter niż "Die Faehre", bo zupełnie świadomie starają się odrodzić tradycje artystyczne i literackie Schwabingu, tego monachijskiego Montmartre'u, który w ostatnich siedemdziesięciu latach zamieszkiwało wielu niemieckich i obcych artystów i literatów, między nimi Tomasz Mann. Jednym z redaktorów "Beitraege" jest Herman Uhde-Bernays, największy autorytet monachijskiej krytyki artystycznej, którego świeżo wydane pamiętniki są wybitnym przyczynkiem nie tylko do dziejów Monachium, lecz do historii ruchu artystycznego i literackiego całej Europy zachodniej w bieżącym stuleciu. Uhde-Bernays często pisuje do "Beitraege", które ogłosiły także szereg artykułów ze spuścizny po krytyku Józefie Hofmillerze i po historyku sztuki Woelfflinie, essaye Lwa Szestowa, rosyjskiego mistyka, świetny przekład "Burnt Norton" Eliota dokonany przez Urszulę Clemen, szereg dobrych studiów o literaturze amerykańskiej i angielskiej póra Wolfganga Clemen, kilka essayów Ernesta Roberta Curtiusa, pewną ilość nowych utworów monachijskiego poety, powieściopisarza i lekarza Hansa Carrosy (jedyne lekarza na świecie, któremu ufał D. H. Lawrence) i kilka prac Ernesta Kreudera, interesującego powieściopisarza, który w pewnym momencie wywołał sensację wśród miłośników Kafki mających nadzieję, że Niemcy powojenne wydadzą wreszcie wielkiego pisarza, który łączyłby w sobie cechy Kafki i Henry Millera.

Najpopularniejsze wydawnictwo literackie strefy amerykańskiej, "Story", drukuje zwykle świetny wybór nowel tłumaczonych z różnych języków i obejmujących cały wachlarz pisarzy od Juliusza Supervielle i Williama Saroyana po Henry Millera i Alberta Cossery. Polityka wydawnicza "Story" dowiodła niezbita, że publiczność niemiecka, jak publiczność większości krajów europejskich, lepiej jest przygotowana do czytania literatury wyższej klasy niż czytelnicy amerykańskich "slicksów". Nakład "Story" jest oczywiście znacznie mniejszy niż nakład "Saturday Evening Post" tak samo, jak ludność Niemiec zachodnich jest mniej liczna niż ludność Stanów Zjednoczonych. Lecz niemiecki odpowiednik tej kategorii czytelników, którzy w Ameryce zadowalają się małą prozą "slicksów", wydaje się żądać czegoś bardziej oryginalnego lub głębszego. Dowodzi tego jednak nie tylko powodzenie "Story". Amerykański zarząd wojskowy, który latami całymi zachwalał swoją "Die Amerikanische Rundschau", periodyk pełen wzruszająco dobrych treści, redagowany w odległym Nowym Yorku i korzystający przez pewien czas z porad Hansa Habe (Artura Koestlera dla ubogich), udzielił wreszcie w r. 1948 Melvinowi Lasky'emu zezwolenia na wydawanie śmielszego, mniej mętnego i bardziej interesującego miesięcznika "Der Monat".

Po roku nakład "Der Monat" ustalił się na ok. trzydzieści tysięcy. Jego polityka redakcyjna — jeśli ją określać kategoriami amerykańskimi — ma w sobie coś z "The New Leader" i "Commentary" z jednej strony i z "The Atlantic Monthly" z

drugiej. Melvin Lasky sądzi, że w tym pierwszym roku udało mu się dostarczyć "młodemu czytelnikowi niemieckiemu coś możliwie najbardziej zbliżonego do kursu dobrego amerykańskiego uniwersytetu". Autorzy, których prace ogłoszono w tym pierwszym roczniku, to m. i. T. S. Eliot, Tomasz Mann, Sidney Hook, Ortega y Gasset, John Dewey, André Gide, Arturo Barea, Karl Jaspers, Bertrand Russel, Christopher Isherwood, Ignazio Silone, George Orwell, C. F. Ramuz, H. R. Trevor-Roper, Hans Kohn, W. H. Auden, George Santayna, Albert Camus, Arthur Koestler, Denis de Rougemont. Powodzenie "Der Monat", który określa sam siebie jako "czasopismo międzynarodowe poświęcone polityce i życiu umysłowemu", tłumaczy się tym, że daje on swym czytelnikom wypowiedzi autorów o rozgłosie światowym na niemal każdy żywotny temat z zakresu politycznego i kulturalnego życia powojennych Niemiec. W drugim roku swego istnienia "Der Monat" starał się akcentować bardziej swe zadania polityczne, ze szkodą dla swych ambicji kulturalnych, i stał się przede wszystkim bronią w zimnej wojnie.

Strefa sowiecka

Odkąd "Der Monat" znajduje się na rynku, sowiecka propaganda polityczna i kulturalna natrafiła po raz pierwszy od r. 1945 na poważną konkurencję i opozycję po tej stronie żelaznej kurtyny zaciągniętej wpoprzek Niemiec.

W pierwszych miesiącach okupacji oficjalne wydawnictwa amerykańskiego zarządu wojskowego, takie jak monachijski tygodnik "Die Neue Zeitung" (ukazujący się obecnie jako dziennik w Monachium, Frankfurtie i Berlinie), jak ilustrowany tygodnik "Heute Magazin" oraz miesięcznik "Amerikanische Rundschau" z uporem, choć z malejącym przekonaniem, troskały się o to, by naszym "wielkim rosyjskim sojusznikom" zdobyć popularność wśród niemieckich czytelników — a to w myśl polityki datującej się jeszcze z czasów wojny, gdy trzeba było przeczyć "insynuacjom" Goebbelsa na temat braku jedności wśród Sprzymierzonych. Wydawnictwa strefy sowieckiej, czy to oficjalne czy też tylko licencjonowane, jakoś znacznie mniej dbały o współpracę tego typu.

Ataki na "kapitalizm" amerykański i na naszą politykę w Niemczech zachodnich rozpoczęły się w oficjalnych wydawnictwach sowieckiej strefy Niemiec już w r. 1946. Ataki te stawały się w ciągu ostatnich dwóch lat coraz częstsze i coraz zjadliwsze, a ustawały tylko, gdy z dyrektyw sowieckich można było wnioskować — jak np. po zniesieniu blokady Berlina — że pożądana jest na chwilę atmosfera pojednania. Prasa berlińska sektorów amerykańskiego, brytyjskiego i francuskiego, a także oficjalne dzienniki zarządu wojskowego stref zachodnich kładą obecnie nieustanną zapórę zaprzeczeń i kontrzarzutów. Zawila struktura administracyjna systemu wydawniczego strefy sowieckiej nie pozwala na wielką różnorodność po-

litycznej i kulturalnej propagandy. W strefie wschodniej Niemiec i w sowieckim sektorze Berlina każda rzecz podlega jednej z wielu popieranym przez Sowietów partii politycznych czy organizacji: partii Socjalistycznej Jedności (powstałej z przymusowego połączenia partii komunistycznej i socjaldemokratycznej), która wydaje dziennik "Neues Deutschland", sowieckiej administracji wojskowej, która wydaje dziennik "Taegliche Rundschau", "Kulturbundowi", "masowej organizacji twórców kultury", która wydaje miesięcznik "Aufbau", a wreszcie mniejszym partiom marionetkowym, takim jak Zjednoczenie Chrześcijańsko-Demokratyczne strefy sowieckiej, partia Liberalno-Demokratyczna tejsze strefy lub partia Narodowo-Demokratyczna, stworzona dla byłych członków partii narodowo-socjalistycznej, wciąż jeszcze czujących na hasła nacjonalistyczne.

Miesięczniki prowadzą tę samą politykę kulturalną co działają lub dodatki literackie i artystyczne głównych dzienników. "Neue Welt" np. wydawana jest dwa razy w miesiącu przez "Taegliche Rundschau" i zamieszcza dłuższe artykuły — np. Lenina (b. często), T. D. Łysienki i Wasilewskiej — niż by sobie na to mógł pozwolić dziennik. Specjalne wydanie puszki-nowskie "Neue Welt", w maju 1949 r., zawierało w dodatku kilka interesujących próbek oficjalnego sowieckiego stylu naukowego.

Większość zeszytów "Aufbau", redagowanego przez Bodo Uhse przy udziale redakcji złożonej m. i. z poetów Johannes R. Bechera i Stefana Hermlina oraz wielkiej liczby nieznanych szeregowych komunistów, nie sprawia żadnych niespodzianek, lecz numer specjalny z lipca 1949 poświęcony "odrodzeniu" kulturalnemu "ludowej demokracji" czechosłowackiej mile czytelnika rozczarował: wzięli w nim udział poeci Witezslav Nezval, F. C. Weiskopf i Jiri Wolker, znani czytelnikowi amerykańskiemu z antologii i innych wydawnictw czeskiego rządu emigracyjnego, ogłaszanych w czasie wojny po angielsku; ponadto numer zawierał nieco dobrej prozy powieściowej Władysława Vancury. Nie mniej interesujący był świeży numer poświęcony Goethemu. Znaleźliśmy w nim artykuł Tomasza Manna o Goethem, artykuł Jerzego Lukacsa oraz — mirabile dictu — świetny przekład essayu Emersona o Goethem. O wiele mniej wybitny był numer "Amerikanische Rundschau", poświęcony Goethemu: stłoczono w nim "dwanaście głosów amerykańskich o Goethem", wyjątki z Johna Macy, Emersona (tego samego co w "Aufbau", lecz mocno okrojonego i nieszczególnie tłumaczonego), Irvinga Babbitta, Burтона Rascoe itd. Do wrażenia jedności tego goethowskiego numeru "Amerikanische Rundschau" przyczyniały się następujące artykuły: Blair Bollesa o Pakcie Atlantycznym, William Harlan Hale'a o problemie murzyńskim w Stanach Zjednoczonych, Wernera Wolfa o "Tajemniczy Wyspy Wielkanocnej" i John Dickson Carr'a o "Conan Doyle'u jako Sierloku

Holmesie". Było to zapewne najdziwniejsze wydanie goethowskie ze wszystkich, jakie ukazały się w Niemczech w r. 1949.

Humor i pojednanie

Trzy czasopisma kulturalne wydawane z licencją sowiecką usiłują lub wydają się korzystać z pewnej większej swobody w swej polityce redakcyjnej; są to "Ost und West", "Ullenspiegel" i "Sinn und Form". "Ost und West" założył Alfred Kantorowicz po swoim powrocie z wygnania w Ameryce; pismo to zapowiadało się jako kulturalny i ideologiczny "pomost" między światem komunistycznym a zachodnim. Zachód wszakże reprezentują w większości numerów niemal wyłącznie tak jawnie komunistyczni pisarze jak Howard Fast, Martin Andersen-Nexoe oraz poeta chilijski Pablo Neruda. Prawie każdy zeszyt czyta się jak owe specjalne wydania "protestacyjne" "w obronie kultury", jakie Kantorowicz i inni sympatycy komunizmu wydawali w r. 1936. W jednym zeszycie można było znaleźć artykuł, który może śmiało uchodzić za najbardziej nieoczekiwany przyczynek do historii sztuki naszych czasów: Agnes Smedley o "Wpływie Kaethe Kollwitz w Chinach". Nawet Berthold Brecht pilnuje, żeby — wobec wyraźnie oportunistycznej polityki redakcyjnej i trudnej do sprawdzenia poczytności pisma — nie dostarczyć nic poza odpadkami: w ten sposób, nie zrażając sobie Kantorowicza, uchyla się równocześnie od solidaryzowania się z przestarzalymi pojęciami o literaturze, jakim hołduje ten nieszczęsny redaktor. Ostatni zeszyt "Ost und West" dowodzi, że pismo to jest skazane coraz bardziej na archiwa jako źródło swego materiału redakcyjnego: ogłoszono w nim niedrukowane dotąd listy liberalnego poety Ferdynanda Freiligratha z r. 1848, zapomniane artykuły Kurta Tucholsky'ego etc.

"Ullenspiegel", ilustrowane pismo humorystyczne wydawane raz na dwa miesiące, ukazywało się na zasadzie licencji amerykańskiej dopóki nie nastąpił w redakcji rozłam na tle politycznym. Jest ono obecnie wydawane z licencją sowiecką i jest o wiele mniej zabawne. W czasie blokady Berlina kilku byłych jego współpracowników założyło "Der Insulaner", wydawany z licencją amerykańską; słaba poczytność zmusiła jednak do zamknięcia tego pisma. W Bawarii "Der Simpl" usiłował przez czas dłuższy ożywić tradycję starego monachijskiego "Simplicissimusa". Wszystkie te czasopisma satyryczne hołdowały jednemu i temu samemu stylowi rysunku i miały słabe teksty. W Niemczech wciąż jeszcze jest pewna ilość utalentowanych rysowników ze szkoły Schaefer-Asta lub Steinberga, ale brak tam dobrych satyryków i humorystów. Publiczność niemiecka przy tym, nie wydaje się dbać szczególnie o ten typ wydawnictw: "Ullenspiegel", choć coraz mniej zabawny, utrzymywany jest przy życiu tylko dla tego, że uparła się przy tym polityka sowiecka, a "Der Simpl", zniósłszy szereg ataków małostkowego

rządu bawarskiego za brak poszanowania władzy, zeszedł śladem "Insulanera" do grobu.

Na suchą i monotonną pustynię czasopiśmiennictwa strefy sowieckiej, pierwszy numer kwartalnika "Sinn und Form" spadł jak nieoczekiwany deszcz. Redagowany przez Johannes R. Bechera i zmarłego tymczasem Pawła Wieglera, ma on mniej wyraźne oblicze polityczne niż "Aufbau" Kulturbundu i wykazuje niektóre czysto artystyczne ambicje i zalety miesięcznika "Das Lot", a uprzedzenia polityczne redakcji znajdują wyraz raczej w doborze autorów niż tekstów. I tak spośród wielu wybitnych poetów dzisiejszej Ameryki, nadających się do tłumaczenia, "Sinn und Form" przedstawił swym czytelnikom dotąd tylko Langstona Hughes, poetę nieprzeciętnego, ale bardziej interesującego jako rzecznik murzynów niż jako artysta lub myśliciel. Polityczne a nawet rasowe uprzedzenia redaktorów pisma występują szczególnie jasno w dopiskach biograficznych, zamieszczanych na końcu każdego zeszytu: chilijską poetkę Gabryelę Mistral scharakteryzowano w ten sposób: "W Europie zapoznano się z nią po raz pierwszy w r. 1949, gdy otrzymała nagrodę Nobla. Poezja jej wyraża bolesne nastroje narodu, który przez stulecia cierpiał ucisk i wyzysk, indyjsko-kreolską 'tristeza'. Lecz Gabryela Mistral znana była i tłumaczona we Francji i Włoszech na długo przed r. 1939; jej melancholia wspólna jest całej hiszpańskiej poezji ubiegłego półwiecza, a jej "indianismo" jest na pewno bardziej sentymentalne i mniej bezpośrednie niż "indianismo" meksykańskiego poety Alfonso Reyesa lub "Afro-Amerykanizm" niektórych poetów brazylijskich i kubańskich. W rzeczy samej, melancholia Gabryeli Mistral jest tego samego typu neo-romantycznego, co melancholia Rilkego, Guido Gozzany, Francis James'a lub tylu innych poetów europejskich, o których trudno powiedzieć, że natchnęły ich uczucia wyzyskiwanych Indian.

Gdy się widzi jak taki obłudny fałsz wyzyskiwany jest perfidnie dla celów politycznych, trudno nie zadać sobie pytania, czy redaktorzy "Sinn und Form" byliby przyjęli do druku tak świetny essay jak Waltera Benjamina "Ueber einige Motive bei Baudelaire", gdyby nieszczęsny autor nie był już w r. 1940 popełnił samobójstwa uciekając przed Gestapo, lub tak doskonałą nowelę jak "Heimkehr" Hermana Brocha, gdyby autor, choć dawny kapitalista, nie był także antyfaszystowskim uchodźcą. Dobór autorów w "Sinn und Form" jest rzeczywiście oparty na interesujących kryteriach komunistycznych "kwalifikacji", a pozór politycznie liberalnej polityki redakcyjnej utrzymywany jest przy pomocy zręcznej mieszaniny niezbyt wyraźnie komunistycznych rozważań o polityce pióra członków Partii oraz apolitycznych prac autorów, którzy byli ofiarami faszyzmu lub jeszcze nie opowiedzieli się wyraźnie przeciwko komunizmowi. André Gide, T. S. Eliot, Ivan Bunin czy też Benedetto Croce nie mają szans znalezienia się na łamach "Sinn und Form", ponieważ otwarcie krytykowali Rosję So-

wiecką lub politykę komunistyczną w swych krajach ojczy-
stych; a García Lorca, który był anarchista i pederastą i za
to samo już gniłby lub zgniłby dawno w jakimś łagrze za ko-
łem polarnym, gdyby żył w Rosji, wychwalany jest i drukowa-
ny w "Sinn und Form" tylko dla tego, że został zamordowany
przez faszystów gen. Franco i ponieważ propagandzie komu-
nistycznej zawsze potrzeba pewnej ilości męczenników z nie-
wątliwym dorobkiem artystycznym.

Niespodziewanie zliberalizowana polityka redakcyjna "Sinn
und Form" nie jest przecież niczym innym, jak jeszcze jednym
aspektem nowej sowieckiej ofensywy pokojowej, do której daw-
ny dyplomata niemiecki Rudolf Nadolny usiłuje wciągnąć przy-
wódców politycznych Niemiec zachodnich. Tak więc prof. Noack
z uniwersytetu Wuerzburgskiego i z "Koła z Nauheim", które
obiecuje mętnie, że utrzyma jedność Niemiec, został zaproszo-
ny na wykłady do uniwersytetu w Halli w strefie sowieckiej, a
Rada Ludowa strefy sowieckiej nadaje "nagrody narodowe"
jednym tchem "aktywiście" ze strefy sowieckiej, przywódcy
związków zawodowych Adolfowi Hennecke i historykowi sztuki,
prof. Hamannowi z uniwersytetu Marburgskiego w strefie
amerykańskiej oraz Henrykowi Mannowi.

Kryzys literatury

Na pierwszy rzut oka mogłoby się wręcz wydawać, że w cza-
sopiśmiennictwie niemieckim odbija się żywotność większa niż
ta, jaką poszczycić się może jakikolwiek inny naród. Do refomy
walutowej było w Niemczech rzeczywiście dużo czasopism wiel-
kiej różnorodności i publiczność gorliwie je kupowała. Po dwu-
nastu latach hitlerowskiego izolacjonizmu ludzie byli ciekawi
świata zewnętrznego, a zwłaszcza krajów, z których przyszły
władze i wojska okupacyjne; pisarzy obcych tłumaczono i czy-
tywano powszechnie i bez wyboru. Lecz bardziej wybredny czy-
telnik wnet męczył się tyloma periodykami, w których pojawia-
ły się wciąż te same nazwiska. Od reformy walutowej poczyt-
ność czasopism szybko maleje i co miesiąc któreś z nich za-
miera. Natomiast nadszedł czas "pulpów", "slicków", cza-
sopism fachowych i innych wydawnictw dochodowych. Pewien
miesięcznik fryzjerski, wydawany w Monachium osiągnął już
nakład trzydziestu tysięcy. Pół-pornograficzne magazyny w za-
chodnich Niemczech, poświęcone głównie "sztuce nóg", docho-
dzą do stu tysięcy egzemplarzy. Czytelnicy tego typu pism ilu-
strowanych, którzy w Niemczech zawsze mieli niewybredne
gusta i którzy za czasów hitlerowskich mieli sposobność obni-
żyć swój poziom jeszcze bardziej, znaleźli się obecnie w sytuacji,
która pozwala im znowu kupować czasopisma, a wydawcy zda-
ją się chętnie zaspakajać najniższe apetyty. Intelktualisci na-
tomiał i czytelnicy bardziej wykształceni, którzy przed refor-
mą walutową mogli kupować wielkie ilości czasopism, zmusze-
ni są ograniczyć się do absolutnego minimum poważnych wy-

dawnictw. W ten sposób powstaje koniunktura dla dawnych wy-
dawców hitlerowskich; rozporządzając dostatecznym kapita-
łem, ludzie ci mogą z łatwością zatruwać umysły tłumy bez-
krytycznych czytelników, którzy pragną taniej a sensacyjnej
lektury.

Amerykański zarząd wojskowy i prasa amerykańska nieraz
wskazywały w ubiegłych miesiącach na odrodzenie się niemiec-
kiego nacjonalizmu i antysemityzmu, które ujawniło się zwła-
szcza w czasie kampanii przedwyborczych różnych partii w
okresie wyborów do nowego parlamentu federalnego. Jest w tym
wielka i gorzka ironia historii, że amerykańska polityka oku-
pacyjna ostatnich czterech lat nie tylko poniosła tu tak oczy-
wistą klęskę, ale nawet sama przyczyniła się do tej ewolucji.
Zaledwie kilka czasopism niemieckich poświęciło nieco uwagi
zagadnieniu zbiorowej winy Niemców wobec masakry milionów
Żydów w ghettach i obozach koncentracyjnych wschodniej Eu-
ropy. Ale przecież nawet Głos Ameryki, jeszcze w czasie woj-
ny, wytrwale unikał podawania informacji lub omawiania
spraw, o których już dobrze wiedzieliśmy, czy to z doniesień
agencji żydowskich, czy to z raportów wywiadu; dotyczy to
zwłaszcza komór gazowych w Oświęcimiu; dzięki temu szcze-
rzy demokraci niemieccy mogli słuchać tych audycji regular-
nie — zresztą z narażeniem własnego życia — i nie dowiedzieć
się nic o istnieniu i charakterze tych hitlerowskich obozów
eksterminacyjnych. Był taki moment w roku 1945 i 1946 gdy
zalaną prasę niemiecką sprawozdaniami i zdjęciami z Belsen
i Buchenwaldu. Ale te materiały drukowano jak każdą inną
wiadomość prasową, bez specjalnych komentarzy i bez rozwa-
żania kwestii winy, a ponieważ była to lektura odrażająca,
szybko ten temat zarzucono, gdy się zorientowano, że może on
wpłynąć niekorzystnie na kolportaż naszych wydawnictw pro-
pagandowych w Niemczech.

Przeciętny Niemiec wzbrania się oczywiście spojrzeć w oczy
prawdzie o winie narodowej czy zbiorowej, podobnie jak prze-
ciętny Amerykanin ze stanów południowych niechętnie patrzy
w oczy prawdzie o winie zbiorowej w kwestii murzyńskiej. Żad-
ne czasopismo niemieckie obliczone na zysk nie może się więc
odważyć na jasne postawienie "Schuldfrage", bo nie chce tra-
cić odbiorców. Choć oficjalne wydawnictwa nie musiały rów-
noważyc swych budżetów, nigdy nie skorzystały ze swej nie-
zależności od ryzyka niepopularności, by wszcząć akcję, która
miałaby się skończyć rozszerzeniem dyskusji nad zagadnieniem
winy także na niemiecką prasę dochodową.

Kilka niezależnych czasopism kulturalnych ogłosiło to praw-
da, prace pisarzy niemieckich, którzy zginęli w obozach kon-
centracyjnych. I tak np. "Die Faehre", periodyk monachij-
ski, zamieścił w r. 1946 cykl wierszy Almy Johanny Koenig,
wiedeńskiej pisarki żydowskiej, która umarła po deportacji do
Polski i której świetna pośmiertna powieść "Młody Bóg" ogłos-
zona została w r. 1948 w Wiedniu. Także "Sinn und Form",

wydawane w strefie sowieckiej, ogłosiło w r. 1949 kilka wierszy Gertrudy Kolmar, berlińskiej poetki żydowskiej, która doznała tego samego tragicznego losu i które pisma zebrane wydawane są obecnie pośmiertnie przez wydawnictwo Peter Suhrkamp w Frankfurt nad Menem. "Die Wandlung", "Frankfurter Hefte" i kilka periodyków katolickich i protestanckich, redagowanych i wydawanych przez duchowieństwo, od czasu do czasu poświęcały swe łamy otwartym i odważnym rozważaniom nad kwestią winy niemieckiej. Lecz postawa przeciętnego czasopisma niemieckiego i przeciętnego niemieckiego intelektualisty da się najlepiej scharakteryzować przez wskazanie na ogromną popularność, jaką w ubiegłych miesiącach zyskały dzieła Ernesta Jüngera, który w swych świeżo ogłoszonych pamiętnikach wojennych pisze, że ani rusz nie mógł uwierzyć, by młodzi żołnierze niemieccy, których znał i podziwiał, mogli być rzeczywiście winni okrucieństw, które przypisują im uporczywe pogłoski rozsiewane ze wschodniej Europy.

Edouard RODITI.

Wymowa współczesnej sztuki niemieckiej

Artykuł niniejszy powstał w ramach «Kongresu Wolności Kultury» (Berlin, 26 do 30 czerwca 1950), głównie pod wpływem rozmowy z Józefem Czapskim, podczas wspólnego obiadu delegatów na Kongres i malarzy oraz rzeźbiarzy berlińskiej «Neue Gruppe» w salonie wystawowym zamku charlottenburskiego.

Te okoliczności pozwalają wysunąć problem wolności sztuki, ściśle biorąc sztuki niemieckiej, a w szczególności berlińskiej, chociaż właściwie ten ostatni problem nie budzi wątpliwości. Berlin bowiem może dziś uchodzić za jedno z najbardziej wolnościowo nastawionych miast Europy, jak tego dowiódł cały przebieg Kongresu a także wrażenia, wyniesione przez delegatów i publiczność. Tym bardziej więc czujemy się upoważnieni do traktowania wystawy Nowej Grupy berlińskiej jako reprezentacji prawdziwej niemieckiej twórczości artystycznej naszych czasów, i to bez obawy o popełnienie niesprawiedliwości wobec Niemiec zachodnich. Zresztą na wystawie obecnych było, w charakterze gości, także kilku spośród najwybitniejszych malarzy stref zachodnich, dzięki czemu wystawa dała dosyć kompletny obraz całości. Wśród tych ostatnich były takie nazwiska jak Werner Gilles, Ernst Wilhelm Nay, Fritz Winter, Hans Mettel, Ewald Mataré, z którymi artyści berlińscy tej miary jak Hans Uhlmann, Theodor Werner (wystawiający jako gość),

Heinz Trökes, Wolf Hoffmann, Karl Hartung, Bernhard Heiliger, Werner Heldt, Alexander Camaro, Hans Kuhn i i. całkowicie wytrzymują porównanie.

Jakim językiem przemawiają ci malarze i rzeźbiarze? Zapoznawszy się na szeregu pokazanych nam ostatnio wystaw francuskich, z najmłodszą twórczością sąsiada, możemy na to pytanie odpowiedzieć bez wahania: przemawiają oni językiem europejskim, tym samym, jakim mówi się w Paryżu i Londynie, w Zurychu, Amsterdamie i Mediolanie, w Nowym Jorku i Chicago. Zapewne, mowa ta ma swoisty niemiecki akcent, równie swoisty jak akcent mowy francuskiej, angielskiej czy jakiegokolwiek innej. Nie jest ona już jednak dla nas wyuczonym z trudem językiem obcym, mianowicie francuskim, ani też narzeczem zrozumiałym tylko dla Niemców, ale nowym językiem macierzystym sztuki zrozumiałym we wszystkich krajach. Tym przede wszystkim epoka nasza różni się od 19 wieku: dziś nie może się już zdarzyć, by zdolny malarz niemiecki Hans Thoma dopiero w Paryżu u Courbète dowiadywał się i uczył, czym jest malarstwo, a po powrocie do Niemiec popadał w gwarę nie zrozumiałą dla żadnego cudzoziemca. Osiągnęliśmy dziś wreszcie to, co już raz — przeszło sto lat temu, u genialnego Karl Blechena i młodego Adolfa Menzla — zaznaczyło się jako zadatek prawdziwej wspólnoty, ale co się wtedy nie rozwinęło: rzeczywistą zachodnio-europejską jedność nowego obrazu świata, choćby obraz ten składał się na razie bardziej z problemów i poszukiwań niż z gotowych form. May, Uhlmann, Winter, Trökes i wielu innych nie uczyło się już malarstwa w Paryżu, chociaż niemal każdy z nich był tam kiedyś, a przecież dzieła ich byłyby we Francji równie zrozumiałe jak obrazy Massona, Mirró, Pignona, Marchanda i Léger w Niemczech.

Rzeczą szczególnie pocieszającą jest, że stoimy tu wobec całkowicie samorządnego procesu duchowego. Byłoby bowiem nieporozumieniem, gdybyśmy tę nową sztukę niemiecką chcieli uważać za zjawisko powojenne i tłumaczyć reakcją na wieloletni ucisk, wywołaną przez wpływy zewnętrzne. Chociaż malarzom takim jak Nay, Winter, Werner, Gilles i innym nie wolno było po r. 1933 wystawiać a często nawet malować, to przecież szli oni nadal niewzruszenie swoją drogą i rozwinęli w ukryciu formę wyrazu, która po ich nagłym wypłynięciu po r. 1945 okazała się formą prawdziwie europejską. Znamiennego przykładu dostarcza także berliński rzeźbiarz Hans Hartung, który — zacierpnawszy w Paryżu ok. r. 1930 wzorów od Maillola i Despiau — po r. 1933, mimo odcięcia od świata i rekryminacji ze strony współziomków, stworzył całkowicie swoisty świat form i znalazł się dziś na drodze ku celom zdumiewająco podobnym do tych, jakie przyświecają młodym rzeźbiarzom francuskim.

Co się tu właściwie stało i w jaki sposób? Sprawa przestanie być tak zdumiewająca gdy się zważy, że jedno z najczystszych

źródeł nowego wszech europejskiego języka artystycznego wytrysło w latach dwudziestych właśnie w Niemczech: mamy na myśli malarstwo Pawła Klee, Wasylego Kandinsky'ego, Oskara Schlemmiera, Lionela Feiningera, László Moholoy-Nagy, które powstało w weimarskim Bauhauzie, przeniesionym następnie do Dessau. Nikt z wtajemniczonych chyba nie wątpi, że okres Bauhauzu we wszystkich dziedzinach sztuki należy do największych osiągnięć kulturalnych Niemiec, które walcie przyczyniły się do wytworzenia nowego wspólnego języka. Czyż młodsze pokolenie niemieckie urodzone ok. roku 1900, mogło rozwinąć z tego coś innego niż to, co powstało w innych krajach pod wpływem Klee, Kandinsky'ego, Moholoy-Nagy, a w zakresie architektury przede wszystkim pod wpływem Gropiusa?

Trudno się tym nie cieszyć. Pokazało się tu bowiem, że prawdziwa sztuka naszych czasów przezwyciężyła epokę europejskich nacjonalizmów już w okresie, gdy niektóre narody dopiero poczęły tej zanikającej postawie duchowej ulegać, ostatecznie i zastraszająco. Jeśli sztuka dzięki wrażliwości swych twórców zawsze uważana jest za zjawisko symptomatyczne dla sytuacji psychicznych i duchowych, które dopiero po kilku dziesięcioleciach staną się powszechnie obowiązujące, to i tu znowu trudno przecenić drogę, jaką sztuka europejska poszła po r. 1920. Bo w swym dążeniu do języka europejskiego uprzedziła ona to, co dopiero teraz zarysowuje się w świadomości wolnych narodów jako nadzieja i ratunek Zachodu. Także i w Niemczech wielu artystów od szeregu dziesięcioleci decydowało o tym kierunku rozwoju i idzie dalej tą drogą bez względu na ofiary.

Cóż to jednak jest, co wypowiada się w tym europejskim języku z niemieckim akcentem? Wobec rzekomej niezrozumiałości współczesnej sztuki pytanie to stawiane jest wciąż na nowo zarówno przez niechętnych jak i przez życzliwych. Nie jedna tu może być odpowiedź. Może jednak dobrze będzie rozważyć naprzód inne pytanie, które samo w sobie będzie czymś w rodzaju odpowiedzi: czyż może istnieć piękniejszy i wyraźniejszy dowód na wewnętrzną konieczność a tym samym na obowiązujący charakter tej formy wyrazu niż fakt, że najlepsi artyści we wszystkich wolnych krajach niezależnie od siebie dochodzą do tej samej formy wyrazu? Trudno chyba wobec takiego zjawiska iść za osławionym przykładem i mówić o międzynarodowym spisku szarlatanów i blagierów. Ale równie niedopuszczalne byłoby wobec tych faktów mówienie o samowoli poszczególnych jednostek. Jakże zagadkowa bowiem stałaby się wtedy owa tajemnicza wspólnota wyrazu wprost wszystkich granic i jakże pogłębiłaby się zagadkowość twórczości artystycznej, i tak już dość głęboka.

Lecz czegoż wyrazem jest ta wspólnota? Jest ona wyrazem wolności twórczego człowieka, który nie tylko kształtuje swój obraz świata swobodnie i z wewnętrznego popędu, ale który ten obraz świata w formie zewnętrznej wolności sam urzeczywistnia, przy

czym możliwość ta jako taka reprezentuje wartość związaną w sposób istotny z człowiekiem Zachodu. Wolny sam w sobie, wolny od wszelkiej zewnętrznej zależności od narzuconych lub tradycyjnych pojęć, treści i form, które i we wszystkich innych dziedzinach życia utraciły — jak się to powszechnie uznaje — swoją wartość i zastępowane są nowymi pojęciami i formami. Nie o to przecież tylko chodzi, by być wolnym od czegoś, ale także ku czemuś nowemu. Świadomość Zachodu od więcej niż stu lat przechodzi pod względem naukowym, społecznym i gospodarczym tak wielkie przemiany, że wobec nich błędnie wszystko, co się dokonało w ciągu tysiącletniej historii Zachodu. Czy to chodzi o formy społeczne, o panowanie przestrzeni i czasu, o naukowe możliwości poznawcze i wynikające stąd praktyczne wynalazki — wszędzie duch Zachodu osiąga cele, które dawniej nie mogły uchodzić nawet za poznawalne a cóż dopiero za osiągalne. Jeżeli we wszystkim, co się stało od prawie dwóch stuleci widzi się tylko zniszczenie, stratę i negację, to wtedy oczywiście i sztuka tak musi być oceniana. Jeśli jednak dostrzega się w tym potężnym procesie przemian Zachodu, który dziś już ogarnął cały świat, także pozytywną, twórczą stronę ducha ludzkiego, to dla czego robić wyjątek dla sztuki? Nowe formy sztuki potępią się jako wolność z nicości. Któż jednak — i według jakich kryteriów — przesądza, że energia twórcza człowieka jest nicością? Czyż nie ludzie, a więc znowu nicości, których sądy też nie mogą być niczym innym jak nicością? Tylko Bóg mógłby wydać wyrok ostateczny. W Jego myślach jednak nie potrafimy czytać, choć wielu dziś właśnie przypisuje sobie tę zdolność i ocenia sztukę współczesną z punktu widzenia Boga jako odszczepieństwo i bluźnierstwo. Raczej należałoby chyba powiedzieć, że sztuka ta jest prometejska i że wobec tego odpowiada dokładnie temu, czym rodzaj ludzki we wszystkich swych myślach, dążeniach i wynalazkach jest rzeczywiście. Gdzie jednak działanie jest prometejskie, tam zawsze wychyla się z tła oblicze jakiegoś boga. Bo czyż każdy Prometeusz nie jest w ostatecznym obrachunku człowiekiem, który w zastępstwie innych ludzi walczy o bogów i o Boga? Czynił tak i Jakób i wyszedł z tych zmagania ze zwicniętym biodrem, a przecież błogosławiony.

◆

Często nazywa się Wernera i Wintera, Naya i Uhlmanna a także wielu innych czystymi «formalistami», przy czym niemieccy ich przeciwnicy nieraz zezują złym okiem na Francję jako sprawcę tego zła. Czy rzeczywiście są oni francuskimi formalistami? Wystarczy zestawić ich obrazy z pracami takich ich krewniaków jak Masson, Beaudin, Manessier i in., by uświadomić sobie różnice zachodzące między nimi przy całej zbieżności stylu. Żaden z Francuzów (poza Picassem, który nie jest Francuzem) nie ma tej gwałtownej namiętności duchowej, jaką dostrzegamy u Naya albo Uhlmanna i ani Nay, ani Uhlmann nie mają nic z owego

ujmującego wdzięku Francuzów, którzy odsłaniają głębie jakby igrali. Mimo to wypowiadają to samo podobnymi formami i barwami, w jakich objawiają się energie i wartości nie wyrażane dotąd środkami czystych form i barw. Jest przy tym rzeczą zdumiewającą i orzeźwiającą, że i ta nowa intensywność i świetlistość barw, które poza wartościami zmysłowymi pięknej czerwieni, ugru, zieleni i błękitu wyrażają zawsze w sposób nieunikniony jakieś wartości «moralne», obudziła się równocześnie we wszystkich krajach i że tak samo dynamika i rytmika, właściwa czystym formom, wszędzie stała się niedwuznacznym środkiem wyrazu. Dziś już nawet często trudno rozróżniać akcenty. Gilles i Kuhn mogliby być Francuzami, spokrewnionymi bodaj z Pignonem; Bertholle mógłby być Niemcem, by nie wspominać już o takim zjawisku jak Georges Rouault. Berliński rzeźbiarz Heiliger wykazuje związki z Anglią, z Henrykiem Moore.

Wernera Heldta nazywano nieraz berlińskim Utrillo. Można by się na to zgodzić, a przecież nie jest to ściśle. Na nowej i innej płaszczyźnie ma on raczej coś z Charles Meryona, którego ubóstwia. W zniszczonych częściach wielkiego miasta nie inaczej niż w miejscach, które zdołały się zachować, odkrywa on tajemnicę umierania, która jest zarazem tajemnicą przemiany a więc życia. Poprzez skruszałe frontony pękniętych fasad prześwieca coś ukrytego, jak przed wiekiem u Meryona, który wyczarowywał tę tajemnicę z obrazu Paryża. Metafizyczna jest także nierzeczywista rzeczywistość świata w obrazach Heinza Trökesa, bardziej metafizyczna niż u pokrewnych mu Francuzów, którzy poprzestają raczej na podświadomych pokładach życia ludzkiego pojętego jako zjawisko czysto wegetatywne, podczas gdy Trökes bardziej zdecydowanie i świadomie poddaje przemianie cały obraz świata. Jeśli w tym wypadku wolno mówić o problematyce, która jednak nie jest subiektywnie uwarunkowaną problematyką sztuki, lecz wydaje się być obiektywną problematyką obrazu świata ulegającego w całości procesowi radykalnej przemiany, którą malarz usiłuje formułować artystycznie, to w przeciwieństwie do Trökesa, Hans Kuhn przedstawia problematyczność zwykłej rzeczywistości w sposób całkowicie nieproblematyczny. Maluje on ją po prostu jako autonomiczną grę form i kolorów i wykazuje przy tym smak, który dawniej odczuwanoby jako czysto francuski, a który obecnie trzeba niewątpliwie nazywać po prostu europejskim.

Tak więc u wszystkich artystów niemieckich, których wymienione tu nazwiska reprezentują prawem wyboru narzuconego przez wystawę berlińską, osiągnięta została jedność wyrazu kpiąca sobie z granic. Niemcy dostarczają dziś nie najłabszego i nie najgorszego przyczynku do tego europejskiego języka twórczej wolności człowieka.

Fritz BAUMGART.

Najnowsza historia Polski

Wrześniowy kryzys Powstania Warszawskiego

Dla tych, którzy 1-go września 1944 opuścili "Starówkę" i wyszli z kanału na rogu ul. Wareckiej i Nowego Świata powstała możliwość wyrobienia sobie pełniejszej opinii o sytuacji powstania. Stare Miasto — pozbawione elektryczności na szereg dni przed swym upadkiem — było tym samym pozbawione, po wyczerpaniu nielicznych baterii, możliwości słuchania radia. Audycje radia londyńskiego były przecież głównym źródłem wiadomości przez cały czas okupacji. Z braku prądu przestały też wychodzić pisma drukowane w Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych i innych zakładach, a pisma drukowane w śródmieściu dostarczane do dzielnicy północnej kanałami, docierały nieregularnie. Frontowe warunki w jakich żyła izolowana od reszty miasta "Starówka" uniemożliwiały wyrobienie sobie pojęcia całości sytuacji powstaniowej.

Centrum miasta wydawało się w pierwszej chwili dla przybyłych ze Starego Miasta nieledwie nietkniętą przez wojnę oazą spokoju. Nastroje mieszkańców śródmieścia były dobre, a ton prasy optymistyczny. Ten sam nastrój spotykało się u czynników politycznych, choć wyczuwało się też zaniepokojenie wskutek mało efektywnych rezultatów pomocy lotniczej aliantów i braku postępów ofensywy sowieckiej, która utknęła u południowo-wschodnich przedmieść miasta. Obiektywna ocena sytuacji na podstawie wiadomości odbieranych z Londynu, a nawet audycji radia londyńskiego, nie dawała podstawy do optymizmu. Zrzuty broni i amunicji dokonywane w ciągu sierpnia były połączone z ogromnymi stratami samolotów i załóg powracających po wykonaniu zadania do odległych baz wyjściowych. Wysiłki rządu w Londynie były w tych warunkach skierowane aby wymóc przez zachodnich aliantów zgodę Rosji na lądowanie samolotów niosących pomoc Warszawie na terenach sowiec-

kich. Wprawdzie do powodzenia tych starań przywiązywano w Warszawie bardzo duże znaczenie, jasne jednak było, że największe nawet zrzuty nie mogą nie tylko zapewnić zwycięstwa, ale nawet wydłużyć trwania powstania. Wrogi stanowisko Rosji w sprawie baz lotniczych nie pozwalało liczyć na szczere i skuteczne poparcie powstania przez lotnictwo i armię sowiecką. Zresztą dostatecznym tego dowodem była nieobecność samolotów sowieckich nad Warszawą od pierwszego dnia powstania. W tych warunkach musiało powstanie rozegrać partię tymi kartami, jakie w danym momencie posiadało.

Wystarczyło czytać komunikaty A.K., oddające, co należy stwierdzić, wiernie sytuację frontową, aby wiedzieć, że Niemcy wypierają Armię Krajową przede wszystkim z tych odcinków, z których zagraża ona ich liniom komunikacyjnym ze wschodem. Stąd, od razu w pierwszych dniach sierpnia, utrata Ochoty i Woli a później Starego Miasta, panującego nad Nowym Zjazdem i flankującym dworzec Gdański z mostem kolejowym. Po upadku "Starówki" główne uderzenie niemieckie musiało skoncentrować się na śródmieściu zagrażającemu arterii Grójecka—Most Poniatowskiego. Bilans sił jakie można było przeciwstawić na tym odcinku, ważnym specjalnie wskutek obecności na tym terenie naczelnych władz cywilnych i dowództwa wojskowego, przedstawiał się słabo. Nie mówiąc o siłach wojskowych, wobec znanej każdemu przewagi ogniowej niemieckiej, trzeba wziąć pod uwagę szereg materialnych i psychicznych momentów mających znaczny wpływ na sytuację. Wszystkie te zagadnienia decydujące o trwaniu powstania nabrały ostrości i aktualności z chwilą gdy ogień niemiecki w dwóch dniach 4 i 5 września zniszczył plac Napoleona i sąsiednie ulice zmuszając władze i dowództwo, wraz ze znaczną częścią ludności, do przeniesienia się na południe od Alei Jerozolimskich.

Do bardzo ważnych momentów należała sytuacja aprowizacyjna oblężonego miasta. Zagadnienie wyżywienia, kapitałne w każdej wojnie, zasługuje na specjalną uwagę. Miasto odcięte przez 63 dni od wszelkiego dowozu żywności potrafiło walczyć pomimo, że armia nie mogła przygotować magazynów żywnościowych. Stare Miasto, tylko przez pierwszych 8 dni powstania mogło pod ogniem czerpać z zapasów cukru i konserw mięsnych, znajdujących się w magazynach przy ul. Stawki. Potem pozostały jedynie niewielkie składy w gmachach P.W.P.W. i przy ulicy Miodowej. Ciężkie warunki bojowe w tej dzielnicy nie pozwalały od początku na żadne racjonalne rozdzielanie żywności wśród ludności cywilnej. Niewielkie zapasy, którymi dysponowała intendencja i starostwo Warszawa-Północ, były zarezerwowane dla wojska i szpitali. Sytuacja w śródmieściu przedstawiała się nie wiele lepiej. Zapasy w składach zajętych przez wojsko, z których czerpała także delegatura na potrzeby ludności cywilnej, nie stały w żadnym stosunku do potrzeb. Z większych wymienić można: pszenicę i jęczmień w magazynach fmy Ha-

berbusch i Schiele przy ul. Browarnej, cukier i trochę tłuszczu w zakładach Zw. Mleczarskiego przy ul. Hożej, cukier w fabryce "Społem" przy ul. Czerniakowskiej, wreszcie — skład Rady Głównej Opiekuńczej przy ul. Ludnej na Powiślu. Nieliczne zapasy po piekarniach, sklepach i mięso pochodzące z uboju koni zarezerwowane były dla szpitali i wojska. W sierpniu otrzymali mieszkańcy południowego śródmieścia mały przydział cukru za pośrednictwem komitetów domowych. Przez cały czas powstania czynne były istniejące przedtem i nowo powstałe kuchnie Rady Gł. Opiekuńczej, wydające zupy najbardziej potrzebującym. Tą kategorią, coraz liczniejszą, w miarę wyczerpywania zapasów i niszczenia ich wraz z domami, opiekowały się także powstające spontanicznie komitety i kuchnie domowe. Prawdziwą podstawą wyżywienia były zapasy domowe gromadzone zapobiegliwie, specjalnie przed powstaniem, do czego nawoływała zresztą prasa podziemna. Te właśnie zapasy pozwoliły przetrwać dwa długie miesiące nie tylko rodzinom, które je gromadziły, ale także wojsku i tym którzy w trakcie powstania stracili dom i własną spiżarnię. Pomoc w formie dzielenia się żywnością z bardziej potrzebującymi i żywienie walczących przez ludność cywilną (oraz odwrotnie) były na porządku dziennym. Dla pełnego obrazu należy dodać, że głód był powszechny, że niewiele niemowląt przetrwało powstanie wskutek zupełnego braku mleka i witamin, a ogromna śmiertelność wysiedlonych warszawiaków w zimie 1944/45 tłumaczy się w znacznym stopniu wycieńczeniem głodowym. Wydział wyżywienia delegatury ograniczał z konieczności swoją akcję do zaopatrywania (oczywiście niedostatecznego) szpitali i pomocy kuchniom R.G.O. oraz kuchniom społecznym. Powaga sytuacji aprowizacyjnej wystąpiła w śródmieściu specjalnie jaskrawo w pierwszych dniach września, gdy wskutek zbombardowania północnej jego części zaczęły napływać przez przekop Alei Jerozolimskich tłumy osób pozbawionych domu i zapasów. Żywnienie przybyśków musiało spaść głównie na barki instytucji społecznych. Ilość posiłków wydawanych przez kuchnie R.G.O. zaczęła wzrastać gwałtownie. O ile pamiętam, wynosiła ona około 9.000 w tej części miasta w pierwszych dniach września a podniosła się do 17.000 około 10 września i 27.000 w drugiej połowie miesiąca. (Cała ludność zamieszkująca teren rejonowej delegatury Warszawa-Południe, wynosiła w sierpniu około 80.000). Zapasy publiczne zaczęły wyczerpywać się w bardzo szybkim tempie a równocześnie oba magazyny na Powiślu jak i skład na Browarnej zostały zagrożone przez nieprzyjaciela. Ewakuacja reszty zapasów (wyłącznie na plecach ludzkich) mogła następować, wskutek silnego ostrzału, tylko w nocy i połączona była z dużymi stratami wśród kolumn transportowych.

Kurczenie się stałe terenu objętego powstaniem wskutek niszczenia i zajmowania przez nieprzyjaciela coraz dalszych dzielnic, brak realnych nadziei pomocy i coraz dotkliwszy głód przy-

czyniły się do bardzo nagłego upadku nastrojów. Dotyczyło to zwłaszcza tej części ludności cywilnej, która wegetowała w piwnicach zamienionych na schrony. Napływ do południowej dzielnicy ludności ze zburzonych okolic placu Napoleona i połączone z tym zwiększenie zagęszczenia wpłynęło na wzrost nastrojów defetystycznych, których kilka dni przedtem nie było można zaobserwować. Częściowe "rozładowanie" tych nastrojów przyniosło 6 i 7 września wyjście z oblężonej dzielnicy kilku tysięcy osób, głównie kobiet z dziećmi i chorych. Wstrzymanie ognia dla umożliwienia tej ewakuacji doszło do skutku na podstawie umowy zawartej przez przedstawicielkę Polskiego Czerwonego Krzyża, panią Marię Tarnowską, z dowództwem niemieckim. Ulga jaką przyniosło oblężonym wyjście z miasta najsłabszych mieszkańców mogła być tylko krótkotrwała. Gdy nie było nadziei na zwycięstwo i doczekanie się odstąpienia Niemców w wyniku ofensywy sowieckiej — pozostawało zaprzestanie walki. Propozycję rozpoczęcia rokowań kapitulacyjnych wysunęło dowództwo niemieckie w czasie rozmów w sprawie ewakuacji ludności cywilnej.

Sugestia ta nie spotkała się w początkach września z przyjęciem przez najwyższe cywilne czynniki polityczne powstania, które widocznie nie dojrzały wtedy jeszcze do powzięcia tej ciężkiej decyzji. Będąc zdania, że dalsze przedłużanie walk nie ma sensu politycznego i że należy skorzystać z okazji, aby zakończyć powstanie, starałem się wpłynąć w tym kierunku na te osoby i czynniki z którymi byłem w kontakcie. Wraz z kierownikiem urzędu żywienia Warszawa-Południe rozmawialiśmy w tym duchu z min. Jasiukowiczem. Rozpaczliwą sytuację apro wizacyjną referował delegatowi Jankowskiemu dyrektor departamentu żywienia, wskazując na konieczność powzięcia rychłych decyzji. O stanie rzeczy byli informowani członkowie Rady Jedności Narodowej i wybitniejsi członkowie partii politycznych. Pomimo pewnej apatii ogarniającej ludzi na tle wycieńczenia, szereg innych osób przekonanych również o beznadziejności dalszej walki działało w tym samym kierunku. Tak zwane "czynniki gospodarcze", innymi słowy grupa osób ze sfer handlowych i przemysłowych stolicy, doszła do podobnych wniosków. Przedstawiciel tej grupy wybrał się w sprawie tej do delegata; o ile pomnę, przyjął go w zastępstwie minister Jasiukowicz. W tym samym sensie informował delegata Jankowskiego dyrektor departamentu informacji p. Dołęga, który był wtedy kontuzjonowany i — o ile pamiętam — w pisemnym raporcie donosił o bardzo złych nastrojach panujących wśród ludności. Podobnie jak i wszystkie inne sugestie i namowy, raport ten źle został przyjęty przez delegata Jankowskiego, który nie chciał wprost słyszeć o kapitulacji. Nie znam ówczesnego stanowiska czynników wojskowych, ale inni ministrowie i politycy w rozmowach nie wykazywali tak nieprzejednanego stanowiska jak delegat.

W parę dni potem, w nocy 10-go września, po raz pierwszy od chwili wybuchu powstania pokazał się nad śródmieściem samolot sowiecki. W następnych dniach rozpoczęły się walki na Pradze oraz działalność lotnictwa sowieckiego nad miastem. Nastroje ludności uległy znowu radykalnej zmianie. Fala optymizmu osiągnęła swój szczyt 15-go września, kiedy w godzinach popołudniowych przeleciały nad Warszawą (oczekiwane od poprzedniego dnia) "Liberatory", które po zrzucaeniu zasobników skierowały się do baz na terenie sowieckim. Równocześnie grupa Radosława pozbawiona, wraz z przeprawionym przez Wisłę oddziałem "Berlingowców", poparcia artylerii sowieckiej udzielonego jej na parę dni, musiała oddać Powiśle Czerniakowskie. Nocne zrzućty sowieckie nie były w stanie rozwiązać braku amunicji i żywności dla oddziałów walczących, nie mówiąc o wyżywieniu ludności cywilnej. Powoli zaczęto sobie zdawać sprawę z beznadziejności położenia, i w miejsce nadziei i optymizmu przyszła apatia. Powstanie chyliło się do nieuniknionego końca.

Na zakończenie tych krótkich wspomnień wolno postawić pytanie, czy rzeczywiście należało kapitulować już wtedy, tj. z początkiem września, czy też słuszną była decyzja zwlekania do zupełnego wyczerpania sił z końcem tego miesiąca. Możliwe, że w razie wcześniejszej kapitulacji propaganda sowiecka twierdziłaby, że Armia Krajowa skapitulowała nie doczekawszy pomocy rosyjskiej i zajęcia Pragi. Tak czy inaczej wiemy, że pomocy sowieckiej nie było (akcja lotnicza i zrzućty w drugiej dekadzie września nie mogą być traktowane jako poważne wsparcie) a przedłużanie walk pociągało za sobą tylko dalsze straty życia ludzkiego. Jeżeli chodzi o warunki to należy przypuszczać, że z chwilą uznania A.K. za kombatanów, byłoby one korzystniejsze w razie wcześniejszej kapitulacji. Niemcom zależało na szybkim zakończeniu walk, które przynosiły im znaczne straty. Tylko największej wagi momenty polityczne mogły usprawiedliwić przydłużanie akcji, której każdy dzień przynosił ogromne ofiary istnień ludzkich, nie mówiąc o dalszym niszczeniu miasta. Decyzja kontynuowania walki w tym stadium powstania może być wytłumaczona chyba mało realnymi — nawet w świetle ówczesnych doświadczeń — nadziejami na uwolnienie miasta od nacisku niemieckiego przez szybką ofensywę sowiecką.

Można także z doświadczeń tych jeden wyciągnąć morał: decyzje polityczne trzeba podejmować w odpowiednim momencie. Psychologicznym momentem do wcześniejszej kapitulacji były właśnie dni od 5 do 10 września. Potem demonstracje powietrzne sowieckie i alianckie tak zmieniły nastroje, że trudno byłoby przez pewien czas krok taki przeprowadzić. Trzeba było zdecydować się u kresu sił, po dalszych tygodniach strat i zniszczeń.

Z marszałkiem Rydzem-Śmigłym w Rumunii

Jako bodaj jedyny żyjący świadek internowania i ucieczki spod straży rumuńskiej śp. marszałka Rydza-Śmigłego poczuwam się do obowiązku spisania i opublikowania moich wspomnień z tego okresu. Nie dla nasycenia ciekawości czytelników czy wybielania lub oczerniania kogokolwiek, lecz celem dania świadectwa prawdzie, tak często, świadomie czy nieświadomie, wypaczanej.

W mojej relacji nie będzie ani retuszu upiększającego czy dramatyzującego, ani przemilczeń. Obejmie ona wszystko, co zapamiętałem. Nic więcej i nic mniej! Dobieranie jaskrawszych kolorów i rzucanie światła i cieni pozostawiam ludziom pióra.

Relacja moja nie będzie niestety kompletna, choć towarzyszyłem Marszałkowi bez przerwy od przekroczenia granicy polsko-rumuńskiej do Jego ucieczki. Wszystkie, bardzo szczegółowe, zapiski trzeba było zniszczyć, gdy groziła rewizja. Niemniej wydaje mi się, że szczegóły zapamiętane odtwarzają tok wydarzeń dostatecznie wiernie i plastycznie.

Gehenny uczuć i myśli, jakie w tym okresie miotają Marszałkiem, oczywiście odtworzyć nie potrafię i nie próbuję gdyż nie byłem Jego powiernikiem. Mimo bardzo miłego stosunku Marszałka do mnie i całego otoczenia dzielił nas zbyt wielki dystans, by mogło być inaczej. Zresztą, w miarę przedłużania się internowania, Marszałek zamykał się coraz bardziej w sobie.

Okres, o którym piszę, należy do najtragiczniejszych, ale i do najszczytniejszych mojej służby wojskowej. Gdy w roku 1937 zostałem zupełnie nieoczekiwanie, mianowany adiutantem marszałka Rydza-Śmigłego jako Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych towarzyszyłem mu w wielu czynnościach urzędowych. Dziś jestem dumny przede wszystkim z tego, że wolno mi było przy nim pozostać także w okresie poniżeń i rozczarowań, gdy (podług własnych słów Marszałka) "góry zwały się" na niego.

Podróż Czerniowce-Craiova

Nie będę opisywać tragicznych chwil przekraczania granicy rumuńskiej. Opisały je i jeszcze opisać mogą pióra lepsze od mojego.

Po przekroczeniu mostu na Czeremoszu udaliśmy się do Czerniowiec. Po kilkugodzinnym postoju w pałacu biskupa prawosławnego, w którym przebywał także Pan Prezydent R.P., wyjaśniły się dalsze nasze losy i to w sensie najgorszym. Około południa, dnia 18. IX. minister Beck otrzymał zarządzenia rządu rumuńskiego przewidujące przewiezienie specjalnym pociągami p. Prezydenta do m. Bicz, a rządu do m. Słanic. Marszałek wraz z otoczeniem miał również tym pociągami wyjechać, jednak jego miejsce przeznaczenia nie zostało ujawnione. Dowie-

dzieliśmy się jedynie, że zostaniemy oddzieleni zarówno od p. Prezydenta jak od rządu. W tym celu skierowano nas do ostatniego wagonu.

Chmura detektywów obserwuje ten wyjazd na zstąpienie najwyższych dostojników polskich. Pociąg mknął znaną mi dobrze szlakiem przez żyzną równinę Mołdawii. W roku 1937 towarzyszyłem na tym szlaku Marszałkowi w podróży na uroczystości promocji ówczesnego następcy tronu, Michała. W pogodnym nastroju jechaliśmy wówczas pociągami królewskimi wraz z późniejszym regentem belgijskim Karolem i następcą tronu szwedzkiego. Królewskie gwardie oddawały honory. Od tego czasu upłynęły zaledwie dwa lata, a jak zmieniły się warunki podróży i protokoły!

Po obiedzie następuje pożegnanie Marszałka z p. Prezydentem i członkami rządu. Drogi mają się rozdzielić i to, jak się później okazało, na zawsze. O miejscu przeznaczenia Marszałka dowiadujemy się ostatecznie od dowódcy pułku huzarów, pika ks. Sturduży, który melduje się jako oficer towarzyszący z ramienia sztabu rumuńskiego. Był to pierwszy i ostatni akt kurtuazji ze strony "sojuszniczej" Rumunii.

Pobyt w Craiova

Ponieważ docelowa stacja naszej podróży, Craiova, leży na południowo-zachodnim krańcu Rumunii, staje się jasna intencja rządu rumuńskiego oddzielenia Marszałka nie tylko od rządu, ale także od wojska naszego, które bądź już przeszło, bądź przejść mogło do Rumunii. Ujawnienie tego jest oczywiście dla Marszałka i nas wszystkich ponownym ciężkim ciosem. Mimo kapitalnego opanowania Marszałka widzę, jak cios ten nim wstrząsnął.

Po przybyciu do Craiova w dniu 19 września zostaliśmy skierowani do dużej, niezamieszkałej rezydencji, położonej w centrum miasta, tak zwanego pałacu Michail. Był to pretensjonalny pałac w stylu francuskim, posiadający dużą ilość salonów, arcynieuwodnie umeblowanych, ale nie posiadający podstawowych wygód i urządzeń. Ta nasza "rezydencja" była strzeżona przez posterunki policji. W hallu urzędował komisarz i dyżurni agencji Siquranzy. Obecność przedstawicieli tej sławnej instytucji upewniła mnie, że będziemy tu odcięci od świata. Zakomunikowano mi, że Marszałek może poruszać się także poza obrębem pałacu, że jednak policja musi być o jego ew. wyjściu uprzedzona by mogła zorganizować ochronę przed "możliwością gwałtownych wystąpień" ze strony polskich uchodźców. Jakiegokolwiek odwiedziny mogły mieć miejsce tylko za zezwoleniem rumuńskiego ministra spraw wewnętrznych. Mimo to już niebawem nasza rezydencja rozbrzmiewała hałasem podjeżdżających samochodów i zgłębkiem zgłaszających się gości. Był to kołowy rzut ścisłego sztabu Marszałka. Dotychczas przebywało z Marszałkiem tylko sześciu oficerów. Ten "najazd" nie zna-

laży aprobaty władz rumuńskich. Po kilku dniach, z rozkazu dowódcy korpusu, gen. Bunesu, skonfiskowano samochody, odebrano resztę broni przybyłym i odesłano gros oficerów i szeregowych do obozów. Rząd rumuński zezwala na pozostawienie przy Marszałku tylko dwóch oficerów, lekarza, sekretarza, dwóch kierowców i służącego. Spośród oficerów Marszałek postanawia zatrzymać pika Wendę i mnie. Wobec tego odchodzą pułkownicy Brochwicz-Lewiński i Münnich, major Kaciukiewicz, rtm Mańkowski i inni. Rozstanie się z tymi starymi współpracownikami było oczywiście przykrym przeżyciem. Jako lekarz pozostał na razie ppłk. dr Cianciara, który później w Dragoslavele uzyskał swobodę ruchów, zaś jako sekretarz, inż. Karol Wędziagolski, który po kilku miesiącach wyemigrował do Brazylii.

Krótki pobyt w Craiova oczywiście był wypełniony pracą. Marszałek opracował tutaj ostatni rozkaz do wojska, protest do rządu rumuńskiego w związku z konfiskatą broni i sprzętu polskich sił zbrojnych i wiele innych memoriałów, listów itd. Szczególnie ożywiona była korespondencja z p. Prezydentem R.P. oraz ze sztabem francuskim. Nim Marszałek złożył rezygnację z obowiązków Naczelnego Wodza, próbował utrzymać kontakt także z walczącą Warszawą i próbował zająć się tworzeniem W.P. we Francji, mianując dowódcą tamtejszego wojska generała Burhardt-Buckackiego, przebywającego we Francji od początku wojny. Nominacja ta pozostała nominacją papierową.

Sprawa utrzymania czy nawiązania kontaktów ze światem zewnętrznym ułożyła się stosunkowo pomyślnie dzięki garstce oddanych i życzliwych ludzi. Specjalną rzutkość i ofiarność wykazał na tym polu b. wiceminister Komunikacji, śp. Julian Piasecki, który wielokrotnie docierał do Marszałka i przedzierał się do Francji i na Węgry. Później stał się on głównym promotorem i realizatorem przeprowadzenia Marszałka z Węgier do Kraju. Ponieważ Craiova niebawem znalazła się na szlaku masowej ewakuacji polskiej do Francji, ilość kontaktów się zwiększyła. Okoliczność ta stała się prawdopodobnie przyczyną nagłej decyzji rządu rumuńskiego przeniesienia Marszałka do miejscowości bardziej izolowanej. Wybór padł na okolicę Campulung w Alpach Transylwańskich. Przetransportowanie nastąpiło w październiku 1939 roku. Przejazd na dworzec w Craiova odbył się wśród gęstych szpalerów policji. Po dotarciu do Campulung samochody przewiozły nas do odległego o 20 km Dragoslavele.

Pobyt w Dragoslavele

Nowe miejsce internowania było letnią rezydencją Patriarchy kościoła rumuńskiego i b. regenta Rumunii, śp. Mirona Christea. Ta posiadłość Patriarchy, składająca się z małego, białego dworku w stylu rumuńskim, większego domu w stylu bizantyńskim i stróżówki, leżała na stoku górskim opadającym ku dolinie rwącej, górskiej rzeki Dambovitza. Po drugiej stronie rzeki,

na przeciwnym stoku górskim, leżała wieś Dragoslavele, rozciągnięta wzdłuż jedynej w tych okolicach szosy Campulung - Brasow.

Mimo piękna krajobrazu i rześkiego powietrza górskiego pierwsze wrażenie było przygnębiające. Zdaliśmy sobie sprawę z tego, że jesteśmy tutaj jakby pogrzebani: odcięci od świata i skazani na bezczynność. Sytuacja Marszałka była szczególnie ciężka i drażliwa. Nie tylko wobec brzemienia ciężkiej na nim odpowiedzialności, ale także wobec stanowiska rządu rumuńskiego który, obiecując stopniowo wypuszczenie na wolność b. Prezydenta, członków b. rządu oraz wojska, podkreślał, że b. Naczelnego Wodza będzie trzymać pod strażą do końca. Ponadto nadchodziły kilkakrotnie z Bukaresztu bezpośrednie i pośrednie ostrzeżenia, dające się streścić w słowach: niech ręka Boska strzeże przed jakąkolwiek próbą ucieczki, bo byłaby ona katastrofą dla wojska i dla uchodźców cywilnych. Ostrzeżenia te przykuwały Marszałka do miejsca internowania, póki ewakuacja wojskowa nie była skończona. Nie mógł jej szkodzić.

W białym dworku, w którym zostaliśmy zakwaterowani, rozpoczęły się długie i monotonne dni skracane dalekimi spacerami. Spacery te miały równocześnie zapoznać nas z terenem i utrzymać nas w jakiejś formie fizycznej. Oczywiście asystowała nam policja. Raz na tydzień odbywała się wyprawa do Campulung po zakupy artykułów spożywczych. Mimo dodawania nam eskorty wyprawy te stwarzały okazje do nawiązania kontaktów z uchodźcami polskimi. W stosunkowo krótkim czasie znaleźliśmy tam wysoce wartościowych współpracowników w osobach dziekana Edmunda Z. oraz pułkownika Romualda N., mieszkających w Campulung na swobodzie jako osoby "cywilne". Pułkownik N., zwany przez nas Romciem, opanował już biegle język rumuński i nawiązał liczne kontakty. Ze względu na to i ze względu na jego wygląd, przypominający miejscowych cyganów, nadawał się szczególnie do wszelkich poufnych funkcji.

Dziekan uzyskuje pozwolenie na odprawienie mszy św. w dworku Dragoslavele i na zabieranie ze sobą "Romcia", jako organisty i kościelnego. Ich wizyty oraz rzadkie odwiedziny Juliana Piaseckiego, kpt. Wragi-Niezbzyckiego oraz pani Vasilii, siostrzenicy i spadkobierczyni Patriarchy, były jedynym urozmaicheniem w życiu Marszałka i naszym. Osoby te dały początek małej organizacji, która stała się konieczna dla przeprowadzenia ucieczki, planowanej "wbrew nadziei" na termin późniejszy. Z czasem organizacja ta objęła również kilka osób spośród ludności tubylczej.

Spacery urwały się niestety niebawem wskutek srogiej zimy i wzmózionej ochrony. Ochronę tę objął pluton żandarmerii pod dowództwem oficera, bardzo często zmienianego. Z wielkim żalem żegnamy w tym czasie towarzyszy niedoli, pika dr Cianciarę i inż. Wędziagolskiego. Ubywa również jeden kierowca. Dobrze przynajmniej, że dr Cianciara może osiedlić się w po-

bliskim Campulung i stamtąd opiekować się zdrowiem Marszałka, które coraz więcej szwankuje.

Ciężkie ciosy, które spadły na Marszałka, nie mogły nie odbić się fatalnie na stanie jego zdrowia. Pomimo wrodzonej sprężystości i pogody oraz pomimo opanowania i niezłomnej wiary w słuszność swej decyzji i ostateczne zwycięstwo, coś się psuło w doskonałym do niedawna organizmie Marszałka. Szczególnie często i coraz częściej skarży się on na ostre bóle w kiszkiach. Musieliśmy wielokrotnie wzywać lekarzy, płków Cianciare i Dietricha. Objawów późniejszych dolegliwości serca wtedy jeszcze nie było. Ponawiające się coraz częściej bóle w kiszkiach wpływały oczywiście ujemnie na pogodną atmosferę, którą Marszałek normalnie wytwarzał. Toteż dni i wieczory stawały się coraz dłuższe i cięższe.

Zadawałem sobie wówczas często pytanie, czy w tych warunkach Marszałek może wytrzymać ogromne trudy i niewygody związane z ucieczką i ukrywaniem się w Kraju. Zapytywałem się również, czy nawet przy lepszym stanie zdrowia ryzykowny plan Marszałka ma jakiejkolwiek szanse powodzenia. Na oba te pytania odpowiadałem stale i stanowczo "nie". Nie wpływało to oczywiście na kontynuowanie przygotowań.

W tym ciężkim okresie odżył w Marszałku zapał do pędzla. Zaczął malować z prawdziwą pasją — szkice, akwarele, olejne obrazy. Powstaje poważny zbiór portretów i krajobrazów miejscowych, świadczący o pogłębieniu się malarskiego talentu Marszałka. Portret mój i parę obrazów, które dostałem od Marszałka w prezencie, ocalały i są w posiadaniu mojego brata w Stanach Zjednoczonych. Większa część zbioru znajduje się prawdopodobnie jeszcze w Libanie.

Resztę wolnego czasu poświęca Marszałek opracowaniu obszernego sprawozdania ze swej działalności w okresie przedwojennym, studiowaniu rozwoju sytuacji aktualnej, lekturze i rozmowom. Od czasu do czasu pisze listy (wysyłane w sposób zakomspirowany) i nawet wiersze, których część została w "Kulturze" opublikowana. Gazet nie otrzymywaliśmy oficjalnie, toteż jedynym stałym źródłem informacji było radio.

Tak przeżywamy:

- upadek Francji, która nie skorzystała ani z naszej walki, ani z naszych doświadczeń,
- wkroczenie bolszewików na Bukowinę i do Besarabii,
- abdykację i ucieczkę króla Karola, żeganego salwami k. m. gardzistów,
- wyjazd ambasady R.P. z Rumunii, wreszcie
- wkroczenie Niemców do Rumunii.

Niemieckie czołgi i samochody spływały ze stoków Karpat ku południowi, defilując o kilkaset metrów od naszego dworku.

W całej Rumunii odbywają się krwawe porachunki gardzistów z członkami poprzednich rządów i przywódcami partii zwalczających "Żelazną Gwardię". Jednego dnia zarżnięto 70 osób w więzieniu Gilawa, m. i. b. ministrów i przedstawicieli

nauki jak profesor Jorga. W wiosce Dragoslavele ukazują się ulotki i odezwy, nawołujące do zemsty nad zwolennikami i rodziną b. regenta-patriarchy, w którego domu mieszkamy. Trzeba się liczyć z wizytą niebezpiecznych gości lada dzień.

Istotnie, pewnej nocy słyszymy strzelaninę pod oknami domu oraz jakieś jęki a nazajutrz zauważamy kałużę krwi na progu głównego wejścia. Dowództwo żandarmerii udziela na moje pytania wymijających lub kłamliwych wyjaśnień i zarządza rewizję wśród — Polaków w Campulung, oczywiście bezowocną.

Tymczasem "Romcio", który od paru miesięcy myszkował wzdłuż granicy rumuńsko-węgierskiej, przygotował "bezpieczne" przejście. Dyskretnie i systematycznie przerzucamy część bagażu do Campulung. Mniej szczęśliwie rozpoczyna się przygotowywanie fałszywych dokumentów. Dr S., zacy lekarz miejscowy wyznania mojżeszowego, jadąc w tej sprawie do Bukaresztu, wpada w ręce Siguranzy — razem z naszymi fotografiami. W wyniku bardzo "humanitarnych" badań wraca ze złamaną ręką i w stanie zupełnego wyczerpania. Na szczęście fotografie nasze nie zostały zidentyfikowane. Wyspa ta opóźniła nasze przygotowania. Dalszą zwłokę spowodowały zmiany personalne na granicy.

Wreszcie termin ucieczki zostaje ustalony na dzień 15 grudnia 1940. Odbywamy z Wendą i "Romciem" ostateczną konferencję. Omawiamy na niej dokładnie wszystkie szczegóły techniczne oraz podział ról. Pod koniec dochodzimy do wniosku, że w lokalnych warunkach i wobec wielkiej odległości granicy węgierskiej ucieczka udać się może tylko, o ile któryś z nas zostanie na miejscu dla odwołania terminu jej wykrycia. Podejmuję się tej funkcji dobrowolnie i melduję o tym Marszałkowi. Przyznaje nam rację i przyjmuje moją gotowość. Zgadza się również na to, by wymknął się jako pierwszy i by płk. Wenda i kierowca Henryk K. dopiero nazajutrz podążyli jego śladami.

Ucieczka

Dnia 15 grudnia rano dziekan Z. odprawia mszę św. za pomyślność niebezpiecznej wyprawy i pozostaje wraz z Romciem na obiedzie. W ich towarzystwie i na ostatnich przygotowaniach upływa nam ostatni dzień Marszałka w Dragoslavele.

Dla niepoznaki ubieramy Marszałka w kombinezon samochodowy i rumuńską czapkę barankową w której zaszyte są pieniądze na "czarną godzinę". Z zadowoleniem stwierdzam, że sylwetka Marszałka zmieniła się nie do poznania. Więcej kłopotu mamy z buławą marszałkowską. Marszałek nie chce z nią się rozstać i postanawia zabrać ją ze sobą w stanie zdemontowanym. Demontaż ten udaje się nam, zanim zmierzchn zapadł.

Gdy mrok wieczorny ogarnął świat następuje smutna chwila rozstania. Płk. Wenda zajmuje rozmową wartownika przy drzwiach frontowych. Drugim wartownikiem (przy bramie wjazdowej) zaopiekował się już kierowca Henryk K. Dowódca plu-

tonu żandarmerii, por. G., któremu zaaplikowaliśmy poprzedniego wieczoru odpowiednią dawkę polskiej "Wyborowej" jest na razie niegroźny. Choruje, jak dowiedzieliśmy się później, na hemoroidy. Reszta żandarmów na kwaterze lub we wsi.

Korzystając z tego stanu przeprowadzam Marszałka przez kuchnię na drugą stronę domu. O kilkanaście metrów od drzwi kuchennych trzeba przedostać się przez druty kolczaste (oczywiście w przygotowanym miejscu), potem zejść po dość stromym zboczu do rzeki i przekroczyć ją w bród w butach rybackich, złożonych w umówionym miejscu w lesie. Następnie trzeba przejść około półtora kilometra wzdłuż rzeki do szosy i poczekać przy charakterystycznym drzewie na samochód, który dokładnie o godz. 18-tej zbliży się od strony Bukaresztu. Kierowcą płk. K.-W., jeden z licznych współpracowników Romcia dostarczy skromnego wędrowcę nauczyciela ciężką górską drogą do kryjówek na granicy, gdzie połączą się wszyscy uczestnicy.

Po przejściu drutów Marszałek ściska po raz ostatni moją rękę i znika samotnie wśród mroków wieczoru i lasu. Zawieszam szybko druty, wracam cicho do domu i sygnalizuję Wendzie, że I. akt ucieczki zakończony. W zrozumiałym podnieceniu obserwujemy przez okno dolinę rzeki i szosy. Wreszcie po długich pozornie chwilach wyczekiwania ukazują się światła samochodu i — zatrzymują się w wiadomym miejscu. Westchnęliśmy z największą ulgą.

Byle teraz zbyt szybko nie wykryli nieobecności Marszałka w dworku a co najmniej do granicy węgierskiej się dostanie.

Ponieważ dnia tego chory dowódca żandarmerii nie przeprowadził, jak zwykle, kontroli obecności mieszkających w dworku, tym pewniejsza wydaje nam się jego wizyta w dniu następnym. W związku z tym płk. Wenda, który ma nazajutrz uciekać, zaczyna tracić nadzieję, by i jego ucieczka się udała. Na szczęście obawy nasze okazały się niesłuszne. Nazajutrz nasz "opiekun" nadal nie wstaje z łóża boleści i nie poleca komukolwiek innemu przeprowadzić kontroli. Jedynie dzięki temu udaje się także ucieczka płk. Wendy. O zmierzchu powtórzyłem ten sam manewr, wypuszczając go przez druty, przy czym jedynie dzielny kierowca Henryk K. mógł zabawić jednego z wartowników. Z jego wypuszczeniem nie było kłopotu. Jako osoba cywilna mógł swobodnie wychodzić poza ogrodzenie posiadłości Patriarchy. Skorzystał z tego prawa skwapliwie i dołączył do płk. Wendy.

Pozostałem sam! Odziedziczony "w spadku" kamerdyner Feliks, który jako nie-wtajemniczony otrzymał na 24 godziny "wychodne", wpadł w rozpacz, gdy po powrocie z wycieczki zauważył nieobecność Marszałka i płk. Wendy. Na szczęście udało mi się uspokoić go dość szybko i obietnicą mojej opieki uzyskać jego lojalną współpracę. Trzeba było wspólnie markować ruch w domu, palić stosy korespondencji, komunikatów, przenieść część rzeczy na wioskę itd. Pomógł mi on także w topieniu

głównych części pamiątkowego Rolls-Royce'a, odziedziczonego po śp. Marszałku Piłsudskim. Zależało mi na tym, by Rumuni nie mogli go uruchomić. Po zakończeniu wszystkich tych czynności wychodzę w pelerynie i kapeluszu Marszałka na balkon, by na oczach "czujnych" posterunków rumuńskich odbyć tam jego tradycyjny spacer. Rzecz jasna, że zrobiłem to samo dnia poprzedniego, po ucieczce Marszałka.

Podobny kamuflaż odnosi pożądaną skutek także dnia 17 grudnia.

Bomba pęka dopiero 18 grudnia w południe, gdy porucznik żandarmerii powstał z łóża boleści. Gdy odkrył nieobecność obu głównych swoich "pupilów", wpadł w istny paroksyzm szału. Na wszczęty przez niego alarm zjeżdża wieczorem kilkunastu żandarmów z Campulung czy nawet Bukaresztu. Pod wodzą powiatowego komendanta przewracają cały dom do góry nogami i przeprowadzają wstępne dochodzenia. Równocześnie napływają do wsi agenci Siguranzy i nowe posterunki żandarmerii zjawiają się na każdym rogu domu i w salonie. Nie potrzebuje chyba dodawać, że zostałem niebawem aresztowany. Nie wywieziono mnie przez cały tydzień, ponieważ śledztwo toczyło się na miejscu i ponieważ Rumuni przypuszczali, że nastąpi próba wykradzenia mnie. Śledztwo prowadzili coraz to wyżsi dygnitarze żandarmerii, zresztą w przyzwoitej formie. Zjawił się nawet główny dowódca żandarmerii — generał Topor, który przesłuchiwał mnie przez siedem godzin. Pościg za Marszałkiem skierowano, jak inspirowałem, głównie, na kierunki wiodące ku Constanzy i Jugosławii.

Ponieważ wyniki wstępnych dochodzeń nie zadowolili najwyższych sfer w Bukareszcie, przewieziono mnie do stolicy, gdzie w centrali Siguranzy poddano mnie mniej poprawnym badaniom, trwającym znów przez tydzień. Gdy i te badania nie doprowadziły do pożądanego rezultatu, przekazano mnie do zakonspirowanej siedziby "Serviciul Secret", współpracującego ściśle z "Gestapo". Tam przystąpiono do prób wymuszenia mych zeznań gwałtem. Po miesiącu książe Ghica, wiceminister spraw wewnętrznych, obiecuje mi solennie, że wypuści mnie z Rumunii, o ile ujawnię ściśle, pod jakim nazwiskiem, dokąd i przy czyjej pomocy Marszałek uciekł. Powoływał się przy tym na to, że zeznania moje są natychmiast potrzebne samemu dyktatorowi, gen. Antonescu, bo Niemcy podejrzewają, że rząd rumuński pomógł Marszałkowi w ucieczce. Oczywiście, nie pomogły ani prośby, ani groźby wystraszonego dygnitarza rumuńskiego, jak nie pomogły ordynarniejsze zabiegi agentów "Serviciul Secret". Pytania te pozostały bez odpowiedzi.

Niemal natychmiast po ujawnieniu ucieczki Marszałka nie-szczesny dowódca pilnującego nas plutonu żandarmerii, serdecznie przez nas wszystkich nie lubiany, został zaaresztowany i skazany na degradację i 5 lat więzienia za "niedogład i przekupstwo". To ostatnie oczywiście nie miało miejsca.

Ucieczką Marszałka zainteresował się również sam dykta-

tor Antonescu. Już 20 grudnia odbyła się u niego odprawa przy udziale ministra spraw wewnętrznych, gen. Petrovisescu, dowódcy żandarmerii, wiceministra księcia Ghica i dyrektora Siquranzy. Rezultatem jej były ostre uchwały Rady Ministrów i rygorystyczne zarządzenia władz bezpieczeństwa. W styczniu wybuchła w Bukareszcie krwawa rewolta skrajnych elementów "Żelaznej Gwardii" pod dowództwem Choria Sima, którego popierał książę Ghica i cała Siquranza. Po stłumieniu tej rewolty przez dyktatora gen. Antonescu złożyłem na jego ręce zażalenie na środki i metody stosowane wobec mnie przez organa księcia Ghica, a nie różniące się od metod Gestapo czy Czerezwydzajki. Otrzymałem — o dziwo — odrębną odpowiedź samego Dyktatora. Brzmiała ona mniej więcej następująco; "Nigdy nie pozwalałem sobie na podobne metody wobec cudzoziemców, lecz zarządzenia moje nie były przez Siquranzę przestrzegane. Winni zostali już aresztowani. Teraz jest Pan w dyspozycji władz niemieckich i winien udać się tam, dokąd te władze Pana skierują".

Istotnie wsadzono mnie do pociągu niemieckiego. Wbrew decyzji rumuńskiego dyktatora oczywiście nie miałem zamiaru udać się tam, dokąd Niemcy mnie skierują. Udało mi się szczęśliwie zbiec z pociągu niemieckiego w Targu-Giu i przedostać do Turcji. Z Turcji przesłałem Marszałkowi, przebywającemu jeszcze wtedy na Węgrzech, szczegółowe sprawozdanie z epilogu jego ucieczki. Był to mój ostatni meldunek!

Reakcja czynników polskich

Wydostanie się b. Naczelnego Wodza na wolność nie spotkało się, jak było do przewidzenia, z aprobatą czynników rządowych w Londynie. Wszystkie polskie placówki na kontynencie otrzymały nakaz pilnego śledzenia utartych szlaków ewakuacyjnych i unieruchomienia Marszałka w bezpiecznym miejscu, np. na Cyprze. Stugębna plotka utrudniła niewdzięczne zadanie tych placówek, zwłaszcza na Bliskim Wschodzie. Początkowo puszczono umyślnie plotkę, że Marszałek przedostał się do Jugośławii. Nieco później "widziano" go w Konstantynopolu lub w małym tureckim porcie rybackim na południowym brzegu Czarnego Morza, przez które "przedostał się" bezpośrednio z Rumunii. Nie dziw, że oczekiwano Marszałka w Adanie i Mersynie a następnie w Palestynie. Minister Kot miał już nawet jako dowód ukrywania się Marszałka w Palestynie (w okolicy Jerozolimy) list jednego z uchodźców, pisany ręką Marszałka. Nie dziw, że nakazuje ukarać surowo winnych niedogładu lub współpracy. Gdy poszukiwania w Palestynie nie dały rezultatu, rozeszła się ostatecznie wiadomość, że Marszałek przemknął się przez Egipt do Południowej Afryki. Nikt nie domyślał się, że plotki te były celowo rozsiewane, by "zmylić pogonię", i nikt (poza wtajemniczonymi) nie przypuszczał, że Marszałek nie

uciekł dla ratowania swego życia, lecz jedynie dla ponownego podjęcia walki.

Ostatni etap

W międzyczasie Marszałek ukrywał się pod przybranym nazwiskiem na Węgrzech (pod Budapesztem), czekając na przetarcie mu drogi do Polski i Warszawy przez śp. Juliana Piaseckiego i jego pomocników. Wrócił do Kraju po kilku miesiącach kluczenia i przekradania się, wycieńczony i sterany, ale niewątpliwie szczęśliwy, że mógł znów stanąć na polskiej ziemi i swoim powrotem wykazać wszystkim oszczercom, że pozostał tak samo rzeźnym żołnierzem jakim był za czasów walk legionowych i wyzwolenczych.

Po rząd dusz z pewnością sięgać nie zamierzał, gdy znalazł się znów w Warszawie. Myślał tylko o współpracy w walce z najeźdźcą. Niestety, nie starczyło już na to ni sił, ni czasu. Zmarł, zanim zdołał nawiązać niezbędne kontakty i zanim szpicle zdołali wytopić jego obecność w stolicy.

Leży wśród swoich żołnierzy, wierny Polsce do zgonu jak oni.

Jerzy KRZECZKOWSKI.

EASTERN QUARTERLY

NIEZALEŻNE PISMO W JĘZYKU ANGIELSKIM
POŚWIĘCONE SPRAWOM EUROPY ŚRODKOWEJ
I WSCHODNIEJ, ROSJI ORAZ BLISKIEGO WSCHODU.

Numer lipcowy 1950 r. zawiera między innymi artykuły: Augusta Rei — The Prospects of a Truce with the Soviets. R. Wragi — Meaning and Consequences of the Communist victory in China. Gen. Pawła Szandruka — The Military Potential of the Ukraine. S. Gryziewicza — Post-War Agrarian Policy in Poland. Gen. K. Glabisza — Causes of the German Collapse in the 1941-1945 Russo-German Campaign. Antala Ullein-Reviczky'ego — A Wrongly Buttoned Waistcoat. F. A. Arciszewskiego — Russia in Carpathian Ruthenia and in Koenigsberg, oraz kronikę ważniejszych wydarzeń politycznych i przegląd książek.

Cena: 3/- za pojedynczy egz. (post free, Air Mail extra).

Wydawca: The Morven Press Limited,
32, Bolton Gardens, London S. W. 5 England.

Kongres Wolności Kultury

APEL KONGRESU DO INTELEKTUALISTÓW

ZZA ŻELAZNEJ KURTyny

«Uczestnicy Kongresu Wolności Kulturalnej, zgromadzeni w Berlinie zwracają się z następującym oświadczeniem do pisarzy, artystów i uczonych za żelazną kurtyną:

«Wielki konflikt szalejący dziś w świecie nie jest konfliktem między Wschodem a Zachodem. Nie jest to konflikt między narodami. Stanowczo odpieramy zarzut, jakobyśmy — przybysze z licznych krajów i różnych części świata — żywili nieprzyjaźń do narodów Rosji i krajów poddanych władaniu dyktatury stalinowskiej. Wprost przeciwnie: są między nami przedstawiciele tych narodów.

«Jesteśmy głęboko przekonani, że sprawa narodów cierpiących dziś pod jarzmem stalinowskiej dyktatury i sprawa zapewnienia całemu światu wolności oraz pokoju, to sprawy nierozdzielne.

«Każdy kto walczy o wolność przeciwko uciśkowi może liczyć na naszą bezgraniczną solidarność».

Rezolucja organizacyjna

przyjęta przez Kongres jednomyślnie

Kongres Wolności Kultury, zgromadzony w Berlinie stwierdza, że na przedstawicieli wolnej kultury ciąży historyczny i pilny obowiązek zainicjowania wielkiego ruchu opinii publicznej, który miałby na celu:

1) dbać o to, by we wszystkich bez wyjątku krajach szanowane były podstawowe swobody człowieka i bronić ich wszędzie, gdzie się je narusza.

2) wszczać przy pomocy wszystkich dostępnych środków publiczną akcję międzynarodową ze szczególnym uwzględnieniem rządów, zmierzającą do zapewnienia wolnej wymiany myśli i wszelkich form kultury między ludźmi i narodami. Tę wolną wymianę należy uznać za warunek jeżeli nie główny, to w każdym razie konieczny dla utrzymania pokoju.

3) piętnować uroczystie i publicznie wobec opinii międzynarodowej jako burzycieli pokoju wszystkie osoby i rządy utrudniające tę wymianę.

4) narodom, które przez swych władców zostałyby pozbawione tej wolnej wymiany, zapewnić wszelkimi środkami, by mogły słyszeć głos przedstawicieli wolnej kultury niezależny zarówno od stronnictwej propagandy jak i od rządów.

Dla realizacji celów, postawionych przez Kongres, konieczne jest, by wszyscy uczestnicy oraz ci, którzy się do nas przyłączą, uważali się za zmobilizowanych w służbie ideałów, którym dał wyraz manifest kongresowy i by poddali się w swym działaniu dyscyplinie organów wybranych przez Kongres.

Organa te są następujące:

1) Komitet międzynarodowy wyposażony w sekretariat generalny z siedzibą w Europie. Komitet ten będzie mógł dokooptować osoby, których udział w jego pracach wyda mu się pożądanym.

2) Ten komitet międzynarodowy ma za zadanie opracowanie w czasie jak najkrótszym wytycznych, na zasadzie których będzie się tworzyło i legalizowało komitety lokalne w każdym kraju.

Komitet międzynarodowy otrzymuje zlecenie, by na początek r. 1951 zwołał nowy Kongres, który zajmie się ostatecznym ustaleniem celów i metod działania.

KRONIKA BIEŻĄCA KONGRESU

Kongres Obrony Wolności Kultury zdecydował się nadać swej pracy charakter stały, wybrał następujące władze: **Komitet Honorowy** w skład którego weszli: Benedetto Croce, John Dewey, Karl Jaspers, Jacques Maritain, Bertrand Russell, **Komitet Wykonawczy** w osobach: Georges Altmann — Paryż, Raymond Aron — Paryż, Irving Brown — New York, Nicola Chiaromonte — Rzym, Eugen Kogon — Frankfurt, Arthur Koestler — Paryż, André Lafond — Paryż, David Rousset — Paryż, Carlo Schmid — Bonn, Ignazio Silone — Rzym. Do **Komitetu Międzynarodowego** weszli: Julian Améry, Margaret Buber-Neumann, James Burnham, Józef Czapski, Sidney Hook, Karl Kupka, Haakon Lie, Nicolas Nabokov, Boris Nikolaiewski, André Philip, Theodor Plievier, Herbert Read, Denis de Rougemont.

W sierpniu br. odbyło się pierwsze posiedzenie Komitetu Wykonawczego w Paryżu, gdzie zdecydowano:

1. Utworzenie stałego biura Kongresu w Berlinie (Meinecke Strasse 7, Berlin W. 15) i Paryżu (88-bis, Avenue Kléber, Paris 1^{er}).
2. Rozesłanie Manifestu jednomyślnie uchwalonego w Berlinie do 500 osób ze świata intelektualnego we Francji z propozycją podpisania. Podpisanie Manifestu zobowiązuje do czynnej współpracy z Kongresem na terenie zawodowym i międzynarodowym.
3. Przystąpienie do wydawania periodyku polityczno-kulturalnego w języku francuskim. Pismo to byłoby organem oficjalnym Kongresu. Pierwszy numer ukaże się w październiku br.
4. Wydanie w najbliższym czasie szeregu broszur.

Posiedzenie Komitetu Międzynarodowego odbędzie się w Brukseli między 13 a 16 października. Głównym tematem tego zebrania będzie uchwalenie statutu organizacyjnego Kongresu Wolności Kultury.

Ukazał się numer 22/23 za lipiec i sierpień miesięcznika "Der Monat" (którego redaktor Melvin Lasky był sekretarzem generalnym Kongresu) zawierający stenogram posiedzenia berlińskiego Kongresu ze streszczeniem wygłoszonych na nim referatów oraz dyskusji. W najbliższym czasie dokumenty te ukażą się również w języku francuskim.

Książki

Technika drukarska przeciw sklerozie przemysłu książkowego

Drugie wydanie swej "La ruine du monde antique" Georges Sorel zaopatrzył w przypisy odbiegające nieraz daleko od tematu książki. W jednym z nich odpowiada na pytanie, dlaczego w przyszłym ustroju komunistycznym nie przewiduje żadnego miejsca dla inteligencji, nawet dla inżynierów i techników. Wynałazki i ulepszenia techniczne rodzą się — zdaniem Sorela — same w zakładach przemysłowych, z chwilą powstania warunków opłacalności danego ulepszenia. Nie ma więc potrzeby szkolenia odrębnej grupy osób mających zajmować się wynalazkami technicznymi. Zdanie to uderza w ustach człowieka mającego w tym zakresie pewną kompetencję, ponieważ autor "Złudzeń postępu" był sam z zawodu inżynierem. Nie wiem czy Sorel obstawałby przy swym zdaniu dożywszy czasów bomby atomowej. O częściowej przynajmniej słuszności jego sądu można przekonać się zwiedzając pierwszą lepszą fabrykę przedsiębiorczą. Maszyny tych fabryk, to złożone, to znów genialnie proste, zmieniają się co kilka lat, ale nikt nie zna nazwisk ich wynalazców. Wiadoma jest co najwyżej nazwa fabryki wyrabiającej ten lub inny sprzęt i broniącej go częściowo patentami. Kto zresztą wynalazł piłę, kosę, wóz czy młyn? W starożytności przypisywano te pierwsze wynalazki siedmiu mędrcom lub najstarszym filozofom, Seneka wszakże wątpi, aby filozofowie zajmowali się na serio wynalazkami, chyba mimochodem, z litości dla strudzonych współobywateli.

Dawne lektury na ten temat przychodzą mi na myśl, kiedy patrzę na stojący przede mną vari-typer, nową maszynę zecerską wyrabianą od kilku lat przez Ralph C. Coxhead Corporation w New Yorku.

Jest to niewielki sprzęt, rozmiarem i formą podobny do dużej maszyny do pisania, łatwo przenośny, przejrzysty w konstruk-

cji, prosty w użyciu. Od zwykłej maszyny do pisania odróżniają go trzy właściwości. Odstępy między słowami są elastyczne i pozwalają się regulować mechanicznie tak, że wszystkie wiersze są jednakowej długości, jak w tekście złożonym na linotypie. Zamiast na papierze, vari-typer pisze na matrycach, z których w każdej drukarni można odbić nieograniczoną liczbę egzemplarzy; matryce te nadają się najlepiej do druku offsetowego, używanego coraz częściej do drukowania książek. Trzecią wreszcie osobliwością vari-typera jest wymiennność czcionek. Te ostatnie znajdują się nie na końcu klawiszy, jak w normalnej maszynie do pisania, ale na wygiętym kawałku bakelitu, który można dowolnie wyjmować i zastępować innym. Przejście z jednego rodzaju czcionek na inny, z jednego języka lub alfabetu na inny kosztuje tylko kilka sekund potrzebnych na zastąpienie jednej "type face" przez drugą. Składanie tekstów hebrajskich, perskich czy tybetańskich wymaga tylko posiadania "type face" z odpowiednim alfabetem. Fabryka Coxheada wyrabia już kilkakrotnie odmian czcionek w różnych językach i, zważywszy prostotę i niewielki koszt produkcji, może zapewne na zamówienie dostarczyć wszelkiego rodzaju czcionek dotąd nie używanych.

Vari-typer jest więc czymś pośrednim między maszyną do pisania i linotypem. Sporządzone na nim matryce najłatwiej nadają się do druku offsetowego, nie wykluczają jednak innych technik. Zależnie od wybranego systemu powielania matryce mogą mieć nadruk płaski lub wklęsły. Wymiennność i wynikająca stąd różnaitość czcionek stanowi przewagę vari-typera nad innymi maszynami zecerskimi.

Przyglądając się uważnie vari-typerowi można w nim dostrzec elementy różnych starszych wynalazków. Czcionki wymienne ułożone na wałku lub segmencie posiadały niektóre niemieckie maszyny do pisania już około 1910. Maszyn takich używano wówczas na Bliskim Wschodzie do pisania w językach o różnych alfabetach. Matryce zachowujących płaski lub wklęsły ślad czcionek znano już wiele. Vari-typer jest więc kombinacją różnych uprzednio znanych urządzeń i procedur technicznych, w nieco nowym zastosowaniu.

Mała maszyna offsetowa stanowi uzupełnienie vari-typera. Obie maszyny razem, dające się ustawić bez trudu w jednym, nawet niewielkim pokoju, tworzą kompletną drukarnię, w której, rozwiązawszy zagadnienie broszurowania, można drukować czasopisma i książki lub nawet pismo codzienne.

Dlaczego sprzęt ten pojawił się dopiero teraz, mimo że jego części składowe znane są już od dawna? Prospekt fabryki nie mówi o tym nic, ale znajduje się w nim wyraz wyjaśniający od razu wiele rzeczy. Vari-typer jest mianowicie "maszyną biurową", "sprzętem biurowym do powielania". Przedstawiciel fabryki pokazywał mi wprawdzie egzemplarz amerykańskiej gazety codziennej złożony całkowicie na vari-typerach, prospekt jednak nigdzie nie nazywa ich sprzętem drukarskim. Vari-typer

zatem, niejako *ex definitione*, uchyla się lub chciałaby uchylić się od działania ustaw, przepisów i umów odnoszących się do przemysłu drukarskiego. Jest krokiem przenoszącym drukarstwo z zakładu przemysłowego do mieszkania prywatnego, cofającym je z przemysłu do rzemiosła.

Kiedy powstała potrzeba takiego zróżnicowania i nowej klasyfikacji drukarstwa oraz znalezienia odpowiadającej temu techniki?

Heraklitowi przypisywano zdanie, że wojna jest matką wszelkich wynalazków. Zdanie to wydaje się słuszne, jeżeli chodzi o *vari-typery*. O ile mi wiadomo, pierwszym wielkim klientem firmy Ralph C. Coxhead była armia, pragnąca posiadać własny, przenośny sprzęt drukarski, niezależny od drukarni istniejących i związków zawodowych. Już podczas pierwszej wojny światowej armie usiłowały uniezależnić się od kolei i kolejarzy przez posiadanie własnego taboru automobilowego. Nabycie własnego sprzętu drukarskiego jest tylko dalszym krokiem na tej drodze. Armie różnych krajów posiadają już swe *vari-typery*. Za wojskiem poszły inne instytucje, powielające swe komunikaty na użytek członków i zainteresowanych i posługujące się dotąd naprzemiennie drukiem i powielaczem. Są to UNO, związki zawodowe itd. Studenci drukują na *vari-typerach* swe rozprawy doktorskie.

W trybie handlowym składanie na *vari-typerach* obniża koszty druku mniej więcej o połowę. Instytucje zatrudniające stały personel biurowy i osoby prywatne posługujące się *vari-type*rem na własny użytek mają oczywiście inną kalkulację. Koszty robocizny nie wchodzi dla nich w rachubę, i oszczędność wynosi dla nich 75 do 80 proc. Posiadacz *vari-type*ra i małej maszyny *offsetowej* płaci tylko papier i matryce.

Znajdujemy się więc w przededniu pojawienia się rzeczy od dawna nie widzianej, mianowicie druków prywatnych, nie liczących się z nabywcą i ich liczbą. Skutki takiej ewolucji mogą być ogromne i nie dadzą się od razu ogarnąć wzrokiem. W przewidywaniach możemy co najwyżej posługiwać się analogiami do zjawisk minionych.

Do połowy XVIII wieku, przy niewielkiej ilości czytelników, koszty druku pokrywali mecenas, których nazwiska figurują w dedykacjach najślawniejszych książek tego okresu. Autor liczył się wówczas tylko ze zdaniem jednego człowieka, który często wcale jego książki nie czytał. Dopiero ze wzrostem liczby czytelników powstały przesłanki do drukowania książek w trybie handlowym, dla nabywców pokrywających koszty druku i pozostawiających w rękach wydawcy — rzadziej autora — pewną nadwyżkę. Tryb taki każe wydawcy i w konsekwencji autorowi liczyć się z domniemanym zdaniem większości czytelników. Najkorzystniej więc byłoby wydawać same *best sellery*, i innych książek zapewne wcale by nie drukowano, gdyby istniał sposób na rozpoznanie zawczasu rękopisu, który dostąpi takiego

wyróżnienia ze strony "*hoi polloi*". Wzrost liczby czytelników i różnicowanie się przez się przez to ich gustów, a wreszcie i *novarum rerum* utrudniają wydawcom trafne przewidywanie. Jest to zapewne główna przyczyna, dla której obok podręczników szkolnych, romansów kryminalnych i powieści z happy end ukazują się także inne książki.

W końcu ubiegłego stulecia Samuel Butler mógł streścić w sposób następujący rady, udzielane przez doświadczonego pisarza młodszemu koledze i wychowankowi:

"Mniej zadowolony byłem widząc, że zajmuje się tematami poważnymi, niemal uroczystymi, i ceni tylko najpoważniejszy rodzaj muzyki. Powiedziałem mu, że niewielki zarobek, jakim Bóg nagradza poważne studia jest najlepszym dowodem, że je potępia, bądź też nie przywiązuje do nich żadnej wagi, w każdym zaś razie do nich nie zachęca. "Oh, nie mów o zarobku, odpowiedział. Patrz na Milтона, który za "Utracony raj" dostał tylko 5 funtów". "O wiele za dużo wtrąciłem żywo. Dałbym mu sam dwa razy tyle, aby tego wcale nie pisał". Ernest był trochę zgorzchniony. "W każdym razie, dodał, nie zamierzam pisać wierszy".

Mimo to ostatnie dwa stulecia wydały też wielką literaturę. Sprzyjała temu okoliczność, że zasady handlowe nie były nigdy stosowane do książki w sposób rygorystyczny. Szlachetna rasa mecenasów nie wygasła bez reszty, częściowo złuzowały ich fundacje naukowe, sami nawet wydawcy, przerażeni losami filmu lub znudzeni loterią *best sellerów*, bywali protektorami dobrej książki. Wreszcie wielkie drukarnie, zatrudniające stały personel, mogły sobie czasami pozwolić na drukowanie w wolnych godzinach książek poza normalną kalkulacją.

Ostatnie ćwierćwiecze zniosło większą część tych luzów. Niwelacja dochodów przy pomocy systemu podatkowego związała ręce ostatnim mecenasom. Dewaluacja pieniądza pochłonięła większość fundacji naukowych. Książka nie przeznaczona dla większości czytelników z trudem toruje sobie drogę. W krajach dobrze zagospodarowanych i nie znających wielkiego bezrobocia nikt nawet nie ma czasu na pisanie podobnych książek. Uzyśkania dla książki jakichś nowych luzów można było oczekiwać chyba tylko od radykalnego obniżenia kosztów druku. Z tej strony jednak nie było żadnej nadziei, kalkulacja bowiem drukarska składa się z samych sztywnych pozycji.

W tym całokształcie widać dopiero rozmiary przewrotu, jaki zdaje się zapowiadać *vari-typer*. Przewrót ten nie został jeszcze dokonany. *Vari-typer* jest na razie sprzętem drogim: kosztuje, zależnie od modelu i zapasu czcionek 1200 do 3.500 dolarów. W cenach tych wyczuwa się jeszcze środki, jakimi rozporządzali jego pierwsi nabywcy i okoliczności, w których narodził się ten wynalazek. Masowa produkcja i ekspirowanie patentów obniży zapewne cenę *vari-typerów* do ceny maszyn do pisania.

Pisząc o *vari-typerach* mam przede wszystkim na myśli ich

przydatność dla emigrantów. Pisarze i wydawcy emigracyjni skazani są z natury rzeczy na niewielkie nakłady. Znajdując się na obczyźnie nie potrafią w swym języku wyprodukować żadnego best sellera, i normalna kalkulacja wydawnicza do nich się nie odnosi. W granicach tej kalkulacji skazani są na produkcję deficytową, która prędzej lub później musi pochłoniąć ich niewielkie środki. Resztki oszczędności emigranckich przejdą w ten sposób do jednej z najzamożniejszych na Zachodzie gałęzi przemysłu, mianowicie do branży drukarskiej. Wówczas nastąpi okres wielkiego milczenia emigracji. Taki był los emigracji rosyjskiej, która w 1921 - 1923 posiadała przeszło 300 zarejestrowanych przedsiębiorstw wydawniczych z odpowiednią produkcją druków, w dziesięć zaś lat później z rzadka tylko mogła sobie pozwolić na wydanie paru skromnych tomików. Żaden z pisarzy emigracyjnych nie może pochwalić się zarobkami mogącymi się równać z zarobkami zecera. Dlaczego więc emigranci nie mieliby drukować sami swych książek i czasopism? Nabyćcie zawczasu pewnej ilości vari-typerów wydaje się jedyną drogą do utrzymania przy życiu piśmiennictwa emigracyjnego i do ucieczki od wielkiego milczenia.

Leon FURATYK.

O powszechność w cierpieniu

Myślę, że książka E. M. Ciorana pt. "Précis de décomposition" (NRF — Gallimard) jest typowym produktem "zgnilizny burzawego świata kapitalistycznego". Ale myślę również, że wielkość owego zgnilego świata kapitalistycznego polega na tym, że tego rodzaju książki publikuje, interesuje się nimi, komentuje je, a nawet przyznaje im nagrody.

Emil Cioran jest pochodzenia rumuńskiego i książkę swą napisał po francusku. Rok rocznie specjalnie wyszukane grono pisarzy i intelektualistów rozpatruje w Paryżu cały szereg manuskryptów napisanych po francusku przez cudzoziemców i wybawczy najlepszy spośród nich przyznaje mu nagrodę imienia Rivarola. Rozpiętość gatunkowa manuskryptów tych jest nieograniczona i obejmować może równie dobrze powieści, tomiki poezji, essaye filozoficzne jak i sztuki teatralne. Do konkursu tego nie mogą jednak stanąć cudzoziemcy, których językiem ojczystym jest francuski jak na przykład Belgowie, Szwajcarzy czy Kanadyjczycy. Tego roku nagroda imienia Rivarola przyznana została Cioranowi.

Jest to oczywiście poważne wyróżnienie. Wyróżnienie, które nie jest tylko hołdem złożonym Cioranowi za jego kunsztowne i precyzyjne opanowanie francuskiego, lecz które jest także pew-

nego rodzaju uznaniem walorów artystycznych i intelektualnych jego książki. Otóż w tym drugim aspekcie sprawy udzielenia Cioranowi nagrody Rivarola, w tym właśnie uznaniu wartości intelektualno-artystycznych jego książki tkwi jakiś zdumiewający i fantastyczny akt rozrzutnej bezinteresowności. Książka bowiem Ciorana nie jest niczym więcej — tylko apoteozą samobójstwa.

Emil Cioran jest człowiekiem, który przekroczył już czterdziestkę, który w swoim czasie ukończył studia filozoficzne, a potem przez wiele lat pogłębiał jeszcze swą wiedzę filozoficzną i który posiada szeroką i wszechstronną erudycję pozwalającą mu oprzeć swe rozmyślenia na głębokiej i dokładnej analizie poruszanych tematów. Rozmyślenia więc jego, których jedynym i głównym dążeniem jest wykazanie bezbrzeżnej i absurdałnej nicości życia ludzkiego nie mają nic w sobie z młodzieńczego, pełnego rozpacz i podyktowanego pierwszymi rozczarowaniami buntu przeciwko zamkniętej w żelaznej obręczy bełtosnych praw naszej egzystencji. U Ciorana proces konstruowania protestu ma przebieg odwrotny. Najpierw jest zimna, spokojna obserwacja, stworzenie dystansu między sobą a poddanym analizie zjawiskiem, dążenie do uczuciowego oderwania się od zagadnienia, coś co można by nazwać próbami uprzedmiotowienia się i wreszcie nasunięta tym odsunięciem się nieunikniona i nieodwołalna reakcja uczuciowa rozlewającego się i wszystko obejmującego pesymizmu. O ile więc młodzieńczy bunt idzie od jakiegoś konkretnego uczuciowego rozczarowania do konstruowania rozumowego układu uzasadnień, o tyle bunt Ciorana wypływa z intelektualnych najzupełniej przesłanek i pozornie obiektywnych obserwacji. Tym też jest szerszy, dalej sięgający, jeszcze bardziej niszczyielski. Powiedziałbym — nieodparty gdyby w konkluzjach swych nie żądał on od nas tego, co nazwać by można było rozwinięciem uczulenia czy przeczulenia metafizycznego.

Jakie są jednak założenia, tezy i obserwacje Ciorana?

W książce swej Cioran przeprowadza kolejno i systematycznie analizę wszystkich poszczególnych aspektów naszego istnienia. Życie więc nasze widziane z z e w n ą t r z jest pustką niepotrzebnych, śmiesznych i zartuzumiałych aktów, których bezcelowość w obliczu nieustannie zbliżającej się śmierci ma charakter niezaprzeczalny, jest bezbrzeżną nudą wiecznie powtarzających się momentów, jest sumą tak zawrotnych cierpień, że tylko nasz brak pamięci i zanik naszej wyobraźni pozwala nam na przetrwanie, jest samotnością wyrosłą na cierpieniu. A dalej, stosunki między ludźmi — to zakłamanie i fałsz podyktowane poczuciem elementarnej przyzwoitości, postęp duchowy — to tylko umiejętne wprowadzenie wariantów w posługiwaniu się przymiotnikami, przeznaczenie — to terminologia stworzona przez pokonanych, nadzieja — atrybut niewolników, życie pozagrobowe i Bóg — wymysł pyśzałków, którzy nie chcą pogodzić się z własnym zanikiem. I

tak w ciągle rozwijającym się szeregu błyskotliwych zestawień i świetnych paradoksów Cioran na przestrzeni całej swej książki prowadzi swą pracę systematycznego rozbierania wszystkich elementów naszej egzystencji, by nią nie pozostawić, by nie zatrzymać się na niczym. Bezbrzeżna pustka naszego absurdalnego istnienia widnieje we wszystkim. I życie nasze znieść jesteśmy w stanie tylko dlatego, że dysponujemy wspaniałą możliwością zlikwidowania go w każdej chwili. Jedynie świadomość tego pozwala nam na przebrnięcie przez ten koszmar brudu, kłamstwa w stosunku do siebie i innych, bezmyślnego okrucieństwa i niepotrzebnego zużytkowywania energii, którym jest nasz świat.

Cioran po przeprowadzeniu konstatacji tych, odkrytych na pewno nie dzisiaj i nie wczoraj — cierpi. Chciałby zamienić się w głaz, przeistoczyć się w nieczułą na nic materię. Tęskni za porankami bez słońca, za przestrzeniami nieruchomych oceanów, marzy o poddaniu się fali wszystko niweczącego lenistwa. Chce oderwania się od męki istnienia.

Jak widzimy rozumowa obserwacja otaczającej rzeczywistości doprowadza Ciorana do zwiększenia własnego cierpienia. Lecz w cierpieniu tym czuje się on samotny. Bo cierpienie jego wybudowuje mur między nim a innymi ludźmi, bo ci inni nie umieją i nie potrafią wznieść się na wyżyny metafizycznego odczucia położenia człowieka. Gdzież są ci, którzy potrafią wyciągnąć wnioski z nauk dostarczonych przez astronomię i biologię, gdzie jest człowiek, który by zdecydował się na nieopuszczenie swego łóżka w dowód protestu czy pokory w stosunku do niekończących się przestrzeni międzyplanetarnych czy zjawisk przyrody? — woła Cioran. I gdzież jest taki człowiek, który miałby na tyle odwagi, by nic nie robić wiedząc, iż każdy gest jest śmieszny w obliczu nieskończoności? Takich ludzi nie ma. Samotność i cierpienie wywołane samotnością zwiększa się. I tak zamyka się to błędne koło.

A dodajmy jeszcze to. Każda ideologia, łącznie z chrześcijaństwem prowadzi do fanatyzmu, inkwizycji, rozlewu krwi i nietolerancji, każde przywiązanie wyradza się w niszczyielską pasję, każda miłość ideału niesie uwielbienie ołtarza, strach przed schizmą i potrzebę ofiar. A myśli abstrakcyjnych i neutralnych nie ma. Ludzie bez adorowania czegoś żyć nie mogą. Historia to pochodź bezmyślnych okrucieństw, a wielkość bohaterów mierzy się ilością zniszczenia i trupów, które rozsiali naokoło siebie.

Gdzież więc należy szukać wyjścia, jaki mamy przed sobą ratunek? Odpowiedź i konkluzje Ciorana są niezmiernie proste. Tęsknić należy za epokami upadku i rozkładu cywilizacji, epokami, w których jedynie istniała tolerancja, pełna wyrozumiałości pobłażliwość dla własnego i cudzego zakłamania i gdzie wyrafinowanie uciech cielesnych kładąc nacisk na wyciąganie maksymalnych z nich przyjemności utrudniało i zmniejszało bezsensowne rozmnażanie się ludzkości. A druga konkluzja —

to radosna myśl o wyzwoleniu zamknięta w możliwości samobójstwa. Oto w największym skrócie treść książki Ciorana.

Po przeczytaniu książki Ciorana można by rozpocząć dyskusję z reprezentowanymi przez niego tezami od zadania dosyć zasadniczego i prymitywnego pytania: jak to się dzieje, że p. Emil Cioran nie zastosowuje się do swych wskazówek i na przekór wyznawanym przez niego założeniom i lansowanym pewnikom zamiast popełnić samobójstwo — pisze książki? Lecz tego rodzaju dyskusja nie doprowadziłaby do niczego. P. Cioran miałby dziesięć gotowych odpowiedzi na zarzuty o tym charakterze. Powiedziałby na pewno, że brak konsekwencji między głoszonymi zasadami a linią życiową stanowi jedyną godną szacunku cechę filozofów, że największą głupotą i zasługującą na potępienie aberracją jest branie na serio rozprzestrzenianych przez siebie hasła itd. Podejmowanie dialogu na tego rodzaju tematy byłoby niedorzecznością. Dlatego na sprawę jego książki chciałbym spojrzeć z nieco innego punktu widzenia.

Książka p. Ciorana poza całym szeregiem trafnych i słusznych spostrzeżeń, a szczególnie tych, w których mówi o tragicznych i nieodwołalnych konsekwencjach każdej wiary w jakąkolwiek ideologię jest wynikiem pewnej nadwrażliwości w odczuwaniu metafizycznej kondycji człowieka. P. Cioran skarży się na brak wrażliwości tej u ludzi. Chciałby on byśmy umieli zdobyć się na wyciąganie ostatecznych wniosków z faktów takich jak bezlitosny upływ czasu, nasze nieubłagane zbliżanie się do własnej zagłady, nasze groteskowe zagubienie w przestworzach międzyplanetarnych itd. i to bez brania pod uwagę wszystkich złudnych rozwiązań podsuwanych nam przez religię. Zale więc i pretensje p. Ciorana wypływają z pewnej rzadkiej, jeżeli chodzi o jej nasilenie, umiejętności cierpienia z powodu niezależnych od nas praw nami rządzących. W swej wrażliwości i swym nasileniu umiejętności cierpienia jest na pewno p. Cioran odosobniony. Nie wiem czy przy stwierdzeniu faktu tego mam napisać — na szczęście, czy niestety. Wiem jednak, że fakt odosobnienia p. Ciorana nie budzi wątpliwości.

Otóż wydaje mi się, że opis cierpienia, protest czy bunt zasługuje naprawdę na uwagę dopiero wtedy gdy wyzwala się ze swego czysto indywidualnego i zamkniętego w sobie kręgu odczuwania. Siła protestu i waga jego, moc wzruszeniowa opisu cierpienia mierzy się jego powszechnością. Im więcej w buncie jakimś jest elementów wspólnych innym, zrozumiałych a przede wszystkim dostępnych — tym zasięg jego jest donioślejszy. O znaczeniu buntu nie decyduje, niestety, ani szlachetność jego intencji, ani niezbita logika jego wywodu, lecz konkretność sytuacji, z której się wywodzi i konkretności tej powszechności. Opis zindywidualizowanego w najwyższym stopniu cierpienia może budzić zainteresowanie, lecz zawsze robi wrażenie zawieszzonego w próżni. Pozostaje bez echa. A boję się, że w tej dziedzinie zagadnień rolę najbardziej istotną odgrywa właśnie to echo.

Mam wrażenie też, że tak słuszne miejscami, przekonywujące i tragiczne w swym brzmieniu, wywody p. Ciorana skazane są niestety na zawieszenie w ciszy, której nie przerwie żaden oddźwięk i żadne echo. Bo jak powiedzieliśmy — brak im elementów powszechności umożliwiających porwanie za sobą szerokich rzesz ludzi.

Tego rodzaju fakt nadałoby rozmyślaniom p. Ciorana z konieczności odmienny zupełnie i specyficzny całkiem charakter. Kłasyfikuje je bowiem od razu w rzędzie tego co przyzwyczajaliśmy się nazywać — ciekawostkami. Książka p. Ciorana jest niczym więcej i niczym mniej — po prostu ciekawostką. A zgnity świat kapitalizmu publikując i nagradzając takie właśnie ciekawostki daje dowód swej olśniewającej i godnej najwyższego szacunku bezinteresownej wielkoduszności.

Józef URSYN.

Dlaczego przegrano pokój?

Gdybym miał wyznaczać nagrodę za najbardziej pożyteczną książkę o drugiej wojnie światowej, to dałbym ją Hanson W. Baldwinowi za jego "Great mistakes of the war".

Hanson W. Baldwin, korespondent wojenny "New York Timesa" na przestrzeni 108 stron swej książki podejmuje poszukiwania w celu wykrycia i przeanalizowania błędów polityki amerykańskiej w czasie drugiej wojny światowej.

Baldwin książkę swą rozpoczyna od zdania: "Można z całą stanowczością stwierdzić, iż, w lutym 1945 w Jałcie i 6 czerwca 1944, to jest w dniu wylądowania wojsk alianckich w Normandii — przegraliśmy pokój". A główną myśl stanowiącą zasadniczy temat swych rozważań formułuje on w ten sposób: "Nasze błędy polityczne popełnione w czasie drugiej wojny światowej kosztowały nas pokój". Wszystko też co Baldwin pisze zmierza do udowodnienia tej tezy. Robi to zresztą wyjątkowo błyskotliwie a argumentację swą opiera na danych z dziedziny logiki i socjologii.

Polityczne i dyplomatyczne błędy, które spowodowały fakt, że Ameryka pokój przegrała wpływają według Baldwina ze stwierdzenia, które ujmując on w zdaniu: walczyliśmy — by zwyciężyć. (We fought to win). Oznacza to, że Ameryka zapomniała o wypowiedzianej przez Clausewitza tezie, że wojna jest tylko przedłużeniem pokoju, który prowadzi się innymi środkami. Ponieważ Ameryka o tezie tej zapomniała, walczyła nie posiadając zdefiniowanych celów, które miałyby być przez pokój realizowane, nie miała żadnej wartościowej, pożądanej i jednocześnie łatwej do przeprowadzenia koncepcji zorganizowania świata powojennego. Baldwin krytykuje szczególnie ostro

amerykański wojenny aparat propagandowy, to znaczy całą działalność Office of War Information (OWI), który w sposób istotny przyczynił się do powstania iluzji, iż wszyscy wrogowie są zbrodniarzami, a wszyscy sprzymierzeńcy aniołami. Baldwin wylicza cztery błędne założenia, które doprowadziły politykę amerykańską do katastrofalnych wyników:

1) Przekonanie, że Politbiuro po zlikwidowaniu trzeciej międzynarodówki zarzuciło wszelkie plany sowietyzacji świata i że jego jedynym szczerym zainteresowaniem było podtrzymywanie przyjacielskich stosunków z państwami kapitalistycznymi,

2) Przekonanie Roosevelta, że Stalin dzięki jego Rooseveltowi wpływowi przeistoczył się w "a good old fellow".

3) Nieustająca obawa dojścia do skutku odrębnego pokoju między Stalinem a Hitlerem. Obawa ta nawet po wylądowaniu wojska w Normandii odegrała poważną rolę,

4) Przekonanie, że udział Stalina w wojnie przeciwko Japonii i w jej pokonaniu jest bezwarunkowo istotny i że wobec tego należy go sobie życzyć.

W analizie tych czterech podstawowych błędów Baldwin stwierdza, iż wszystkie one, z wyjątkiem podanego pod punktem drugim spowodowane były albo brakiem właściwych informacji, albo złą oceną i interpretacją informacji prawdziwych. Przekonanie zaś Roosevelta zacytowane w punkcie drugim nie było oparte na jakiegokolwiek informacji przekazanej ze świata, lecz po prostu powstało ono w jego umyśle i dla poparcia tego stwierdzenia Baldwin cytuje wypowiedziane przez Roosevelta do William C. Bullita zdanie: "Mam nieodparte wrażenie, że Stalin pragnie tylko bezpieczeństwa swego kraju i wobec tego dam mu wszystko i niczego nie będę od niego żądał. 'Noblesse oblige' i dlatego też nie będzie dążył on do aneksji, lecz na pewno współpracować będzie ze mną w tworzeniu demokratycznego świata i pokoju".

Baldwin przechodzi z kolei do analizy popełnionych przez politykę amerykańską niezliczonych błędów. Jeżeli chodzi o Niemcy to w zastosowaniu w stosunku do nich formuły "bezwarunkowej kapitulacji" widzi Baldwin największą polityczną pomyłkę mocarstw zachodnich. Przeciwwstawia on tę pozbawioną uzasadnienia i sztywną formułę przeprowadzonemu przez Wilsona rozróżnieniu pomiędzy cesarzem i junkrami z jednej strony a narodem niemieckim z drugiej, jak i też zrobionemu przez Stalina rozróżnieniu między Hitlerem i nazistami z jednej strony, a narodem niemieckim a nawet Wehrmachtem z drugiej. Baldwin dochodzi do następującej konkluzji: "Bezwarunkowa kapitulacja była otwartym wyzwaniem rzuconym 'bezwarunkowemu' oporowi, które doprowadziło do osłabienia wszelkiej opozycji w stosunku do Hitlera, przedłużyło wojnę, zwiększyło ofiary w ludziach i stało się odpowiedzialne za pogrzebanie pokoju".

Drugi najważniejszy, zdaniem Baldwina błąd — to porzucenie churchillowskiego planu inwazji na Bałkanach na rzecz lądowania w Normandii. Długa walka między Churchillem a Roosevel-

tem o geograficzne ustalenie ataku — we Francji czy na Bałkanach — osiągnęła swój punkt kulminacyjny w Teheranie. Niestety, zakończyła się ona przegraną koncepcji Churchilla, która przecież uratować mogła wschodnią Europę od Stalina.

Baldwin, mimo całego podziwu dla Churchilla wytyka mu z równą jak i w stosunku do Roosevelta bezwzględnością popełnione przez niego błędy. Oto one:

1) Zbyt gwałtowne zbrojenie Stalina po zaatakowaniu przez Hitlera Związku Sowieckiego.

2) Zastąpienie Michajłowicza przez Tito.

3) Milczące popieranie rosyjskich pretensji do wschodnich części Polski.

4) Podzielenie Europy na sfery wpływów na skutek czego Bałkany, z wyjątkiem Jugosławii i Grecji, przypadły Stalinowi. To w oczach Baldwina ma szczególnie poważne konsekwencje.

Zestawienie błędów Churchilla z błędami Roosevelta wypada zdecydowanie na niekorzyść tego ostatniego.

W trzeciej części swej książki Baldwin omawia przebieg wojny na Pacyfiku i politykę w stosunku do Japonii. Tu także Ameryka wygrała wojnę przegrywając pokój. Ramy niniejszego artykułu nie pozwalają na przytoczenie przeprowadzanej przez Baldwina analizy, ograniczę się wobec tego do zwrócenia uwagi tylko na dwa punkty. Pierwszy z nich — to tępy upór Amerykanów w naleganiu by Stalin wziął udział w wojnie przeciwko Japonii. (Trzeba było zrobić wszystko, by Rosję od udziału tego powstrzymać, co zdaniem Baldwina było niezmiernie łatwe do przeprowadzenia). Przyczyną tego domagania się było złe funkcjonowanie amerykańskiego aparatu informacyjnego, inaczej mówiąc całkowity brak sieci szpiegowskiej. Aż do Pearl Harbour Amerykanie niedoceniali Japonii, po Pearl Harbour zaczęli ją przeceniać. Z tego też powstało usiłowanie wciągnięcia Stalina do wojny i naiwna gotowość zapłacenia za udział ten niewspółmiernej zupełnie ceny. Jest rzeczą niezmiernie ciekawą, że Roosevelt, tak jak to podaje Baldwin, zamierzał ustępstwa swe za obietnicę Rosji wstąpienia do wojny jeszcze rozszerzyć. A więc poza znanymi nam koncesjami na Dalekim Wschodzie chciał dorzucić jeszcze odstąpienie Rosjanom udziałów w kolei transirańskiej, wybudowanej za pieniądze amerykańskie i przez inżynierów amerykańskich oraz projektował stworzenie wolnego portu w Zatoce Perskiej, z którego Rosjanie mogliby swobodnie korzystać. Na szczęście, nie zabrakło ludzi umiających trafniej przewidywać, którzy projektom tym się przeciwstawili.

Drugim błędem, raczej tragiczną pomyłką było zrzucenie bomby atomowej. Błąd ten popełniony został przez Trumana. Baldwin stwierdza stanowczo, że Japonia już przed zrzuceniem pierwszej bomby na Hiroszimę była pobita i pragnęła zawarcia pokoju. Rosja zaś uniemożliwiwszy dotarcie japońskich propozycji pokojowych do Białego Domu pospieszyła się z wypowiedzeniem Japonii wojny, by uzyskać zagwarantowane w Jał-

cie korzyści. Baldwin pisze: "zrzucenie bomby atomowej w momencie gdy i tak Japonia pragnęła już zawarcia pokoju w niczym nie przyspieszyło bieżącego wypadków, natomiast spowodowało to, że ci, którzy widzieli Hiroszimę i Nagasaki nigdy tego nie zapomną. Wywołałyśmy zrzuceniem bomb atomowych falę nienawiści, której owoce zbierać jeszcze będziemy".

Baldwin książkę swoją kończy zdaniem, które ujmuje jej istotę. Jest to zdanie napisane ręką generała Kleista w jego celi więziennej w Norymberdze i które, według Baldwina, widnieć winno by na wszystkich drzwiach washingtonskiego ministerstwa wojny i Departamentu Stanu. Brzmi ono: "Niemcy popełnili błąd wierząc, że militarne zwycięstwo rozwiąże problemy polityczne. Za panowania nazistów skłanialiśmy się do lekceważenia tezy Clausewitza i do traktowania pokoju jako przedłużenia wojny".

Julius EPSTEIN.

(Autoryzowany przekład z niemieckiego J. URSYNA)

Alma Mater Vilmensis

Podobno lekarze nie powinni leczyć swoich najbliższych, z którymi poprzez stosunki rodzinne są ściśle związane sercem.

Niżej podpisany popełnia może błąd podobny, kreśląc niniejszą wzmiankę recenzyjną o książce, która zarówno przez swój temat, jak i przez "społeczność", która ją wydała, — jest mu niezmiernie bliska i sercu nieskończenie droga....

Przeczytałem ją ze szczerym wzruszeniem od początku do końca. Iłż refleksji, związanych ściśle z dziejami naszego narodu i naszej kultury, nasuwa niemal każda jej karta. A ileż wywołuje ona wspomnień niezatartych na tle przeżyć własnych i stosunków osobistych!...

Zaprawdę, dobrze się zasłużyła sprawie ogólnej redakcja "Almae Matris Vilmensis", z niegdyś wychowankiem, później profesorem Wszechnicy Batorowej, Wiktorem Sukiennickim na czele, publikując, a raczej wznawiając, nakładem "Społeczności Akademickiej USB", niniejsze wydawnictwo i zdobiąc je su-

ALMA MATER VILNENSIS. Prace Społeczności Akademickiej Uniwersytetu Stefana Batoro na obczyźnie. W dziesiątą rocznicę przerwania normalnej pracy U.S.B. Sprawozdania i dokumenty. Nakładem Społeczności Akademickiej U.S.B. Londyn. — 24 x 15,5. Redakcja: Wiktor Sukiennicki; rysunki: Marian Bohusz Szyszko. Str. lb. 127. — (1950).

Wydane w ostatnich dniach 1949 roku w nakładzie tysiąca egzemplarzy, z czego sto egzemplarzy numerowanych... odbito na lepszym papierze.

C/o "Ognisko Polskie", 55, Princess Gate, London S.W. 7. (Cena w Anglii 6 sh., we Francji — "Libella" — 300 fr.).

gestywnymi rysunkami — również b. ucznia tejże wszechnicy, artysty-malarza Mariana Bohusza-Szyski.

Mała rozmiarami, ale jakże obfita w treść książka!

Wszystkie niemal najważniejsze momenty i postacie dawnej i wskrzeszonej Wszechnicy Wileńskiej — stają przed nami, jak żywe, — od jej powstania wśród rozgwaru wojen króla Stefana Batorego z Moskwą (1579), poprzez Skargę i Sarbiewskiego, poprzez jej upadek i zniszczenie przez Moskwę, podczas sześciolletniej okupacji Wilna w latach 1655 - 61, poprzez szczytowy jej rozblysk w epoce Czartoryskiego, Lelewela i Śniadeckich, — w związku z Mickiewiczem i Słowackim, aż do jej pierwszej "likwidacji" w r. 1832... I później letarg uspienia, w ciągu długich nocy i dni niewoli, kiedy profesorowie i uczniowie rozeszli się po świecie, licznie zasilając polistopadowe "wielkie" rozproszenie emigracyjne, kiedy to księżnice, zbiory, pracownie, gabinety, obserwatorium poczubutowskie z dumnym napisem: HINC ITUR AD ASTRA — uległy rozgrabieniu i rozszarpaniu, w najlepszym razie wzbogacając skarbami swoimi rosyjskie uczelnie Kijowa i Charkowa.

W mrokach beznadziei trwała jednak wiara w lepszą przyszłość: Michał Baliński, historyk, ("Dawna Akademia Wileńska"), i lekarz Józef Bieliński, piszący później na wygnaniu w kraju turkiestańskim swoją monografię o Uniwersytecie Wileńskim (wydaną w 11. 1899 - 1900) niedwuznacznie wyrażali swą wiarę w niezniszczalność jego zasług i przyszłą regenerację. "Koronny" Lelewel, umierając w r. 1861 w Paryżu, wyraził życzenie, by księgozbiór jego przekazany został z czasem polskiemu uniwersytetowi w Wilnie (w którego przyszłe odrodzenie wierzył), — a młody student-romantyk Uniwersytetu św. Włodzimierza w Kijowie L u d w i k J a n o w s k i (zm. 1921), przekonany, że "co dobre wiecznie musi żyć", dosłownie opętany myślą o dawnej wielkości uczelni wileńskiej, budował "kalinowy most" między minioną przeszłością a nieodgadnioną przyszłością, przeczuwał jakby jego zmartwychwstanie, a w popularnym studium o uniwersytecie wileńskim (wydanym w r. 1903 pod pseudonimem Jana Tura) temu swemu przecuciu i niezłomnej wierze dał dosadny wyraz.

Jakoż po latach marzenie ciałem się stało...

Znowuż w błysku szabli żołnierza polskiego, w zgiełku bitewnym toczącej się wojny, jak niegdyś w r. 1579 założenie, tak teraz — po 86 lat z górą trwającej od r. 1832 przerwie, odbył się akt wskrzeszenia Wszechnicy Batorowej, dokonany nie przez jej wychowanka wprawdzie, lecz przez miłośnika jej tradycji i poniżonych i zrusyfikowanych jej murów, — ówczesnego Naczelnika rodzącego się dopiero Państwa Polskiego, który "miastu miłemu" swemu tym darem przysłużyć się pragnął.

I oto rozpoczął się w r. 1919 dwudziestoletni okres, zapewne, mający i swoje cienie, oprócz światła, — okres wprawdzie nie dawnej świetności i doskonałości ("ne comparentur magnalia minimis"), lecz w każdym razie d a ą ż e n i a d o d o s k o -

n a ł o ś c i, która z każdym rokiem, w dziedzinie urządzeń zakładów uniwersyteckich oraz pracy naukowo-badawczej w tychże zakładach i poza nimi profesorów i studentów, zdawała się przybierać kształty coraz bardziej konkretne.

Aż wreszcie przyszedł rok 1939. Prace dwudziestoletnie legły w gruzach. Nastąpiła — jakże żałobna! — nowa "druga likwidacja" (po pierwszej z r. 1832) nowy przymusowy exodus profesorów i studentów, — ponowne rozproszenie, sięgające wszystkich części świata, wszystkich niemal szerokości i długości geograficznych globu ziemskiego...

Łączą się z tym okresem sprawy, ściśle związane z żarzącą się aktualnością chwili obecnej a jednocześnie zahaczające o przyszłość, może najciekawsze, najważniejsze i najmniej znane, a więc nie tylko traktujące o "Społeczności Akademickiej USB" na obczyźnie (str. 7 - 20), jej powstaniu, jej organizacji statutowej, jej działalności i o "Uesbistach w świecie", ale są tu i "dokumenty" z ostatniego tragicznego dziesięciolecia (1939 - 49), jak np.: List ostatniego Rektora Uniwersytetu Stefana Batorego, śp. Stefana Ehrenkreutza (zmarłego w więzieniu sowieckim w Wilnie w r. 1945) do Premiera Rządu Polskiego, gen. Władysława Sikorskiego w Angers z grudnia 1939 r. — str. 82, Protest Senatu USB z powodu zamknięcia USB w dn. 15. XII. 1939, skierowany do profesorów uniwersytetu całego świata (w języku polskim i angielskim) — str. 83, podobny Protest 94 asystentów USB — str. 90, pismo pracowników USB do Rządu Rzeczypospolitej Polskiej w Angers (styczeń r. 1940) — str. 94, jak i inne pisma, wśród których dla równowagi bezstronnej mamy Odpowiedź Litewską na Protest profesorów wileńskich — str. 92, oraz Memoriał Rektora Uniwersytetu Litewskiego (Michała Birżyski) do władz niemieckich (marzec 1942) — str. 98, dobitnie świadczące o różnicy stanowiska nieszczęśliwych, polskich i litewskich, "skłóconych kochanków wileńskiej stolicy"... Znajdujemy tu dalej pismo wileńskie do W. Churchilla z powodu mowy tegoż, wygłoszonej w Izbie Gmin 22. II. 1944, tudzież pismo do W. Churchilla najstarszego z profesorów "Społeczności Akademickiej USB", przebywających w Anglii i b. ministra prof. Wacława Komarnickiego z dn. 1. III. 1945 po Jałcie, str. 101 i 105... Mają one wszystkie charakter niezmiernie cennych przyczynków dokumentalnych.

Zamyka wydawnictwo (str. 190 - 120) "Skład" osobowy Uniwersytetu Stefana Batorego w r. 1939 - 40, z wiadomościami o późniejszych losach profesorów oraz zwięzły zarys dziejów USB — w języku angielskim (str. 121 - 124).

Wszystko to podane jest w oryginalnej, nie szablonowej formie, przy czym najważniejsze dane historyczne związane są z pomysłowy i zajmujący sposób (str. 3-81) z tzw. "inauguracjami październikowymi", odbytymi w latach 1947, 1948 i 1949

w Londynie, nawiązującymi do dawnych corocznych inauguracyj, odbywanych w Wilnie, poczynając od r. 1919, stale w dniu 11 października.

Cóż by, jako braki, wydawnictwu wytknąć można!?

Chyba jedynie to, czego uniknąć się nie dało w tego rodzaju publikacji (zbiorowej), drukowanej na obczyźnie. A więc: pewne uchybienia korektorskie, sprostowane zresztą przeważnie w dołączonych "erratach", — ale nie wszystkie: np. str. 48 — "wcześnie obumarły przez ojca", zamiast oczywiście "odumarły"; str. 113 i gdzie indziej — "jako 'Volksdeutsche'", zamiast "Volksdeutscher"; wreszcie na str. 127 — mogące mieć dotkliwe dla rozsprzedaży wydawnictwa skutki przeoczenie korektorskie w podanym adresie "Ogniska Polskiego": 55, Princess Gate, Londyn, S.W. 5, powinno być natomiast: S.W. 7, jak jest podane na wewnętrznej karcie tytułowej. Również są pewne nieścisłości i niekonsekwencje w "Składzie Uniwersytetu" (str. 109 i nast.), najzupełniej zrozumiałe i nie do ustrzeżenia się w danym wypadku, częściowo sprostowane w "erratach", ale bodaj i w dalszym ciągu wymagające pewnych uzupełnień i poprawek: przy niektórych nazwiskach profesorów a b. wychowanków USB jest ten związek z USB przez studia uniwersyteckie uwidoczniiony, np. Wysłouch, Sukiennicki — str. 112, Achmatowicz — str. 115: podani są, jako "wychowankowie USB", przy innych szczegół ten został pominięty, chociażby: str. 109 — Łowmiański.

Ale nie są to, rzecz jasna, błędy, nawet nie uchybienia, — co najwyżej drobne usterki, o których mówić nie warto. Chyba tylko w tym celu, by wyjść z górnego tonu pochwały, na którą książka jak najbardziej zasługuje.

Jest to chyba jedna z najpożyteczniejszych, najpiękniejszych książek, które się ukazały w ostatnim roku na emigracji. Jest żałobna, ale i krzepiąca zarazem. Zainteresować, pouczyć, wzruszyć musi każdego z czytelników.

Powinna się znaleźć, jako dowód zainteresowania się naszą kulturą, w ręku każdego: nie tylko "uesbisty", nie tylko wilnianina, ale i Polaka...

Rozprzedanie, możliwie najszybsze, niniejszego tomu ALMAE MATRIS VILNENSIS w pewnym sensie będzie mogło być uważane za problem naszej kultury duchowej i umożliwi ukazanie się dalszych tomów tegoż wydawnictwa. Wszystko — jak nas zapewnia Redakcja — od stanu Funduszu Wydawniczego Społeczności zależy...

Zamówienia kierować można na adres: c/o "Ognisko Polskie" (Polish Hearth) — 55, Princess Gate, Londyn, S.W. 7.

Stanisław KOŚCIAŁKOWSKI.

Nowości francuskie

DRUGA WOJNA ŚWIATOWA

JOUAN (R.). *La marine allemande*. Pp. 304 (Payot, 1949, frs. 600).

BELOT de (R.) contre-amiral. *La guerre aéronavale dans l'Atlantique (1939 - 1945)*. Pp. 198. (Ed. Payot, 1950, frs. 480).

HALDER (F.) Général. *Hitler Seigneur de la guerre*. Pp. 142. Ed. Payot, 1948, frs. 360).

Les archives secrètes de la Wilhelmstrasse. T. I. — De Neurath à Ribbentrop. (Sept. 1937 - Sept. 1938). Traduit de l'allemand par M. TOURNIER. Pp. 612. (Ed. Plon, 1950, frs. 795).

GIRAUD, Général. *Un seul but la victoire*. Alger 1942 - 1944. Pp. 378. (Ed. Julliard, 1949, frs. 450).

KOCH (L.). *Rommel*. Pp. 282. (Ed. Corrèa, 1950, frs. 420).

SKORZENY (O.). *Missions secrètes*. Pp. 252. (Ed. Flammarion, 1950, frs. 300).

DOKUMENTY CHWILI

KOESTLER (A.). — SILONE (I.) — WRIGHT (R.) — GIDE (A.) — FISCHER (L.) — SPENDER (S.). *Le Dieu des ténèbres*. Pp. 307. (Ed. Calmann-Lévy, 1950, frs. 480).

CASTRO DELGADO (E.). *J'ai perdu la foi à Moscou*. Pp. 350. (Ed. Gallimard, 1950, frs. 490).

TROTSKI (L.). *Staline*. Pp. 620. (Ed. Grasset, frs. 540).

CAMUS (A.). *Actuelles*. (Chroniques 1944 - 1948). Pp. 270. (Ed. Gallimard, 1950, frs. 325).

GUERIN (D.). *Où va le peuple américain?* Pp. 362. (Ed. Julliard, 1950, frs. 480).

ROLIN (J.). *Drogues de police*. Pp. 304. (Ed. Plon, 1950, frs. 300).

PANNETIER (O.). *Quand j'étais Candide*. Pp. 269. (Ed. Julliard, frs. 260).

WEIDLE (W.). *La Russie absente et présente*. Pp. 235. (Ed. Gallimard, 1949, frs. 290).

MALARSTWO

VENTURI (L.). *Pour comprendre la peinture de Giotto à Chagal*. Pp. 216. (Ed. Albin Michel, 1950, frs. 750).

LITERATURA

GREEN (J.). *Moïra*. Pp. 251. (Ed. Plon, 1950, frs. 270).

ELIADE (M.). *Le Mythe de l'éternel retour*. Pp. 250. (Ed. Gallimard, 1949, frs. 350).

MAURIAC (F.). *Journal*. T. IV. Pp. 239. (Ed. Flammarion, 1950, frs. 350).

DU BOS (Ch.). *Journal*. T. IV. 1928. Pp. 229. (Ed. Corrèa, 1950, frs. 360).

WEIL (S.). *La connaissance sur-naturelle*. Pp. 337. (Ed. Gallimard, 1950, frs. 490).

KEYSERLING de (H.). *De la pensée aux sources de la vie*. Pp. 332. (Ed. Stock, 1950, frs. 660).

Listy do Redakcji

T. FELSZTYN

Mount St. Mary's College
Spinkhill, nr. Sheffield

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z artykułem K. Morawskiego w Nr 2/28 - 3/29 "Kultury" pragnąlbym sprostować pewne jego informacje w tym zakresie, jaki mi jest osobiście znany w wyniku moich prac przedwojennych.

W pierwszym rzędzie, nie ujmując w niczym dużej i dodatniej roli, jaką odegrał gen. Sosnkowski w zakresie modernizacji polskiego uzbrojenia, muszę stwierdzić, że podana na str. 180 informacja K. Morawskiego, jakoby jemu należało przypisać ojcostwo COP'u, nie jest słuszna. Pierwotna idea COP'u wyszła istotnie ze sfer wojskowych, lecz autorem jej był ówczesny szef departamentu uzbrojenia, a następnie zastępca I. wiceministra Spraw Wojskowych, płk. (później gen.) Maciejowski. On to właśnie, widząc że stan polskiego przemysłu zbrojeniowego nie zaspakaja nawet w małym stopniu naszych potrzeb na wypadek wojny, usiłnie propagował myśl budowy nowych fabryk w rejonie Sandomierskim. Później dopiero, gdy Ministerstwo Spraw Wojskowych przeznaczyło już pierwsze kredyty na ten cel, podchwycił tę ideę min. Kwiatkowski i rozwinął ją w szeroki program gospodarczy.

Nie jestem bynajmniej bezkrytycznym adoratorem działalności gen. Maciejowskiego, do wielu jego poczynań ustosunkowałem się — i nadal się ustosunkowuję — negatywnie, mam poza tym wiele osobistych powodów, by mu być niechętny, tym nie mniej — suum cuique.

Nie mogę również zgodzić się z twierdzeniem K. Morawskiego, jakoby nasze władze wojskowe kładły zbyt silny nacisk na uzbrojenie w karabiny i broń samoczynną, zaniedbując sprzęt artyleryjski (str. 185). Wprost na odwrót, już pierwszy miesiąc rządów marsz. Rydz-Śmigłego, jako Generalnego Inspektora Armii, zaznaczył się silnym naciskiem na wzmoczenie broni przeciwpancernej i przeciwlotniczej. Jak szybkie to było tempo, niech świadczy fakt, że już w czerwcu 1935 roku zapadła decyzja zakupu najlepszych podówczas na świecie działek przeciwpancernych 37 mm i działek przeciwlotniczych 40 mm. konstrukcji firmy Bofors (Szwecja). Już w sierpniu odbyły się na poligonie w Brześciu próby tych dział, we wrześniu podpisana została umowa i równocześnie przystąpiono do budowy nowej wytwórni dział przeciwpancernych w Pruszkowie. Tempo budowy — mimo zimy — było (dzięki energii płk. Maciejowskiego i wybranego przez niego dyr. Kozłowskiego) tak szybkie, że już w maju 1936 roku fabryka ta wyprodukowała pierwszych sto działek przeciwpancernych, o cały miesiąc wcześniej, niż macierzysta fabryka Boforsa.

Działka przeciwpancerne, podobnie jak i w tym samym czasie produkowane polskie karabiny przeciwpancerne (o których fascynującej historii warto kiedyś napisać obszerniej) okazały się w 1939 roku bronią w zupełności odpowiadającą niemieckiemu stanowi broni pancernej. Toteż, mimo przyniatającej przewagi Niemców, zadawały im one duże straty w czołgach, czemu — w pewnej mierze przynajmniej — przypisać należy tak późne rozpoczęcie przez nich kampanii francuskiej.

Nieco inaczej przedstawiała się sprawa dział przeciwlotniczych. W 1939 roku ich celowniki przelicznikowe nie uwzględniały już szybkości najnowszych samolotów niemieckich, skutkiem czego bardzo ucierpiała ich celność, która w 1935 roku, przy ówczesnych szybkościach samolotów, była wprost fenomenalna.

I tu tkwi cała trudność zakupu gotowego sprzętu zagranicą, trudność, której K. Morawski zdaje się nie doceniać. Jedynie bowiem państwa bardzo bogate, tak jak obecnie Ameryka, mogą sobie pozwolić na to, by gromadzić duże zapasy sprzętu, który za lat kilka będzie tylko szmelcem. Państwa mniej bogate, a tym bardziej państwa ubogie, które liczą każdy grosz, nie mogą sobie pozwolić na ten luksus. Jedyną ich możliwością, to nieustanna praca nad prototypami, ażeby w chwili odpowiedniej przystąpić do masowej produkcji. Tak postępowano nawet bogata Francja. Oczywiście, ta polityka kryje w sobie poważne niebezpieczeństwo spóźnienia i napastnik, który sam obiera moment wojny, ma zawsze tę przewagę, że może rozpocząć masową produkcję wcześniej i tym samym uzyskać poważne wyprzedzenie w czasie.

Polska, która od 1935 roku począwszy stale modernizowała swe uzbrojenie przeszła na wzmoczoną produkcję nowego sprzętu pod koniec 1938 roku (przynajmniej jeśli chodzi o znany mi odcinek, tj. dział uzbrojenia), przy czym, wbrew opinii K. Morawskiego, nie zaniechano bynajmniej możliwości zaopatrzenia się zagranicą. Były one jednak raczej skromne, a droga ich była ciernista.

W polskim bowiem położeniu ekonomicznym, zakupy sprzętu wojennego zagranicą były zawsze rzeczą połączoną z wielu trudnościami i drażliwościami.

I tak np., gdy około 1932 roku postanowiono wzmocnić naszą obronę przeciwlotniczą przez zakup dział przeciwlotniczych 75 mm, konkurs wykazał bezwzględną przewagę dział amerykańskich. Konkurująca z nimi firma francuska, Schneider, do tego stopnia zlekceważyła nasz konkurs, że nawet nie sprawdziła dział nań wysłanych, skutkiem czego, w wyniku złego zmontowania przyrządów odtakających zapalniki, pociski wybuchały o setki metrów od samolotu. Warunki finansowe amerykańskie też były dogodne, toteż władze wojskowe zdecydowały się na zakup dział w Ameryce. W przeddzień jednak podpisania kontraktu ukazał się w "Kurierze Warszawskim" artykuł, wyraźnie inspirowany przez firmę Schneider, a grożący niedwuznacznie wstrzymaniem drugiej transzy pożyczki na kolej Śląsk — Gdynia, jeżeli Polska zakupi działa przeciwlotnicze w Ameryce. Na skutek więc nacisków Ministerstwa Skarbu, musieliśmy zrezygnować z zamierzonego zakupu tych istotnie doskonałych dział.

Wobec wyraźnej nieodpowiedzialności dział Schneidera, zdecydowano się więc na działa własne. Starachowice w stosunkowo krótkim czasie wywłazały się z zadania znakomicie i działa ich w niczym nie ustępowały amerykańskim. Gdy jednak przystąpić już miały do masowej produkcji, zaszła nowa trudność: Było to wkrótce po układach w Rambouillet, Francuzi zaproponowali nam wtedy dostarczenie, na poczet przynależnej nam pożyczki na uzbrojenie, stu baterii przeciwlotniczych dział Schneidera tym razem kalibru 90 mm. Były to istotnie, jak przeprowadzone badania wykazały, działa wysokiej klasy, to też sztab zdecydował się raczej na działa francuskie, płatne z pożyczki, niż na produkcję dział własnych, obciążających nasz i tak zawsze za skąpy budżet.

Rokowania przeciągały się i w jesieni 1938 r. stało się jasne, że na działa francuskie można liczyć dopiero na wiosnę 1940 r. W tym położeniu, widząc groźbę nadciągającej wojny, polecono Starachowicom, by przyspieszyły produkcję swych 75 mm. dział przeciwlotniczych.

W tych warunkach trudno się dziwić, że sztab nasz był tak ostrożny przy zakupach sprzętu zagranicą i że to, co było wynikiem smutnych doświadczeń i koniecznością zabezpieczenia się przed ich powtórzeniem mogło w oczach nie znających bliżej sprawy ekspertów finansowych uchodzić za "niechęć zakupu gotowego sprzętu zagranicą".

Wreszcie na str. 171 i 185 wyraża K. Morawski wątpliwość co do celowości polskiego eksportu sprzętu uzbrojenia. Jest to pogląd dość rozpowszechniony. "Jako — mówią — nie mieliśmy sprzętu sami, a sprzedawaliśmy go obcym!".

O sprawie tej pisałem szeroko swego czasu na Środkowym Wschodzie. Ponieważ jednak zarzuty te, oparte na nieporozumieniu, nieustannie powracają, chciałbym możliwie krótko uzasadnić nie tylko celowość, ale wprost konieczność eksportu broni w momencie nasilenia zbrojeń własnych.

W pierwszym bowiem rzędzie trzeba uwzględnić, że fabryki uzbrojeniowe są zawsze w czasie pokoju, tak pod względem personelu, jak i urządzeń, znacznie silniej rozbudowane, niż tego wymaga produkcja pokojowa. Jest to niezbędne, jeśli przejście na produkcję wojenną ma się odbyć szybko i sprawnie. Niestety jednak, skutkiem konieczności utrzymywania tego pogotowia mobilizacyjnego, produkcja w czasie pokoju obciążona jest wysokimi kosztami dodatkowymi. Wszystko więc, co je obniża, potania koszty wyrobu, a tym samym pozwala za te same pieniądze wyprodukować więcej sprzętu. Każda więc broń, którą się eksportuje za granicę, powiększa ilość sprzętu, jaki można wyprodukować dla siebie. A że zdolność produkcyjna fabryki musi być dla celów wojennych wielokrotnie większa, niż dla pokojowych, toteż żaden, największy nawet eksport, nie może jej całkowicie wyczerpać. W rezultacie więc można powiedzieć, że każde działko przeciwpancerne, które dostarczaliśmy Anglii, umożliwiałoby nam wyprodukowanie nieomalże jednego działka więcej dla nas samych.

Dalej, Polska, jako kraj surowcowo ubogi, musiała kupować zagranicą wiele surowców, dla potrzeb produkcji sprzętu uzbrojenia. Przy dużych trudnościach dewizowych, kupno ich w ilościach potrzebnych dla szybkiego tempa naszych zbrojeń, było bardzo dużym obciążeniem naszego i tak za szczupłego zapasu dewiz i złota. Eksport sprzętu wojennego dewiz tych nam dostarczał, a tym samym znów ułatwiał, a nie utrudniał produkcję sprzętu dla nas samych.

Eksport sprzętu ponadto, na skutek stałego uczestniczenia naszych delegatów na wszystkich konkursach broni zagranicą, stwarzał doskonałą okazję dla wywiadu technicznego i dostarczał tym samym cennych danych dla utrzymania naszych studiów na należytych poziomach.

Wreszcie produkcja sprzętu dla obcych stwarza zawsze jego zapasy na składzie, a więc umożliwia w odpowiedniej chwili powiększenie własnej broni przez sprzęt produkowany dla obcych, lecz jeszcze nie wysłany. Istotnie też w ostatnich miesiącach przed wojną pewna część sprzętu, produkowanego dla zagranicy, została zatrzymana w kraju. Nie dotyczyło to sprzętu, przeznaczonego dla Anglii, gdyż tu momenty polityczne dotrzymania zobowiązań w stosunku do sprzymierzeńca wysunęły się na pierwszy plan.

Zapewne, byłoby rzeczą znacznie korzystniejszą, gdyby kosztą zwiększonej produkcji uzbrojeniowej można było pokrywać nie z eksportu broni, lecz dajmy na to parowozów. Niestety jednak, jak to dziś np. doskonale wie znacznie od nas przecież gospodarczo silniejsza Anglia, eksportuje się nie to, co się chce sprzedawać, lecz to, co drugi chce kupić. A że w ostatnich latach przed wojną koniunktura na świecie była nie na parowozów, lecz na broń, toteż jedyną dla nas drogą zwiększenia naszego własnego uzbrojenia było eksportowanie broni zagranicę. Tylko bowiem na tej drodze można było zdobyć potrzebne dla tego surowce, obrabiarki i środki finansowe.

W rezultacie więc wywóz sprzętu uzbrojenia był nie tylko jak pisał K. Morawski "gospodarczo rentowny", ale ponadto i celowy z punktu widzenia interesów obrony państwa, powiększał bowiem, a nie pomniejszał nasze własne uzbrojenie.

Proszę przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, wyrazy głębokiego szacunku.

Tadeusz FELSZTYN.

Sydney, 25 czerwca 1950.

Szanowny Panie Redaktorze,

W majowym zeszycie "Kultury" ukazał się artykuł w którym p. Sznarbachowski omówił ciekawą książkę żony ostatniego naszego posła w Wiedniu, niedawno wydaną w Bolonii.

P. Frassati-Gawrońska porusza w niej m. i. sprawę oswobodzenia profesorów krakowskich, rewindykując też zasługę dla Mussoliniego. Pisząc o tym, p. Sznarbachowski zaznacza, że cała ta ważna sprawa wymaga dalszych wyjaśnień wszystkich osób kompetentnych.

W związku z tym pragnąłbym podać do wiadomości, to co mi o tym wiadomo.

Wczesną jesienią 1940 r., zjawił się w Nowym Jorku prof. R. Taubenszlag. Uciekł on przed Hitlerem z Tuluz, gdzie czasowo przebywał i podczas pierwszych odwiedzin poruszył sprawę aresztowanych naszych profesorów. Interesowały go możliwości amerykańskiej interwencji. Odpowiedziałem, że — o ile mi wiadomo — sekretarz stanu Hull już zabiegał o ich uwolnienie, fakt zaś, iż ono dotychczas nie nastąpiło, dowodzi, że albo interwencja była za miękka, albo — co obecnie jest bardziej prawdopodobne — w Berlinie liczą się z Ameryką znacznie mniej, niż się to powszechnie sądzi. Na moje zapytanie czy posiada pełną listę zaaresztowanych, profesor odpowiedział odmownie, dodał jednak, że może ją mieć wkrótce. W jakieś 2 tygodnie, profesor odwiedził mnie ponownie i wręczył mi listę aresztowanych, zawierającą około 150 nazwisk. Jednocześnie odczytał mi on dłuższy ustęp listu prof. Kota, zaznajamiający go z tym, co o ówczesnym stanie tej tragicznej sprawy wiedział Londyn. Następnego dnia byłem w Waszyngtonie i tam z ambasadorem p. J. Potockim i radcą śp. W. Wańkowiczem poddaliśmy całość sprawy wszechstronnemu rozważeniu. Ambasador był dobrze poinformowany o nastrojach panujących w Białym Domu. Miał on nie tylko łatwiejszy dostęp do Roosevelta niż przedstawiciele wielkich mocarstw, ale i zażyłe stosunki osobiste z całą górą partii demokratycznej, datującej się jeszcze z początków New Dealu. Zdaniem ambasadora, interwencja Roosevelta w chwili ówczesnej, była więcej niż wątpliwa. Doznał on, podobnie jak Hull, tyłu zawodów politycznych i osobistych w Berlinie, że wątpić należy czy na nową démarche pójdzie. "Roosevelt — mówił p. Potocki — jest już w stanie osobistej wojny z Hitlerem. Złamał on dawno neutralność, dając Anglikom broń, amunicję i torpedowce, prowadził więc, sui generis, wojnę i to wbrew dużej części kongresu, tak że, politycznie myśląc, interwencja jego jest teraz raczej nie do pomyślenia. Wobec tego postanowiliśmy szukać drogi do republikańców, przede wszystkim senatora Vandenberga. Rozumowaliśmy, iż wobec napięcia amerykańsko-niemieckiego, zaostrego polityką Roosevelta, głos Vandenberg może i winien przynieść pokaźny rezultat, jeśli, najpierw, zgodzi się on na taki krok i jeśli nada mu możliwie poważną formę.

Tak szczęśliwie złożyło się, iż p. Edward Weintal, attaché prasowy ambasady (obecnie dyplomatyczny korespondent tygodnika "The Newsweek") posiadał od dawna, bliskie, osobiste stosunki z pp. Vandenbergami i jemu, tego samego dnia wieczorem, opowiedziałem o przebiegu konferencji, prosząc go o jak najszybsze zobaczenie się z senatorem. P. W. zgodził się nazajutrz pojechać na Kapitol i ponadto obiecał włożyć w argumentację, jakiej chciał użyć, tyle żarliwości ileśmy wszyscy razem posiadali. Szło nam po prostu o to, aby interwencja nie skończyła się na wymianie listów czy telefonów i aby Vandenberg zechciał postawić ją na możliwie wysokiej płaszczyźnie politycznej.

Interesy niemieckie zastępował wówczas chargé d'affaires p. Hans Thompson który przybył tam tuż przed wojną wprost z cywilnej kancelarii Hitlera. Był to outsider, nazista, posiadający bezpośredni kontakt z Hitlerem i jego zaufanie. Główne zadanie Thompsona wówczas polegało na robieniu wszystkiego, co mogłoby opóźnić bezpośrednie czy

pośrednie angażowanie się Stanów w wojnę. W tej ważnej materii pomóc mu mogli tylko republikanie gdyż większość demokratyczna, ze swym przywódcą Rooseveltem na czele, otwarcie propagowała politykę jak najdalszej pomocy aliantom, "short of war", tj. bez samego strzelania.

W dwa dni później, p. Weintal zatelefonował mi z Waszyngtonu donosząc, iż p. Vandenberg zgodził się ująć sprawę w swoje ręce. Postanowił on ani nie telefonować ani też pisać, ale udać się do Thompsena i w prywatnej rozmowie omówić całość sprawy. Niewątpliwie, podkreślał on tą drogą wagę swej interwencji. Można sądzić, że nie mógł tego nie zrozumieć Thompsen tym więcej, że w czasach normalnych nietowarzystwie odwiedzin przodujących senatorów w ambasadach były rzadkością, a co dopiero w okresie wojennej izolacji Niemców w bardzo proaliamckim Waszyngtonie.

Vandenberg wrócił więcej niż zadowolony ze swej rozmowy gdyż Thompsen zgodził się przedłożyć jego prośbę Hitlerowi i przetelegrafować zaraz całą listę nazwisk do Berlina.

Niedługo potem, miałem ponowny telefon od p. Weintala. Donosił mi, że prośba Vandenberg'a została spełniona a uwieszeni profesoro- wie z obozów zwolnieni. Dodał on, że kilka osób objętych spisem nie mogło być zwolnionych. Nazwiska ich z przyczynami braku zwolnienia otrzymał Thompsen z Berlina przekazał je w swej odpowiedzi Vandenbergowi i są one w posiadaniu ambasady.

Sądzę, że powyższe, mniej znane, szczegóły rzuca trochę dodatkowego światła na tę smutną sprawę. Podkreślam, że odnoszą się one do jesieni 1940 r.

Jeśli wspomnienia p. Frassati mają na myśli ten okres, a nie inny, wcześniejszy czy późniejszy wówczas odpowiedzi co do skuteczności różnych naszych starań, mogą udzielić dziś tylko akta Auswaertiges Amt, które są w posiadaniu państw zachodnich.

Łączę wyrazy szacunku

Sylwester GRUSZKA.

Londyn, w sierpniu 1950.

Szanowny Panie Redaktorze,

List, który piszę jest dość niezwykły. Nie porusza bowiem spraw redakcyjnych, co najwyżej o nie się ociera. Dotyczy jednak spraw "Kultury", i to tych bardzo istotnych, choć prozaicznych, — spraw, które się wazą zwykle między stołem wydawcy a biurem administracji pism i którymi rzadko kiedy zaprzęta sobie głowę redakcja.

Najmniej zaś o nich wie czytelnik. Utało się bowiem i przerodziło w zwyczaj, by sprawy wydawnicze natury handlowej czy finansowej trzymać w zakryciu przed oczami publiczności, aby używając popularnego w handlu powiedzenia, "własnymi kłopotami nie płoszyć klienta".

Chcę zrobić wyłom w tym zwyczaju. Wyłom tylko tak daleko idący zresztą, jak daleko sięga moja własna informacja. I choć list ten pi- szę do Redaktora "Kultury", pozostawiając jego decyzji co dalej z nim zrobi, tym nie mniej nie ukrywam, iż gorąco pragnę by został on opublikowany i wywołał jak największe komentarze wśród czy- telników.

List niniejszy bowiem pisze sprzedawca. Nie pisarz, nie publicysta, nie krytyk, lecz po prostu sprzedawca. Człowiek występujący w imie- niu firmy, która od dwóch lat rozprawdza "Kulturę" w jednym z krajów polskiej diaspory. Krajem tym jest Wielka Brytania. Nazwa firmy jest obojętna.

Nie od rzeczy będzie od razu postawić sprawę jasno. Sprzedaż "Kul-

tury" na terenie Wielkiej Brytanii nie jest traktowana przez sprze- dawcę jako działalność społeczna, oparta tylko i wyłącznie o przesła- nki ideowe. Wręcz przeciwnie w grę wchodzi ściśle między nami usta- lone zasady, ujęte w umowę handlową — z której obie strony wywia- zują się nader skrupulatnie. Innymi słowy, sprzedawca czerpie z sprze- daży "Kultury" zysk, który pozwala pokryć mu własne koszty ze sprze- dażą tą związane i odrzucić kilka czy kilkanaście funtów rocznie "na czysto".

Nie ulega też wątpliwości, że na tym odcinku interes wydawcy po- krywa się ściśle z interesem sprzedawcy, i że działają ręką w rękę. Każdy bowiem egzemplarz sprzedany poprawia sytuację finansową obu stron. Sprzedawcy pisma, tak samo jak sprzedawcy każdego innego artykułu zależy bardzo na tym, by "towar", który sprzedaje był jak najlepszy, by innymi słowy "fabryka" czy "redakcja" jak najlepiej pracowała. Najlepszy bowiem aparat handlowy, sieć agentów i rekla- ma nie pomogą jeśli fabryka będzie stale dostarczać skarpetki z dziu- rą na pięcie. Za kryzysy większości pism na świecie odpowiedzialność ponosi najczęściej właśnie strona redakcyjna — powiedzmy inaczej produkcyjna — rzadziej aparat handlowy.

"Kultura" jest produktem dobrym. Jeśli traktujemy ją jako towar za który nabywca płaci, to stwierdzić możemy, że dostaje pełną war- ność wyłożonych pieniędzy. Stwierdzić to mogę z całą pewnością sie- bie wynikającą nie z mojego własnego subiektywnego — jako czytel- nika — stosunku, lecz z reakcji rynku, z obserwacji postawy klientów, którzy "Kulturę" kupują.

Z drugiej strony, rachunek sumienia w postaci rozliczeń, ksiąg i korespondencji daje mi jako sprzedawcy przekonanie, że większość, jeśli nie wszystkie, możliwości sprzedaży zostały wyzyskane i uczucie satysfakcji, że ilość popełnionych błędów nie była duża. Satysfakcję zaś szczególną daje świadomość, że każdy egzemplarz przeznaczony do sprzedaży został rzeczywiście sprzedany tzn., że został opłacony. Przyzna Pan Redaktor z własnego doświadczenia, że w społeczeństwie naszym nie oznaczającym się nadmiarem skrupulatności i przyzwyczaj- onym przez lata wojny do darmowego lub półdarmowego rozdawni- ctwa wydawnictw i czasopism, jest to osiągnięcie niepoślednie, które wymagało i wymaga stale dużego nakładu pracy zmusdnej, a przede wszystkim niewdzięcznej. W moim mniemaniu jest to nie tylko han- dlowe lecz i społeczne osiągnięcie, które pragnę na dobro swoje i moich współpracowników zapisać.

Z tym wszystkim pozostaje jednak faktem, że "Kultury" sprze- dajemy mało. Przed dwoma laty ilość wahała się około dwustu egzem- plarzy, dziś dochodzi do czterystu. Jest to niewątpliwie postęp, zwa- żywszy zwłaszcza, że Polacy w Anglii są ciągle w ruchu. Postęp ten jest jednak za mały. Pocięchą dla mnie jest, że w innych krajach sprzedaż daje lepsze wyniki — jest to jednak pocięcha nie pozbawiona goryczki.

Mam przecież do czynienia z terenem gdzie Polaków jest z tak zwa- nej "nowej emigracji" najwięcej. Są oni poza tym stosunkowo najle- piej usytuowani materialnie. Najwięcej jest też wśród nich elementu o wysokim poziomie zainteresowań intelektualnych — a zatem ludzi dla których "Kultura" jest przeznaczona.

Gdzież zatem szukać przyczyny tej tak małej stosunkowo ilości sprzedawanych egzemplarzy? Brak pieniędzy, duża ilość pism pol- skich, konkurencja czasopism angielskich, trudność organizacji punk- tów sprzedaży wobec braku miejsc zbiorczych Polaków, którymi byli dawniej obozy — wszystko to niewątpliwie odgrywa swoją rolę, żaden jednak z tych faktów nie jest czynnikiem decydującym.

Zdaje się, że przyczyna prawdziwa leży w braku uświadomienia so- bie przez ogół czytelników, że warunki emigracyjne stwarzają trud- ności nie tylko dla nich samych, lecz i dla wydawców pism do któ- rych są przywiązani i których prace cenią i szanują. Ciągłe pokutuje jeszcze przekonanie, że na tak dobre pismo ktoś przecież powinien dać pieniądze, im zaś tj. czytelnikom, "Kultura" się "należy".

Zapyta Pan Redaktor: "kto tak myśli? Czyżby owych "400 sprawiedliwych", którzy płacą? A jeśli nie, to gdzie są owi nie płacący klienci, skoro Pan, Panie sprzedawco, chwali się, że nikomu nie daje egzemplarzy za darmo?"

Zbliżyliśmy się do istoty zagadnienia. Stwierdzam, że ilość czytelników "Kultury" na terenie Wielkiej Brytanii jest o wiele większa niż ilość kupujących. I to nie trzy razy większa, co było by zrozumiałe, gdyż czyta przecież i rodzina kupującego, — lecz dziesięciokrotnie większa.

"Kulturę" czyta bardzo wielu ludzi. Przechodzi ona z rąk do rąk. Leży w jednym egzemplarzu w szeregu świetlic i czyteln, gdzie ją czyta po kilka lub kilkanaście ludzi. Wędruje z pokoju do pokoju w tzw. "polskich domach" w Londynie. Niekiedy wysyła się ją pocztą znajomym z jednej miejscowości do drugiej. Często kupuje się ją na zmianę lub odstępuje za wypożyczenie książki, lub innego wydawnictwa np. drogiego amerykańskiego. Dyskrecja tylko nie pozwala mi cytować przykładów wędrowek "Kultury", które Pan Redaktor zna zresztą z prywatnych moich listów.

Oburącz podpisując się pod apelem Anieli Mieczysławskiej, ogłoszonym w jej liście w numerze 33/34 stwierdzam, że każdy czytelnik powinien zrozumieć, że pismo, które chwali i którego potrzebuje, w tym wypadku mowa o "Kulturze", — wdzięczne mu jest za jego przywiązanie i pochwały — lecz, że będzie je mógł dalej chwalić tylko wtedy, gdy dołoży starań, by zapewnić mu byt na długą przyszłość.

Zapewni zaś najlepiej, gdy nie tylko będzie "Kulturę" czytał, lecz zaczął ją kupować! To jest "subwencja" ze strony czytelników do której "Kultura" ma prawo, zwiastuje, że jest jedyna.

Zechce Pan Redaktor przyjąć wyrazy poważania

"SPRZEDAWCA".

Redaktor przyjmuje po uprzednim porozumieniu się listowym lub telefonicznym

Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na porto

KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma nadsyłane do redakcji w 2-ech egzemplarzach

Cena ogłoszeń: cała strona 6.000 fr. fr.; ½ strony 4.000 fr. fr.

Wydawca: EDITION ET LIBRAIRIE « LIBELLA »
12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e)

Directeur-gérant: Roger Grosjean.

Dépôt légal: 3^e trimestre 1950.

KULTURA

pod redakcją Jerzego Giedroycia

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		½-roczna	Roczna
FRANCJA: "LIBELLA", 12, rue St-Louis en l'Île, PARIS IV ^e	120 fr.	770 fr.	1446 fr.
W. BRYTANIA: "GRYP", Publications Ltd., 59/61 Hatton Garden, LONDON E.C. 1.	3 sh.	16 sh.	39 sh.
WŁOCHY: Jan GROCHOWSKI, 81, via della Croce, ROMA.	200 lir	1200 lir	2000 lir
SŁOWECJA: Red. Norbert ZABA, Kaliskärsgatan 3/IV, STOCKHOLM.	2,50 kr.	12 kor.	24 kor.
NIEMCY: "Universum", (14 a), HEILBRONN/N., Badenerhof, US. Zone.	2,50 DM	15 DM	25 DM
ARGENTYNA: Jan Miecznikowski i Tadeusz Dąbrowski, "SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ", Av. Leandro N. Alem 641, BUENOS AIRES	4 peso	24 peso	48 peso
KANADA: BOOKS AND NEWSPAPERS AGENCY, H. R. Radomski, 83, Front St. E., TORONTO Ont	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: Na stan New York — S. DZIARCZYKOWSKI, 414 Prospect Ave, BROOKLYN 15, N. Y. Na stan Illinois — Józef BIAŁASIEWICZ, 4917 West 24th Place, CHICAGO 50, Ill. Na stan California — L. DUDAREW-OSSETYNSKI, 28471 Ventura Boulevard, AGOURA, California. Na stan Michigan — Kazimierz TROJANOWSKI, 6042 Jos. Campau, DETROIT 11. Mich. Na Stany Ohio, New Jersey, Pennsylvania, Indiana, Wisconsin, Florida, Virginia i West Virginia — Chrystian M. KRETOWICZ, 1828 Glenwood Ave, TOLEDO 2, Ohio. Na pozostałe stany — M. K. DZIEWANOWSKI, 38 Quincy Street, CAMBRIDGE, Mass.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
BELGIA i KONGO BELG.: Marie Christ. JANTA-POLCZYŃSKA, 24, Grande Rue au Bois, BRUXELLES, 3, Konto Cheque Postal 244 113 — Bruxelles ..	25 bfr.	120 bfr.	210 brf.
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz KRUSZYŃSKI, 71, Raglan Street, Sydenham, JOHANNESBURG	3 sh.	16 sh.	30 sh.
AUSTRALIA: VISTULA (Australia) PTY, Ltd., 77, Pitt Street, SYDNEY	4 sh.(a.)	£A10.3.	£A118.0.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia BARCINSKA, r. Erasmo Braga 227 s. 214, RIO DE JANEIRO oraz Zofia KIETLIŃSKA, Av. Batel 1514, CURITIBA, Parana.	15 cruz	90 cruz	150 cruz
SZWAJCARIA: Zbigniew MAŁECKI, 8, Kistlerweg, BERN, 16	1,80 fr. szw	10 fr. szw	18 fr. szw

Koszta przesyłki pojed. nru: 20 fr. fr.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.).

OSTATNIE WIADOMOŚCI

jedyne pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec.

Ukazuje się trzy razy tygodniowo.

W każdą niedzielę dodatek.

Korespondenci: we Francji, W. Brytanii, Włoszech,
Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Wenezueli,
Argentynie, Australii i Nowej Zelandii.

Ogłoszenia: 1 cm. 1 łam. — 4,20 DM (1 dol.). Za słowo
w ogł. drobnych 0,20 DM (5 ct. am.)

Redakcja, administracja, drukarnia:

17a, MANNHEIM-SANDHOFEN, 4094 LSCO Schöna
US Zone, Germany.

PRZEDSTAWICIELEM KULTURY

I INSTYTUTU LITERACKIEGO

NA W. BRYTANIĘ JEST

„GRYF” Publications Ltd.

59/61, Hatton Garden, LONDON, E.C. 1

Tel.: CHAncery 5094

*We wszelkich sprawach związanych z prenumeratą
„Kultury”, zamówieniami książek itp., prosimy zwracać
się do wymienionej firmy*

Cena 120 frs.